

SAMUEL BECKETT	5	Nienazywalne fragment w przekładzie Marka Kędzierskiego
MICHAEL LONGLEY	11	Raz
	12	Podcierka • Ochotnik • Stopa okopowa
	13	Vimy Ridge w przekładzie Andrzeja Szuby

100. ROCZNICA ŚMIERCI JOSEPHA CONRADA

STEFAN CHWIN	15	Przekłeta „sytuacja conradowska”
ABEL MURCIA	31	*** (Ktoregoś dnia...) • Życie
	32	*** (postarzałe dzieciństwo...) • *** (Pod wodą spokojne...) • Deszczowa noc
	33	*** (przyjdzie zima...) • Monolog towa- rzyszającego w przekładzie Krystyny Rodowskiej

100. ROCZNICA ŚMIERCI FRANZA KAFKI

FRANZ KAFKA	37	Trzeci zeszyt oktavowy w przekładzie Artura Szlosarka
ARTUR SZLOSAREK	61	Wariant
	62	Diabeł sko(ło)wany • Nasz Franz
ICCHOK BASZEWIS SINGER	64	Okno na świat
	76	Stary reb Berysz i jego opowieści w przekładzie z jidysz Mariusza Lubyka
GUSTAVE ROUD	81	Punkt widzenia (fragment)
	82	Requiem (fragment)
	84	Odmienność (fragment) w przekładzie Anny Dutki-Mańkowskiej
LYDIA DAVIS	85	Sierść • Trzynasta kobieta
	86	Cedry
	87	Głowa, serce • Nieznajomi
	88	Podróżując z matką
	89	Noworoczne postanowienie
	90	Druka okazja
	91	W dziale odzieżowym • Priorytet w przekładzie Jacka Gutorowa
ARTUR SZLOSAREK	93	Matera. Psalm 139
	94	Illuminare del Corpo
	96	Poesia pratica

JACEK GUTOROW	97	Puls • Żywa woda
	98	Zdjęcie z Varanasi • Pissarro
	99	Zamiast biogramu • Ostatni dzień życia Platona
PAWEŁ RODAK	100	„Ja” i „my”. Próba lektury <i>Pamiętnika z powstania warszawskiego</i> w kontekście pokolenia wojennego
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	109	Koniec zimy w Visby
	111	Migawki z Bordeaux
O. BARTŁOMIEJ KUCHARSKI OCD	114	Cisza • Dialog
	115	Grecka historia
OLIWIA KRAKOWIAK	116	*** (<i>Nie jestem godna...</i>) • *** (<i>Karnie klnę niebo...</i>)
	117	*** (<i>Jestem w czyścicu...</i>)
		VARIA
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	118	Widnokrąg (16)
STEFAN CHWIN	127	Dziennik 2024 (3)
MAREK KĘDZIERSKI	138	Marginalia (7)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	146	Komora (11)
LESZEK SZARUGA	158	Świat, w którym żyłem (14)
PIOTR SZEWC	167	Z powodu i bez powodu (74)
ARTUR SZŁOSAREK	169	Notatki do zapomnianych podróży (20)
ANDRZEJ ZAWADA	175	Dziennik lektur (2)
		RECENZJE I NOTY O KSIĄŻKACH
ALEKSANDER FIUT	184	Herbert znany i nieznany
KRZYSZTOF SIWCZYK	191	Trzy czwarte do pełni
PAWEŁ TAŃSKI	194	Trzeci sierpnia, czwartek
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	196	Jama cudzego życia
LESZEK SZARUGA	202	Dziennik za dwoje
MICHAŁ CZORYCKI	205	Wariacje na temat niepodpisanego cyrografu
BARTOSZ SUWIŃSKI	207	Nowy przepływ obrazów
NOTY O AUTORACH	211	
BIBLIOTEKA	216	
„KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”		
NOWE KSIĄŻKI	220	

Otwiera kolejny odcinek *Nienazywalnego* Samuela Becketta w coraz bardziej rozkręcającym się, chociaż po długiej drodze zmierzającym do końca przekładzie Marka Kędzierskiego.

I dwie sekwencje rocznicowe: inspirujący, stawiający przed nami Josepha Conrada esej Stefana Chwina oraz *Trzeci zeszyt oktauwowy* Franza Kafki w przekładzie Artura Szlosarka i jego trzy kafkowskie miniatury interpretacyjne, dopełnione opowiadaniem Iccchoka Baszewisa Singera w przekładzie Mariusza Lubyka.

Z poezji przekłady Andrzeja Szuby wierszy Irlandczyka Michaela Longley'a i Krystyny Rodowskiej Hiszpana Abła Murcii, wiersze Artura Szlosarka, Jacka Gutorowa, Kazimierza Brakonieckiego, o. Bartłomieja Kucharskiego OCD i debiut Oliwii Krakowiak.

Z prozy poetyckiej utwory szwajcarskiego poety Gustava Rouda w przekładzie Anny Dutki-Mańkowskiej i amerykańskiej prozaiczki Lydii Davis w przekładzie Jacka Gutorowa oraz dwa teksty Artura Szlosarka.

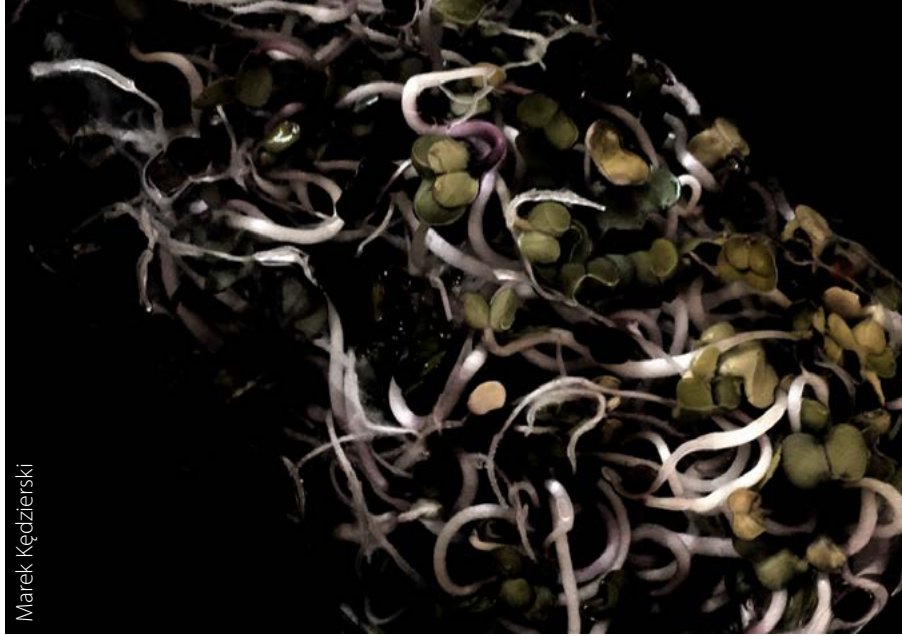
I w 80. rocznicę powstania warszawskiego szkic Pawła Rodaka o *Pamiętniku* Miłona Białoszewskiego w kontekście pokolenia wojennego.

W *Variach* między innymi fragmenty Kazimierza Brakonieckiego, Stefana Chwina, Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi, Piotra Szewca, Artura Szlosarka i Andrzeja Zawady. Numer zamykają *Recenzje i noty o książkach*.

Zapraszamy i zachęcamy!

Krzysztof Myszkowski

Marek Kędzierski



SAMUEL BECKETT

Nienazywalne

fragment w przekładzie Marka Kędzierskiego

Na ich miejscu naszczułbym na niego szczury, zwłaszcza te wodne, z szamba, te są najlepsze, no, nie za dużo, tuzin, około piętnastu, być może pomogłyby mu się zdecydować, by wreszcie ruszył, jakże piękne wprowadzenie w problematykę jego przyszłych atrybutów. Nie, to byłoby daremne, szczur by tam nie przeżył, ani jednej sekundy. Teraz wszakże przyjrzyjmy się ponownie temu oku, jemu właśnie przysałoby się teraz przyjrzeć. Może trochę zaróżowione, białko, od sikania, to już przeblysłk, nie śmiem powiedzieć, że inteligencji. Poza tym takie samo, jak zawsze. Być może nieco bardziej wyłupiaste, a nawet za-kuliste, jak załupek na męskim żółędziu. Jakby słuchało. Wyczerpuje się, słabnie, to nieuniknione, matowieje, powinno mu się niezwłocznie coś podać, aby naprawdę mogło wydostać się z orbity, za dziesięć lat będzie za późno. Błąd, który oni popełniają, polega na tym, że mówią o nim, o Wormie, tak, jakby rzeczywiście istniał, w jakimś konkretnym miejscu, podczas gdy wszystko jest na razie jeszcze na etapie planowania. Ale w chwili obecnej już za późno, aby do tego wrócić. Niech więc najpierw zapędzą się w kozioróg w swym błędzie, żeby potem móc wgłębiać się w sedno problemu, nie kompromitując się przy tym bezmyślnym używaniem terminów, jeśli nie pojęć, dostępnych rozumieniu. W ten sam sposób przypadek Mahooda został niedostatecznie zbadany. Człowiek może czuć potrzebę takich kreatur, zakładając, że są dwie, a nawet przeczuwać możliwość, że istnieją, nie wdając się w ślepe i ponure dyskusje na ich temat. Nieco dodatkowej refleksji pokazałoby im, że godzina mówienia nie tylko nie wybiła, ale prawdopodobnie nigdy nie nadejdzie. Ale muszą przecież mówić, nie wolno im już się zatrzymać. Więc niechże mówią o czymś innym,

Samuel Beckett, *L'innommable*, Editions de Minuit, Paris 1953, strony 140–150.

Fragmenty *Nienazywalnego* ukazały się w „Kwartalniku Artystycznym”: 2006, nr 3–4, 2007, nr 1, 2008, nr 4, 2012, nr 4, 2013, nr 3, 2014, nr 4, 2015, nr 1, 2016, nr 4, 2019, nr 4, 2024, nr 1 i nr 2.

o czymś, czego istnienie wydaje się w jakiś sposób ustalone, o czym można mówić, nie rumieniąc się co trzydzieści, czterdzieści tysięcy słów z powodu konieczności użycia takich lub innych wyrażań i co ponadto – absolutna gwarancja! – już dało asumpt i rozwiązało tyle, jakże wartkich języków, od zarania dziejów, właśnie coś takiego byłoby wskazane. To stara śpiewka, ta historia, w czasie, gdy oni oddają się swej brudnej robocie, chcą rozrywki, nie, nie rozrywki, uspokojenia, nie, to też nie to, pocieszenia, nie, nawet nie, mniejsza o to, w rezultacie czego niczego nie osiągną, ani tego, czego chcą, nie wiedząc właściwie, czego, ani tego, co się im narzuca, niewyjaśnionego jarzma, no cóż, odwieczna historia. A już się zdawało, że to nie ta sama banda, jak jeszcze przed chwilą, prawda? Ale czego tu oczekiwać, oni sami nie wiedzą, kim są, gdzie są, co czynią, ani dlaczego sprawy mają się aż tak źle, obrzydliwie, o to chyba idzie. Wznoszą więc hipotezy, jedną po drugiej, a te walą się, jedna na drugą, jakie to ludzkie, homar by tego nie wymyślił, nie byłby do tego zdolny. Ładnego rozgardiaszu narobiliśmy, całą paczką, czyżbyśmy wszyscy jechali na jednym wózku, ale nie, co za pomysł, każdy z nas narobił na własną rękę. Mnie osobiście w okropny sposób spartaczono, skandal, chyba teraz zaczną sobie z tego zdawać sprawę, mnie, na którym wszystko się zasadza, chwiejnie, niech będzie, albo, jeszcze lepiej, wokół którego, już dużo lepiej, wokół którego wszystko się obraca, człowiek-rondel, na jałowym biegu, tak, dokładnie, niech nikt nie protestuje, wszystko się kręci, kręci się w głowie, no właśnie, w głowie, jestem w głowie, jakie olśnienie, psst, zaraz się zleję. Och, ten ślepy głos, te chwile wstrzymanego oddechu, gdzie każdy słucha z desperacją, ten głos, który znów zaczyna po omacku, nie wiedząc, czego szuka, a potem znowu to minimilczenie, czujne na coś, nie wiadomo co, może na znak życia, pewnie tak, znak życia, który by komuś umknął, a gdyby nie umknął, by się zaprzeczało, tak, na pewno, gdyby to wszystko mogło się skończyć, nastałby pokój, nie, złudna ta wiara, wypatrywalibyśmy, na czatach, wyczekiwalibyśmy głosu na nowo, znaku życia, że ktoś się zdradzi, lub czegoś innego, cegokolwiek, co innego może być niż znaki życia, spadająca szpilka, poruszający się liść lub cichy krzyk żab, gdy żniwiarza kosa przecina je na pół, albo gdy przebijają się je w wodzie, na przykład minidzidą, przykłady można by mnożyć, byłby to nawet doskonały pomysł, no ale jednak po prostu nie można. Może człowiek powinien być ślepy, ślepy lepiej słyszy, dziś jesteśmy dobrze poinformowani, nawet stroicieli fortepianów mamy tu w bagażu, uderzają w la, a słyszą sol, dwie minuty później,

tak czy inaczej, i tak nic tu nie widać, z tym okiem to wyraźne przeoczenie. Ale to nie Worm mówi. To prawda, jak dotąd, a jeśli ktoś przeczy, to za wcześniej. Ja też nie, w tym względzie. A Mahood, jak wiadomo, jest niemy. Nie w tym kwestia, w tym momencie, nikt nie wie, w czym ona, ale wiadomo, że nie w tym, w tej chwili. Tak, bardzo zabawne to oko, co za rozrywka, płacze sobie przy najmniejszym drobiazgu, jakimś tak, czy jakimś nie, każde tak skłania je do płaczu, każde nie także, a zwłaszcza każde być może, w rezultacie czego treściom tych zdumiewających wypowiedzi nie zawsze poświęca się tyle uwagi, na ile zasługują. Także Mahood, mam na myśli Worma, także Worm, nie, jednak Mahood, także on jest wielkim płaczkiem, jeśli być może dotąd nie było to sygnalizowane. Jego broda cała jest od tego mokra, od płaczu, kompletny idiotyzm, zwłaszcza, że to go za nic na świecie nie uspokaja nie przynosi mu ulgi, a niby od czego miałyby mu przynosić ulgę, jest zimny jak zdechła ryba, nieszczęśnik, niezdolny nawet do złorzeczenia swemu stwórcy, to czysta mechanika. Trzeba jednak zapomnieć Mahooda, nie trzeba było w ogóle o nim wspominać. Bez wątpienia. Ale czy to możliwe, by o nim zapomnieć? Wszystko, o wszystkim się zapomina, to prawda. Mimo tego, należy się obawiać, że Mahood nie całkiem zostanie wchłonięty. Worm, owszem, zniknie całkowicie, jakby nigdy go nie było, co zresztą pewnie w tym wypadku się dzieje, jak można zniknąć, nie istniejąc uprzednio. Łatwo powiedzieć. Ale i Mahood, w tym względzie. Ale to nie takie jasne, psst, to wcale nie jest jasne. Nie szkodzi, Mahood przetrwa, pozostanie tam, gdzie go pozostawiono, tkwi w swym dzbanie aż po uszy i czaszkę, *vis-à-vis* rzeźni, błaga przechodniów, bez słowa, gestu czy grymasu twarzy, a ta nie grymasi, po to, by go od razu zauważyli, wraz z daniem dnia w ja-dłospisie, albo osobno, nie wiedzieć dlaczego, może w wierze, że gdzieś sobie pływa, czyli z gwarancją, że spłynie, utonie, wcześniej czy później, to chyba tak, można mieć takie pomysły, nie myśląc zanadto. Mnie osobiście łyzy i płacz przycho-dzą wyjątkowo łatwo, ja raczej bym tego nie mówił, na ich miejscu pominąłbym ten szczegół, a do odpływu nie mam żadnego ujścia, ani wyżej wymienionego, ani tych mniej nobliwych, jak w takich warunkach można cieszyć się dobrym zdro-wiem, i w co ma człowiek wierzyć, to nie jest kwestia, by w cokolwiek wierzyć, idzie o to, by wpaść na właściwy pomysł, nic innego, oni mówią: Jeśli to nie jest białe, to pewnie jest czarne, przyznajcie, że niezbyt subtelna, metoda, zważywszy na tyle barw pośrednich, którym warto przecież dać szansę, każdej po kolei. Tyle czasu

tracą, powtarzając coś w kółko, choć dobrze wiedzą, że tak nie jest. Zarzuty łatwe do obalenia, gdyby chcieli zadać sobie trudu, gdyby na takie rzeczy mieli czas, czas na pomyślenie, jak są niedorzeczne. Ale jak myśleć i mówić jednocześnie, zastanawiając się nad tym, co się powiedziało, co się mówi, będzie mogło powiedzieć, mówiąc jednocześnie, człowiek myśli o czymkolwiek, mówi cokolwiek, z grubsza biorąc, mniej więcej, robi sobie nieuzasadnione wyrzuty, nie mogąc ich samemu odpierać, dlatego idzie wciąż o coś innego, z tego powodu oni wciąż powtarzają to samo, wciąż ta sama litania, którą znają na pamięć, żeby w tym czasie spróbować pomyśleć o czymś innym, o tym, jak powiedzieć coś innego, o tej samej rzeczy jak dawniej, wciąż tak samo źle o tej samej złej rzeczy, nie wiedzą jak, nie znajdują niczego innego, co można by powiedzieć oprócz tego, co nie pozwala im tej rzeczy znaleźć, lepiej pomyśleć o tym, co właśnie opowiadają, przynajmniej urozmaiciłoby to całą prezentację, bo ona się liczy, jak wszakże myśleć i mówić jednocześnie, to szczególne uzdolnienie, myśl błędzi, podobnie jak słowo, daleko od siebie, no, nie przesadzajmy, z osobna, ale i obok, dobrze byłoby tam się znaleźć, pomiędzy, pośrodku, gdzie człowiek cierpi, gdzie się raduje, że jest bez słowa, że jest bez myśli, tam, gdzie nic się nie czuje, niczego nie słyszy, nic nie wie, nic nie mówi, niczym nie jest, tam być byłoby błogosławieństwem, tam, gdzie się jest. Całe szczęście, że tam właśnie są, tam, rzecz jasna nieważne gdzie, aby ponieść odpowiedzialność za ten stan rzeczy, o którym nawet jeśli wie się niewiele, wie się przynajmniej tyle, że nie chciałoby się tego mieć na sumieniu, wystarczy, że leży na wątrobie. Tak, na szczęście mam te gadatliwe zmyły, nie zawsze je będę mieć, czuję to, diabelskie duchy, w końcu wmówią mi, że się wygadałem. Ich pan, w każdym razie, my nie mamy zamiaru, swoją lurę chrzczą jeszcze wodą, my nie mamy zamiaru, chyba, że absolutnie zmuszeni, popełniać tego błędu, tym się zajmować, ten ich pan to, jak się okazuje, po prostu jakiś urzędnik wyższej rangi, my do tej gry potrzebowalibyśmy Boga, może i z nas nędznicy, lecz nie chcielibyśmy sięgnąć absolutnych nizin. Pozostaniemy w kręgu rodziny, prywatnym, znamy się wszyscy, nie ma obaw, że będą niespodzianki, widzieliśmy już testament, nikomu nic się nie dostanie. A to oko, ciekawe, że to oko aż prosi się, by mu się przyjrzeć, błaga, by się nim zająć, by coś dla niego zrobić, przyjść na pomoc, nie bardzo wiadomo, w czym, żeby już nie płakało, by spojrzało, by gorzało, a potem się zamknęło na amen. Tylko je widać, w tej twarzy, to od niego zaczyna się szukać twarzy, do niego się po-

wraca, niczego nie znalazłszy, co jest coś warte, poza smugami popiołu, może to długie siwe włosy, opadające poniżej ust, lepkich od zastałych łez, albo frędzle poszarpanego płaszcza tworzące welon, albo palce, które się rozwierają i zwierają w próbie wymazania świata, albo wszystko razem, palce, włosy, szmaty, splątane z sobą, nierozdzielne. Domysły na tyle osobliwe, wszystkie po kolei, że wypowiedziawszy je, człowiek wolałby nigdy nic nie wypowiedzieć, znamy to, często wolelibyśmy inną przeszłość, inną niż własna, kiedy ją zgłębi. Jest łysy, jest nagi, a jego dłoni, raz na zawsze złożonych płasko na kolanach, nie można posądzić o jakieś zdrożne gierki. Gdzie w takim razie jest twarz? Bzdura, same bzdury, już nawet nie wierzę w to oko, niczego tu nie ma, niczego nie widać, niczym nie widać, zbawienny zbieg okoliczności, kiedy o tym się myśli, co mogłoby być, świat bez gapiów, i odwrotnie, gapie bez świata, brrr. Zatem żadnych widzów, ani nawet widowiska, jeszcze lepiej. Przynajmniej to. Jeśli ten hałas mógłby ustać, nie byłoby już nic do powiedzenia. Zastanawiam się, o czym teraz jest aktualny program. Prawdopodobnie o Wormie. Mahooda opuszczono. Teraz na mnie kolej. Tak, biorąc pod uwagę wszystko, co dotąd, naprawdę nie rozpaczam, że pewnego dnia zwrócę ich uwagę na siebie. Nie, żeby mój przypadek wzbudził najmniejsze zainteresowanie, chwileczkę, tu musi być jakaś pomyłka, nie, żeby był szczególnie ciekawy, zgoda, zgadzam się, ale teraz kolej na mnie, ja też mam prawo, by to uznać za niemożliwe. To się nigdy nie skończy, nie ma co się łudzić, a jednak, owszem, dojdą do tego, po mnie to się skończy, dadzą za wygraną, powiedzą sobie: To się nie dzieje, opowiadano nam bajki, jemu opowiadano bajki, jakiemu jemu, panu, kto opowiadał, nie wiadomo, to on za to odpowie, nie można tym obarczać pana, ani ich, ani mnie, nikogo, nie powinniśmy byli wzajemnie siebie oskarżać, pan mnie, ich, siebie samego, oni mnie, pana, siebie samych, ja ich, pana, siebie samego, wszyscy jesteśmy niewinni, z grubsza biorąc. Niewinni czego, nikt tego właściwie nie wie, dokładnie, chęci poznania, chęci siły, całego tego hałasu, o nic, na nic, tego długiego przewinienia wobec milczenia, w którym każdy się kąpie, już nie będziemy dociekali, co ono kryje, tę niewinność, w którą popadliśmy, wszystko przykrywa, wszystkie błędy, wszystkie pytania, kładzie kres pytaniom. Wówczas wszystko to się skończy, dzięki mnie się skończy, odejdą, pójdą jeden po drugim, albo spadną, pozwolą sobie spaść, tam gdzie stoją, i już się nie poruszą, dzięki mnie, który nic nie zrozumie, z tego, co oni czuli się w obowiązku mi przekazać, nic nie uczyni, z tego, co oni

czuli się w obowiązku chcieć, bym uczynił, i znowu nastanie milczenie, zstąpi na nas wszystkich, jak pył z piasku, na całą arenę, po wszystkich rzeziach. Perspektywa zaiste urzekająca, jeżeli miałem jakąś kiedykolwiek, przed sobą, oni zaczynają przychyłać się do mojej wersji, przecież niewykluczone, że mam jakąś, skłaniają mnie do powiedzenia: Gdyby tylko to, gdyby tylko tamto, mówię, ale sam pomysł, myśl, idea należy do nich, oni to myślą, nie, oni tego nie myślą. Co do mnie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że jestem niezdolny, aby cokolwiek pragnąć lub nad czymkolwiek ubolewać. Ponieważ trudno byłoby komuś, jeżeli mogę tym mianem siebie określić, aspirować do sytuacji, o której, mimo entuzjastycznych opisów, jakimi go zalewano, nie ma zielonego pojęcia, albo uczciwie chcieć, aby ta druga ustała, nie mniej niepojętna, jedyna, wyznaczona mu na początku. On nie wie, czym jest owo milczenie, które wciąż mają na ustach, z którego które go wydało, było jego początkiem – i do którego powróci, gdy dokona się jego czyn, ani co miałby uczynić, aby sobie na nie zasłużyć. Teraz do całej klasy przemówi prymus, to jego wzywa się na ratunek, kiedy rzeczy idą w złą stronę, sprawy źle się toczą, cały czas mówi o zasługach i sytuacjach, niejednego już uratował, także o cierpieniu, on wie, jak podnieść opadającego na duchu, powstrzymać katastrofę, po prostu rzucając na szalę jedno wielkie słowo, nawet jeśli musi dodać, chwilę później, kiedy wszystko wróciło do porządku: Ale jakież cierpienie, ponieważ on zawsze cierpiał, co nieco studzi zapał i radość. Szybko jednak nadrabia zaległości, naprawia wszystko od nowa, wprowadzając w życie legendarne pojęcia, ilość, przyzwyczajenie, zużycie i inne, zbyt liczne, by je tu wymieniać, co pozwala mu, przy następnym beknięciu wybąkać, że nie mają one zastosowania w przedłożonej mu sprawie, nie wie bowiem, jak to jest, stracić rozum. Lecz, patrząc wyżej, czyż oni nie pochyłali się już nade mną, w moją stronę, aż do bólu szyi, i pleców, o czym gadam!, czyż robili cokolwiek innego, odkąd, nie, przede wszystkim żadnych tu dat, proszę, oraz, kolejne pytanie, co ja niby robię w historii Mahooda, czy Worma, lub raczej, co niby oni robią w mojej, hmm, no proszę, tyle ciasta na tej blasze, niech fermentuje. Wiem, wiem przecież, ostrożnie, tym razem to wielka gra, ale nic nowego, ten sam wielki szwindel, co zawsze, bezbłędnie naciągają: Patrz pan proszę, to cały pan, tu na tej fotografii...

MICHAEL LONGLEY

w przekładzie Andrzeja Szuby

Raz

dla Maurice'a Harmona

Jeden, jedyny raz
Napisać wiersz tak dobry
Jak ta elegia, którą
W noc przed szubienicą,
Kastracją, patroszeniem
Szkiełował dla siebie
Chidiok Tichborne,
Rad, zapewne, kiedy
Udawało mu się znaleźć
Najwłaściwsze słowo.

Podcierka

I

Brak papieru dla szeregowców
W latrynie – ślepym zaułku
Śmierci – grobie ekskrementów –
Gdzie przykucnięci – cel dla snajperów –
Nie mają czym podetrzeć tyłków
Chyba że listami z domu – listami
Miłosnymi – atrament i ślady hamowania –
Soczysty błękit i gówno –
I ani śladu trawy.

II

A kto opróżniał wiadra?
Ci, co mieli wnet umrzeć
Na ziemi niczyjej, zazdrościli
Długowiecznym latryniarzom.

Ochotnik

Stary leśniczy wspominał młodego stróża,
Co na rowerze jechał z Ballynahinch do Galway,
A potem na Zachodni Front; jego czerwony
Fular był jak naszyjnik z maków.

Stopa okopowa

Chrystus umywa nogi swojej Kompanii.
Ma nieprzebrane ilości talku
I starych gazet do wyściółki butów.
Po Passchendaelel awansuje.

Vimy Ridge

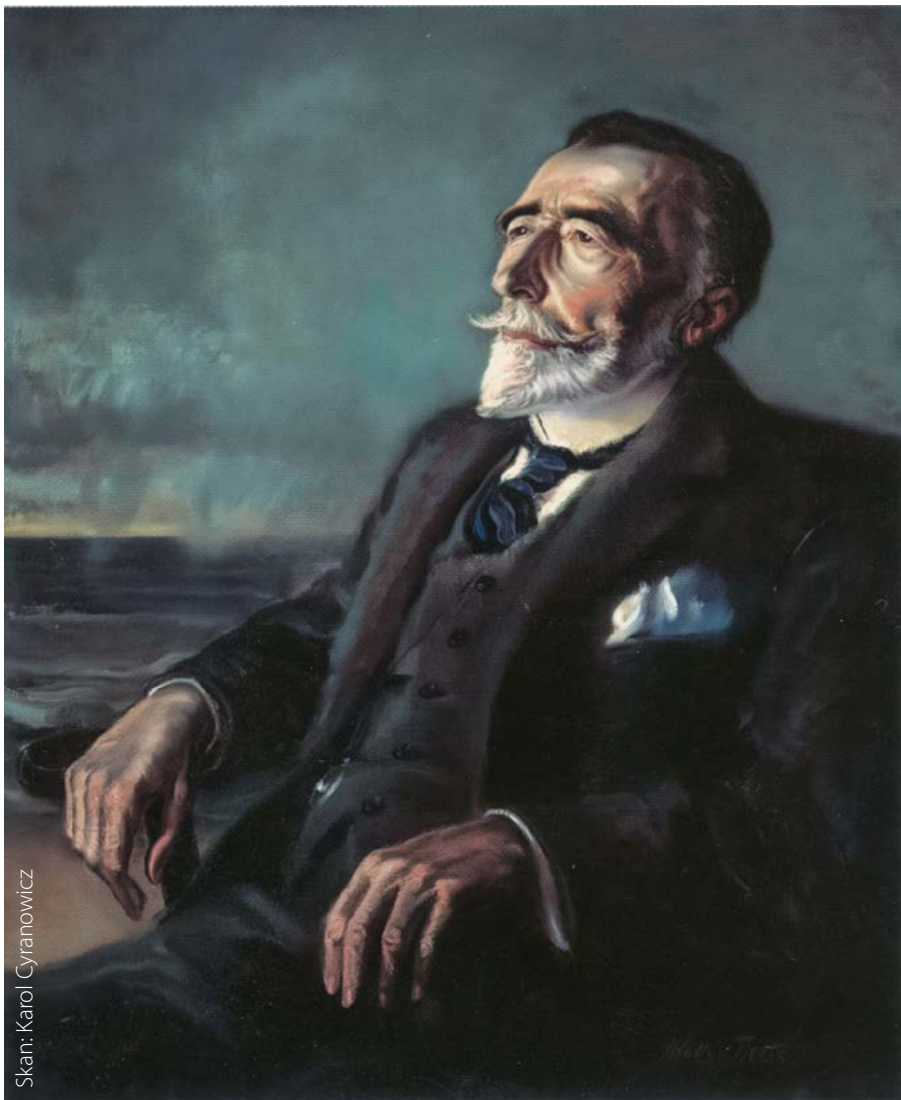
Nim poległ na punkcie obserwacyjnym,

Dzień wcześniej napisał do żony:

„Mimo strasznego huku dział wciąż

Słyszę ćwierk parzących się płochaczy”.

Pocztówka z archiwum „Kwartalnika Artystycznego”



Skam: Karol Cyranowicz

Walter Tittle, *Joseph Conrad*

100. ROCZNICA ŚMIERCI JOSEPHA CONRADA

STEFAN CHWIN

Przeklęta „sytuacja conradowska”

Polskie zaczadzenie Conradem

Czesław Miłosz prawdziwie nie cierpiał Conrada szczególnie w latach okupacji i miał po temu powody, widząc – co go przerażało – zaczadzenie Conradem u młodych żołnierzy Armii Krajowej, fenomen psychologiczny, jak się miało później okazać, o doniosłych konsekwencjach, bo Conradowskie były na przykład *Kamienie na szaniec* Aleksandra Kamińskiego, z wiadomym zresztą skutkiem. W listach okupacyjnych do Jerzego Andrzejewskiego Miłosz proponował Polakom jako odtrutkę na dzieła Conrada pilne czytanie dzieł Balzaka, co miało – taką wyrażał nadzieję – ocalić Polskę przed kolejnym bezrozumnym krwotokiem, ponieważ Balzak uczył czytelników stać mocno na ziemi i mierzyć siły na zamiary, tymczasem czytanie Conrada przez młodych polskich konspiratorów miało prowadzić do niebezpiecznego lewitowania nad ziemią we wzniosłym stanie patriotycznego odurzenia. Miłosz łączył akowską fascynację Conradem z patriotyczno-religijną ekscytacją, która ogarnęła w latach czterdziestych XX wieku ludność Warszawy i w końcu doprowadziła do krwawej katastrofy powstania warszawskiego. Wpatrzenie młodych Polaków w lorda Jima miało owocować tragicznym finałem akcji Burza.

Chodziło oczywiście o kategoryczny imperatyw moralny, którego chwałę Conrad głosił w swoich powieściach, przygotowując – jak Miłosz uważał – grunt dla nieodpowiedzialnych decyzji o nieobliczalnych konsekwencjach, które jednak w swoich dziełach przedstawiał jako moralnie piękne, a nawet zachwycające. Nie był to zarzut gołosłowny, bo Conrad w swoich anglojęzycznych powieściach miał zawsze na uwadze w jakimś stopniu Polskę, nawet jeśli jej inspirującą obecność umiejętnie kamuflował w fabule za rozbudowanym sztafażem marynarsko-żeglarskiej, kosmopolitycznej scenerii. Ściślej, może nie tyle sama Polska odgrywała tu rolę główną, co raczej trauma klęski powstania styczniowego, która odcisnęła się w świadomości

i podświadomości pisarza w dzieciństwie i młodości. Trauma ta narywała w nim do końca życia, w tym sensie jego najbardziej nawet angielskie powieści miały w sobie ukryty komponent polski, który kierował do pewnego stopnia jego piórem. Miał Conrad prawdziwy uraz Rosji carskiej jako kolonialnego więzienia narodów, bo razem z rodzicami w dzieciństwie trafił na zesłanie, został sierotą, którego potem wychowywał autorytarny wuj, pełen pogardy dla działalności niepodległościowej ojca pisarza.

Wszystko to wpływało na strategię pisarską Conrada. To prawda, pisał on swoje książki przede wszystkim dla Anglików, ale wcale nie po to, by wspierać ich polityczno-moralne przekonania. W czasie, gdy kariera Conrada nabierała blasku, Anglia była potężnym imperium kolonialnym, bezwzględnie korzystającym z zasobów naturalnych i ludzkich podbitych państw i narodów, co wcale Conrada nie zachwycało. Kult imperium był istotnym kontekstem jego pisarskiej działalności, ale kontekstem, który pozwolił mu samookreślić się przede wszystkim w *Jądrze ciemności*, gdzie Conrad przemówił wyraźnie głosem zdecydowanego przeciwnika kolonializmu, nie tylko zresztą brytyjskiego, bo chodziło o kolonialną żarłoczność całej Europy. Robił to ostrożnie, bo kierując swoje powieści do angielskiego czytelnika, musiał brać pod uwagę nastroje i aksjologiczne preferencje angielskiej publiczności, które niestety nie pokrywały się z jego preferencjami, zdeterminowanymi między innymi przez polsko-rosyjską traumę. Dlatego wymyślił postać Marlowa – angielskiego narratora, który nie zawsze wygodne dla angielskiego serca historie potrafił tak opowiedzieć, żeby bez żadnych ostentacji zbliżyć czytających Anglików do punktu widzenia pisarza.

Conrad więc nie uprawiał w swoich powieściach publicystycznej krytyki brytyjskiego kolonializmu, raczej starał się przemodelować perspektywę aksjologiczną, która kierowała angielską lekturą jego książek. Dobrze to widać w powieści *Lord Jim*, której bohatera część czytelników angielskich uznała po prostu za wariata, tak odległe były myśli, uczucia i czyny Jima od ich sposobu myślenia i temperatury ich uczuć. Zdarzali się czytelnicy brytyjscy, którzy po prostu przyznawali się do tego, że zupełnie nie rozumieją, z jakiego to powodu lord Jim tak się moralnie męczy, skoro nikt na porzuconym przez niego statku nie zginął, więc właściwie nad czym tu się udręczać, rozmyślać i debatować.

Otóż w takiej sytuacji narrator Marlow był znakomitym wynalazkiem, bo jako *native speaker*, należący do angielskiego świata, swoim zafascynowaniem posta-

cią lorda Jima mógł zarażać czytelników znacznie skuteczniej niż sam pisarz-imigrant z podejrzanych rejonów na wschodzie Europy. I Marlow robił to bardzo skutecznie, pokazując, jak jego angielska dusza zmienia się pod wpływem kontaktu z „dziwnym” bohaterem powieści. Conradowski narrator, łączący swoją powagę, mocny status społeczny i życiowo-zawodowe doświadczenie ze współczuciem oraz szacunkiem, a nawet podziwem dla lorda Jima, czynił bardziej zrozumiałymi jego myśli i czyny, daleko odbiegające od mentalności mocarstwowo-kolonialnej typowych Brytyjczyków.

„Sytuacja conradowska”

Osobowość moralną lorda Jima buduje jedno, kluczowe, traumatyczne doświadczenie, którego definicję Conrad celowo przedstawił jako radykalnie różne. Inaczej fatalny czyn Jima widzi sąd, który rozpatruje jego sprawę, inaczej opinia publiczna, która o sprawie słyszała, inaczej on sam, inaczej wreszcie Marlow. Sądowy obraz czynu Jima jest prosty i jednoznaczny: – Oto, żeby uratować siebie z katastrofy morskiej, tchórzliwy oficer marynarki porzucił tonący statek z pasażerami na pokładzie, za których bezpieczeństwo z tytułu swojego urzędu osobiście odpowiadał. Ale Conrad jednoznacznej, brutalnej wymowie sądowego wyroku (odebranie patentu oficerskiego Jimowi) przeciwstawił długi monolog bohatera, wysłuchiwany z cierpliwą empatią przez Marlowa, który chciał tej empatii nauczyć także swoich fikcyjnych słuchaczy-dżentelmenów (i samych czytelników powieści).

Główne pytanie Marlowa brzmi: Dlaczego właściwie w krytycznym momencie swojego życia Jim skoczył z pokładu tonącego statku do łodzi ratunkowej, porzucając pasażerów, którzy spali na pokładzie? Co go do tego ostatecznie skłoniło? Z monologu bohatera wynika, że jego zachowanie wcale nie wynikało z trzeźwej, cynicznej, egoistycznej kalkulacji, którą przypisuje mu sąd.

Kluczowa jest tutaj sprawa grodzi w głębi kadłuba, od której odpada kawał rdzy, zapowiadając zbliżanie się katastrofy. Jim schodzi pod pokład i oglądając naruszoną gródź, dochodzi do wniosku, że statek pójdzie na dno bardzo szybko, obojętnie, co by on sam zrobił albo czego by nie zrobił, nie wiemy jednak, czy jest o tym przekonany na podstawie tego, co zobaczył pod pokładem, czy raczej chce wierzyć w to dla własnego samousprawiedliwienia. W każdym razie jego

zachowanie ma związek ze stanowczą diagnozą nieuchronnej katastrofy, która jednak – jak okazuje się później – jest najzupełniej błędna, bo statek wcale nie musiał zatonąć.

Jak zachować się w chwili, gdy katastrofa **wydaje się** nieunikniona? Conrad w swojej powieści wysunął na pierwszy plan **sprawę paraliżu decyzyjnego** Jima, który, uświadamiając sobie nieuchronność katastrofy, ma wrażenie, że nogi wrosły mu w pokład. Z przerażenia i dezorientacji nie może się ruszyć. Kiedy czterech marynarzy przygotowuje ratunkową łódź do spuszczenia na wodę, by jak najszybciej uciec z tonącego statku, Jim czuje do nich moralną odrazę. Tchórzliwi uciekinierzy chcą, by pomógł im przygotować łódź do morskiej ucieczki, a że on sam nie może ruszyć się z miejsca, wzywają do siebie innego marynarza, palacza Georga, żeby ten skoczył do łodzi z nimi, tymczasem Georg leży na pokładzie martwy, prawdopodobnie po ataku serca.

Conrad odsłaniał w swojej powieści skomplikowany mechanizm psychologiczny decyzji Jima, całkowicie pominięty przez sąd. Podsuwał czytelnikowi kilka tropów. Jim skacze z pokładu do łodzi, tak jakby uległ wezwaniom tych, którzy wzywali George'a do skoku? Czy chodziłoby zatem o **odruchowe zachowanie naśladowcze**, które sprawiło, że skoczył jakby „zamiast” innego (Georga), mechanicznym odruchem swojego sparaliżowanego przerażeniem ciała odpowiadając na cudze wezwanie? Samotny człowiek – jak go charakteryzował Conrad – w sytuacji granicznej automatycznie, półświadomie dostosowuje się do zachowań grupy i ulegając mechanizmom mimetycznym, robi to, co robią inni, chociaż świadomie wcale nie chce tego zrobić, więc czy rzeczywiście **osobiście** ponosi winę za to, co robi?

Sąd, wydając jednoznaczny wyrok, uznaje, że wie, dlaczego Jim skoczył, ale – jak to Conrad przedstawiał – sam Jim tego nie wie, bo przecież – jak siebie przekonuje – wcale nie chciał dołączyć do uciekających marynarzy, którzy bez żadnych wahań porzucali okręt. W swoim monologu Jim ujawnia, że jego osobowość moralna zachowała się inaczej niż on sam by chciał. Wymknęła się spod jego władzy. Mimo, że sparaliżowany sytuacją próby Jim jest pełen pogardy dla uciekinierów, nagle – skacząc do łodzi – staje się jednym z nich. Dzieje się to w ułamku sekundy, który – jak się później okaże – zadecyduje o całym jego życiu. Bohater Conrada nie ma czasu na żadne rozważania racji za i przeciw. Jedna

chwila – i skok. Czy robi to z tchórzostwa? Czy raczej dlatego, że nie wytrzymuje psychicznych napięć decyzyjnego paraliżu, więc zachowuje się „jak inni”, chociaż nie chce być taki jak inni, dokonuje więc wyboru **jakiegokolwiek**, który mu się w tamtej chwili mechanicznie nasuwa? Otóż Conrad tak zbudował powieściową sytuację, że ani Jim nie umie odpowiedzieć na te pytania, ani nie umieją na nie odpowiedzieć czytelnicy powieści.

Tak oto powieść stawia nas przed pytaniem fundamentalnym o moralną ocenę czynów, których podmiotowość jest nieostra, problematyczna, niepewna. Skok lorda Jima jest takim zachowaniem częściowo tylko podmiotowym. To jego czyn i zarazem jakby nie jego. Czy odpowiadamy za czyny, w których natychmiastowy odruch o niejasnym psychofizycznym podłożu potrafi w jednej chwili zdominować świadomą intencję? I drugie pytanie: na czym może się oprzeć samotny człowiek, stając przed koniecznością dokonania błyskawicznego, radykalnego wyboru, sparaliżowany bliskością śmiertelnego zagrożenia?

Conrad napisał swoją powieść z areligijnej, agnostycznej perspektywy, ponieważ wątpli, czy lordowi Jimowi w podjęciu właściwej decyzji w sytuacji ostatecznej próby mógłby pomóc na przykład judeochrześcijański Dekalog. Bo co Dekalog doradziłby Jimowi w chwili, gdy bohater, skamieniały z przerażenia, nie wie, co zrobić? Czy skacząc do łodzi ratunkowej ze statku, który w jego przekonaniu szybko tonął z ludźmi skazanymi na nieuchronną śmierć, lord Jim popełnił grzech? Bo czy judeochrześcijański Dekalog nakazuje oficerowi marynarki ginąć razem z pasażerami na statku nieuchronnie idącym na dno? W którym to przykazaniu mamy taki nakaz? Takie zobowiązanie może nakładać na niego co najwyżej marynarski obyczaj, stworzony przez ludzi, ale jak dalece trzeba ulegać tyranii stworzonego przez ludzi obyczaju, skoro honorowa śmierć oficera, wspólna z ginącymi w katastrofie ofiarami, w żadnych stopniu i tak nie wpłynęłaby na ich fatalny los?

Jim nie osądza samego siebie z perspektywy Dekalogu, chociaż – to była znamienna decyzja Conrada-pisarza, jeśli chodzi o skonstruowanie tej postaci – jest synem protestanckiego proboszcza, więc z racji swojego wychowania w naturalny sposób powinien się w swoich dylematach odwoływać do Biblii. Ale Biblia jako punkt odniesienia w *Lordzie Jimie* nie istnieje. Kluczową rolę w powieści Conrada odgrywa świecka kategoria przyzwoitości, ściślej: zawodowej przyzwoitości ofi-

cera brytyjskiej marynarki. Jim cierpi dlatego, że nie zachował się tak, jak powinien zachować się oficer, chociaż z drugiej strony, jaki sens miałoby jego wzorowe, oficerskie zachowanie (iść ze wszystkimi na dno) w obliczu nieuchronnej katastrofy, skoro i tak zginęliby wszyscy pasażerowie i on sam?

Mimo, że Jim jest synem pastora, nie stosuje wobec siebie kryteriów religijnej moralności. Znamienne, że nigdy też nie wzdycha: „O Boże!”, tylko wykrzykuje: „Na Jowisza!”, chociaż się wychował w rodzinie chrześcijańskiego duchownego. Conrad komplikował obraz, ujawniając racjonalną stronę jego decyzji. Pierwszy oficer w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa postanawia nie budzić śpiących na pokładzie pielgrzymów, bo słusznie przewiduje, że budząc ich, wywoła na statku panikę, która tylko niepotrzebnie przyspieszy ich śmierć? Więc czy nie ogłaszając alarmu, Jim dopuszcza się czegoś złego? Przecież nawet gdyby wszczął alarm i tak w chaosie paniki, która wybuchłaby na pokładzie, nie dałoby się pasażerów uratować, gdyż na statku nie ma wystarczającej dla ośmiuset osób liczby łodzi ratunkowych w dobrym stanie. I drugie pytanie: jeśli by nawet zdecydował się honorowo zginąć z nieznanymi sobie ludźmi na statku, który idzie na dno, jaki byłby pożytek z jego śmierci i właściwie dla kogo? Skoro nie można ich uratować, bo nie ma na to żadnego sposobu, dlaczego nie uznać, że lepiej będzie, gdy uratuje się chociaż jeden – on sam? I ogólniejsze pytanie, które Conrad wpisał w swoją powieść: Po co właściwie ginąć z tymi, którzy i tak są skazani na nieuchronną klęskę i śmierć? Jaki ma sens solidarność we wspólnej zagładzie, jeśli ta solidarność nie zmienia niczego w ich tragicznym przeznaczeniu?

To całkiem racjonalne pytanie, pobrzmiewające w tle przedstawionych zdarzeń, odsyła do romantyczno-polskich inspiracji Conrada. Bo stawiali je sobie Polacy w obliczu katastrofy powstania styczniowego, o czym Conrad z pewnością wiedział i co silnie działało na jego wyobraźnię. Jaki ma sens udział w walce, o której z góry wiadomo, że jest przegrana? Po cóż ginąć z ludźmi, którzy w tej walce biorą udział, skoro można uciec, schować się, porzucić sprawę, nie brać w niej udziału, wyjechać za granicę, ocaleć? Tak brzmiało polskie pytanie z roku 1863. I wielu Polaków odpowiadało na to pytanie dobrowolnym przyłączeniem się do tych, którzy ginęli. W powieści o Jimie to pytanie znajduje swoje semantyczne echo w pytaniu: Jaki ma właściwie sens zginąć razem z ludźmi skazanymi na nieuchronną śmierć w morskiej katastrofie? I czy jeśli wszyscy i tak przegrają (pójdą pod wodę), nie

byłoby lepiej, żeby uratował się chociaż jeden? Jim jednak po tym co zrobił, czuje, że nie zachował się „jak trzeba”, co wpędza go w rozpacz.

Kiedy skacze do łodzi, uciekinierzy zwracają się przeciwko niemu, mszcząc się na nim za jego wcześniejsze wahania i pogardę wobec nich, co sprawia, że Jim od razu po swoim skoku chce popełnić samobójstwo, ale – Conrad tak konstruował fabułę swojej powieści – nie popełnia go, chociaż też nie wie, dlaczego właściwie sobie życia nie odbiera, bo czuje, że powinien to zrobić.

Świecka spowiedź

Cała powieść, chociaż została napisana z perspektywy areligijnej, jest utrzymana w konwencji świeckiej spowiedzi. Oto nieszczęśnik, naznaczony koszmarną traumą, wyznaje swoją winę drugiemu człowiekowi, który – co ważne – nie jest żadnym kapłanem, tylko krytyczno-empatycznym słuchaczem tragicznego wyznania. Bo Jim wyznaje, że dopuścił się czynu podłego i gryzie się tym do końca życia. Naruszył kanon etycznych zobowiązań oficera marynarki, porzucając na pastwę losu pielgrzymów-pasażerów, a także złamał uniwersalną normę ogólnoludzką solidarności – skrupuły te mało są jednak zrozumiałe dla imperialno-kolonialnych dżentelmenów, którzy przysłuchują się opowieści Marlowa. Żeby chociaż ci porzuceni przez brytyjskiego oficera pielgrzymi byli białymi ludźmi, może wysłuchano by opowieści o Lordzie Jimie z większą empatią, tymczasem przecież na tonącej „Patnie” to była tylko zgraja skazanych na śmierć kolorowych, więc czy warto przesadzać?...

Chociaż dopatrywano się w książkach Conrada akcentów rasistowskich i takie akcenty trafiały się także w *Lordzie Jimie*, Jim przekracza granicę rasistowskiego uprzedzenia, biorąc na siebie moralną odpowiedzialność za los ludzi o innym kolorze skóry.

Kluczową kategorią refleksji moralnej Conrada było pojęcie „blasku życia”. Otóż życie Jima – jak czytamy w powieści – utraciło ten blask w jednej sekundzie. Ale Conradowi i Marlowowi imponowało to, że Jim jednak odrzuca samobójstwo, które nasunęło mu się w pierwszej chwili po fatalnym skoku z pokładu do szalupy i wybiera trudny heroizm znoszenia winy, chociaż bez trudu – jak mu podpowiada racjonalna myśl – może się wyprzeć swojego „grzechu”, bo – jak powiedzieliby kolonialno-imperialni dżentelmeni – właściwie nic się nie stało.

Przecież nikt z „Patny” nie zginął. Nieszczęsnych pielgrzymów wyłowił parowiec „Avondale”, więc wcale nie zatopili, chociaż marynarze-uciekierzy opowiedzieli w sądzie fikcyjną historię, że spuścili pierwszą łódź ratunkową dokładnie w tej samej chwili, w której okręt szedł już pod wodę. I jeszcze na dodatek sami w tę historię uwierzyli.

Jim może powiedzieć podobnie, że nic się nie stało, więc właściwie za co ma się dręczyć i ponosić karę. Krzywda nie stała się nikomu. Tonącą „Patnę” znalazła na morzu francuska kanonierka i odholowała ją do Adenu. Jim może się więc spokojnie wykręcić od winy, tak jak to zrobiła reszta załogi, która uciekła przed sądem, ale on zachowuje się właśnie po conradowsku: bierze na siebie odpowiedzialność za naruszenie etyki zawodowej oficera marynarki, bo to, co zrobił, zaprzeczyło jego marzeniom o szlachetnej służbie na morzu. Należy do ludzi, którzy uważają, że życie bez honoru jest tym samym co duchowa śmierć.

W *Lordzie Jimie* Conrad stawiał czytelnikom pod rozwagę kwestię etyki autonomicznej, która pojawia się w chwili, gdy człowiek nie podlega żadnej zewnętrznej kontroli. Powieść została skomponowana tak, by pokazać sytuację zupełnej, metafizycznej samotności jednostki, bo w chwili próby Jim jest zupełnie sam i musi wybierać bez żadnego zewnętrznego wsparcia.

Wyrok sądu – odebranie dyplomu oficerskiego za opuszczenie w chwili niebezpieczeństwa powierzonych mu ludzi i ich dobytku – wyrzuca Jima poza zbiorowość ludzi przyzwoitych. Zmienia go w „napiętnowanego”, ale skoro Jim od razu nie popełnia samobójstwa, jakoś musi z tym żyć. Współczujący Marlow załatwia mu posadę akwizytora okrętowego, co staje się dla Jima rodzajem pokuty. Marlow chce nawet umożliwić mu ucieczkę przed sądem, ale Jim odmawia.

Ma dwadzieścia cztery lata – i oddając się w ręce sądu, staje się sędzią samego siebie. Jest człowiekiem samotnym – nie ma żony, tylko odległą rodzinę, z którą niewiele go łączy. Szukając pracy, jest lekceważony przez brutalnego kupca o twardej mentalności kolonialnej, który uważa go za mięczaka, ale zatrudnia go jako nadzorcę czterdziestu kulisów, zbierających na bezludnej wyspie ptasi nawet na sprzedaż, właśnie dlatego, że Jim po procesie jest w oczach ludzi zhańbionym człowiekiem „do niczego”.

Kwestia świeckiego samozbawienia

Tak Conrad stawiał w swojej powieści sprawę świeckiego samozbawienia. Jim liczy na odzyskanie honoru. Drogę do samozbawienia zaczyna od **aktu świeckiej kenozy** – symbolicznego samoukarania: honorowo odrzuca należną mu trzytygodniową pensję za służbę na „Patnie”. Jest wdzięczny Marlowowi, że ten mu zaufał (napisał list do kogoś, żeby dał Jimowi jakąś pracę). Dzięki szlachetnemu powiernikowi pracuje w łuszczeni ryżu, ale porzuca tę pracę, gdy dowiaduje się, że jest tam też mechanik z „Patny”, który zna jego sprawę. Porzuca też pracę akwizytora, kiedy w rozmowach z ludźmi sprawa „Patny” powraca. Fama o jego „grzechu” idzie za nim. Marlow radzi mu, by wyjechał do Ameryki, bo w Azji południowo-wschodniej będzie wiecznie nosił piętno skompromitowanego. On sam szuka miejsca i zajęcia, które pozwoliłoby mu odzyskać dawną godność.

Cała ta, tak pomyślana fabuła *Lorda Jima* ma strukturę doświadczenia religijnego, chociaż akcja powieści toczy się w świecie bez Boga. Najpierw moralny upadek, potem powolne podnoszenie się z traumy, oczyszczające samoukaranie i poszukiwanie świeckiego, pozareligijnego zbawienia. Jaką ma szansę człowiek współczesny – pytał Conrad – na świeckie samozbawienie w świecie, który utracił metafizyczną sankcję i na czym takie samozbawienie mogłoby polegać?

Niemiec Stein, kupiec kolonialny, łowca motyli i romantyk, który uważa Jima za romantyka, za namową Marlowa wysyła Jima do miejsca przeklętego – malajskiej krainy Patusan, wierząc, że daje mu szansę. Chce, żeby Jim zastąpił na placówce handlowej jego firmy w Patusanie nieudolnego Corneliusa.

„To właśnie była sposobność, o której [Jim] marzył” – czytamy w powieści.

Dwa lata później Marlow dociera do Patusanu szkunerem Steina. I dowiaduje się, że Jim jako „Tuan Jim” opiekuje się nadbrzeżną wioską tubylców, darzony ich szacunkiem. Ale równocześnie miłość do tubylców, którzy go szanują i cenią, łączy z „pogardliwą czułością”, w czym zawiera się nie tylko rys jego romantycznej wyniosłości, lecz i nieco rasistowskie uprzedzenie wobec „dzikich”, łączące go z brytyjskimi czytelnikami.

Tak powieść Conrada staje się historią moralnego zmartwychwstania ze świeckiego „grzechu” poprzez moralną rehabilitację „człowieka wykluczonego” żyjącego w świecie bez Boga, odzyskanie szacunku ludzi i symboliczny powrót do ludzkiego świata.

Conrad zrobił z Jima wodza tubylców, przedstawiając jego udział w wolnościowym powstaniu jako drogę do moralnego odrodzenia zgodnie z romantyczną ideą, że „grzech” popełniony wobec ludzi można zmazać walką o ocalenie innych ludzi. Jim to samotny przywódca walki Bugisów przeciw Arabowi Szafirowi, trochę wzorowany na bohaterach Byrona i malarstwie romantycznym. Stein, który go wysłał do Patusanu, to także były rewolucjonista z „wolnościowego” 1848 roku, w czym można było dopatrzyć się związków z antyrozbiorową i antyrosyjską postawą Conrada.

Jim jest przekonany, że tubylcy nigdy by nie zrozumieli jego doświadczeń z „Patny”, dlatego nie próbuje nawet mówić im o tym, co przeszedł. Ale nie chce wracać do świata białych. „Wypędzony” z obu światów i w swoim istnieniu moralnym doskonale samotny, chce zostać wśród tych, którzy nic o nim nie wiedzą. Marlow dodaje, że świat zachodni nie potrzebuje ludzi takich jak on, więc wcale nie czeka na jego powrót.

Kluczowe pytania, które Conrad stawiał w swojej powieści, brzmiały: czym się kierować w życiu, skoro nie ma żadnej odpowiedzialności przed Bogiem, który nie istnieje? Ideą duchowej łączności z tymi, których szanujemy? Zasadą „bycia wiernym” do końca – ale wiernym komu i czemu? Poczuciem odpowiedzialności za ludzi, z którymi się żyje? I jak należy żyć – to pytanie pojawiało się także w *Jądrze ciemności* – w świecie, w którym nie byłoby żadnej policji, to znaczy w świecie, w którym człowiek byłby całkowicie wolny, nieograniczony jakkolwiek zewnętrzną kontrolą?

„Będę wierny” – mówi Jim. Jeśli nie ma nad nami żadnej kontroli Boga, bo Bóg nie istnieje, zatem nie może na nas oceniająco patrzeć z góry, należy żyć tak, jakby każdego z nas obserwował uniwersalny, humanistyczny rozum zbiorowy – cała ludzkość, wcielona w normy moralne wielokulturowej całości, której część stanowiąmy? Czuć na sobie oceniający wzrok tego wyimaginowanego bytu, który ma nad nami władzę sądenia i karania? Przejmować się do głębi sprawami ludzi uciskanych i prześladowanych, by zmazać piętno własnego przewinienia? – ostatnia rozmowa Jima na brzegu morza przed odpłynięciem Marlowa z Patusanu właśnie tej sprawy dotyczy.

Jim dostaje list od ojca, proboszcza, przeciętniaka wiary, z „banalnym moralizowaniem”, charakterystycznym dla ograniczonego, spokojnego, mieszczańsko-pa-

rafialnego życia przeciętnej protestanckiej rodziny, o której mówi: „Na nich nic nie spadło, nigdy ich nic nie zaskoczyło i nie wezwano ich nigdy do zmierzenia się z losem”. Tak Conrad wyrażał swój dystans wobec religijnych pouczeń, bezsilnych – jak sugerował – w sprawie tak zawilej jak sprawa Jima.

Brown, kolonizator i rozbójnik, atakuje Patusan, potrzebując żywności dla swoich ludzi. Jim, czując się odpowiedzialny za swój niewinny lud, broni osady na wzgórzu z grupą uzbrojonych towarzyszy. Wbrew nastrojom ludu nie chce jednak walki z ludźmi Browna. Widzi w zbrodniarzach ludzi cierpiących głód, a nawet chce ich puścić wolno. Może w ich losie ujrzał swój własny los, bo ma ich za ludzi, którzy podobnie jak on popełnili moralny błąd, więc należy dać im szansę poprawy? Brown dowiaduje się jednak, gdzie jest skryte przejście prowadzące do miejsca obozowania oddziału syna Doramina, Warisa, broniącego dostępu do osady od strony rzeki, i odpływając spod Patusanu, dokonuje masakry w obozie.

Finał powieści to właściwie obraz świeckiego samozbawienia poprzez samobójstwo honorowe Jima, który świadomie udaje się do domu Doramina, zrozpaczonego po śmierci syna. Bierze na siebie winę za tę śmierć, chociaż wcale jej nie chciał. Wypuścił Browna, aby ocalić swój lud przed niepotrzebnym rozlewem krwi, ale los sprawił, że w ten właśnie sposób ściągnął na ludzi, których pragnął obronić, klęskę i śmierć. Conrad dawał tutaj **klasyczny przykład heterotelii** (rozbieżności celów i rezultatów działania), by znowu postawić pytanie o to, jak człowiek uczciwy powinien się zachować w obliczu ironicznych zawikłań losu. Sługa Jima i jego dziewczyna oczekują od niego albo walki z ludem Patusanu, wzburzonym i gniewnym po zabiciu Warrisa przez ludzi Browna, albo ucieczki. Dziewczyna, chce go ocalić, bo go kocha. On sam odrzuca walkę i ucieczkę, bo wie, że znalazł się w pułapce losu. Jak zachować się w pułapce losu? I jak by w takiej pułapce zachował się na jego miejscu jego ojciec, protestancki proboszcz, ze swoimi banalnymi, religijnymi pouczeniami? Jim wybiera samoukaranie poprzez samobójstwo z cudzej ręki. Idzie do domu Doramina, gotowy na śmierć, której się spodziewa. Zrozpaczony Doramin na oczach ludu strzela mu z pistoletu w pierś.

W każdej chwili Lord Jim może sobie powiedzieć, że śmierć syna Doramina i jego ludzi z Patusanu stała się wbrew jego woli, więc nie ponosi za nią żadnej

winy. I gdyby tak powiedział, powiedziałby prawdę. On jednak odpowiedzialność za to, co się stało – mglistą, nieostrą, niepewną – bierze na siebie, co Conrad przedstawiał jako czyn wzniosły i piękny. W ocenie czynów – taką sugestię zawarł w swojej powieści – nie liczą się bowiem intencje, tylko ich twarde konsekwencje, które człowiek uczciwy dobrowolnie bierze na siebie. Aby osiągnąć samozbawienie, Jim powtarza schemat swojego zachowania po sprawie „Patny”. Wtedy przyjął wyrok i teraz też przyjmuje wyrok, chociaż jest tylko częściowo odpowiedzialny za to, co się stało. Przecież nie chciał śmierci Warisa, przeciwnie: pragnął go ocalić, ale jego dobre chęci przyniosły skutek dokładnie odwrotny do zamierzonego.

Paradoks moralny ludzkiego losu Conrad odsłaniał w finale swojej powieści. Jim – chociaż niewierzący – zachowuje się tak, jakby naśladował Jezusa: przebacza łotrom w akcie empatii, a może nawet utożsamia się z nimi. Wybiera dla siebie „karę śmierci” za niezawinione skutki swojej, podyktowanej dobrymi intencjami, błędnej decyzji, która – wbrew jego woli – ściągnęła na innych nieszczęście. Bo w powieści Conrada naśladowanie Jezusa nie daje takich rezultatów jak w Ewangelii. Łotrowie, którym Jim wybaczył, wcale nie idą do Nieba, rozjaśnieni duchowo jego wspaiałomyślnym wybaczeniem, tylko kpiąc ze szlachetnego „naiwniaka”, wykorzystują okazję i zabijają.

Conrad jednak nie aprobował jednoznacznie jego postępowania, tylko stawiał pytania. Marlow mówi bowiem, że Jimem kierował „wzniosły egoizm”, co nie brzmi jak mocna pochwała. Bo przecież dążąc do samozbawienia, równocześnie Jim unieszczęśliwia dziewczynę, która go kocha, i to w imię – pada znamienne określenie, relatywizujące pozytywną ocenę tej postaci – „mglistego ideału postępowania”. Conrada dużo bardziej interesowała moralna „mgła”, w której musiał podejmować trudne decyzje jego bohater, niż proste przedstawianie czytelnikowi Jima jako moralnego wzoru. Ostatnim obrazem powieści jest krzywda dziewczyny, której pośrednim sprawcą jest właśnie „egoistycznie” dążący do samozbawienia Jim. I gorzko Steina mówiącego o tym, że los psuje ludzkie marzenia o doskonałym życiu. Bo głównym bohaterem powieści Conrada jest także los, który wyprawia z człowiekiem straszne rzeczy, dlatego w powieściową narrację zostało wpisane otwarte pytanie, jak zachować się wobec takiego losu, mając sumienie nadwrażliwe, które niektórzy nazwą „chorobliwym”.

Przypomnijmy: w przedmowie do *Lorda Jima* z 1917 roku Conrad wspominał o swojej rozmowie z czytelniczką, która z lekceważeniem uznała, że „chorobliwymi” sprawami, o których mowa w jego powieści, nie warto się zajmować. Cała powieść została napisana przeciwko tak rysującej się zachodniej pragmatycznej, kolonialno-imperialnej pogardzie dla „przesadnych” wyrzutów sumienia i moralnej „nadwrażliwości”, uznawanej przez słuchaczy Marlowa za dewiację, co Conrad źle przyjmował, nosząc w sobie traumatyczny ślad zranień sumienia polskiego z drugiej połowy XIX wieku.

Mając świadomość konfliktu między doświadczeniem moralnym Jima a oczekiwaniami angielskich czytelników, wpłatał co jakiś czas w tekst powieści zwroty: obawiam się, że nie zrozumiecie i nie odczujecie doświadczeń Jima, bo jesteście inni niż on. Marlow chce jednak przekonać swoich słuchaczy, że Jim w finale swojego życia osiągnął wielkość. Po to właśnie opowiada całą historię. Ale jego audytorium milczy. *No comments*. Zupełnie nie wiemy, jak opowieść Marlowa o lordzie Jimie zostaje przyjęta przez tych, którym została opowiedziana.

Co dzisiaj z Conradem?

Conradowskich inspiracji trudno szukać w twórczości pisarzy współczesnych na przykład Pilcha, Huellego, Myszkowskiego, Matywieckiego, Kędzierskiego, Brakonieckiego, Kierca, Stasiuka, Sommera, Siwczyka, Szewca czy Tokarczuk, podobnie jak nie znajdziemy ich u Becketta czy Bernharda. Mało kto się odwołuje do niego w dzisiejszych debatach, co nie znaczy, że Conrad nie cieszy się szacunkiem czytelników jako jeden z ojców założycieli literatury nowoczesnej.

Może dzieje się tak także z powodu symbolicznej schematyczności jego powieści, które tylko symulują mocne osadzenie w realistycznej scenerii. Z pewnością Conrad zawarł wiele prawdy o regułach i powinnościach pracy marynarza na angielskich statkach handlowych, fabuła jego powieści jest jednak mocno wykoncypowana, tak jak wykoncypowane są jego słynne „sytuacje conradowskie”. Ileż to on musiał się napracować, żeby wymyślić fabularny epizod, który rozpoczyna się od pęknięcia zardzewiałego kadłuba „Patny”, zapowiadając nieuchronną katastrofę, do której jednak potem nie dochodzi. Dzielenie sumienia lorda Jima na czworo, charakterystyczne dla narracji conradowskiej, było zabiegiem wysiłonym, podporządkowanym ogólnej tezie antropologicznej, której

Conrad bronił w swoich dziełach ze wszystkich sił, słusznie uważając jej konstruowanie za swoją specjalność. Mocno sztucznym zabiegiem było wprowadzenie do fabuły wymyślonej postaci Marlowa w taki sposób, by z jednej strony stanowiła ona alibi dla niby to obiektywizmu autora, z drugiej zaś fabularny instrument przeprowadzenia wywodu, który miał wpłynąć na uczucia czytelnika do bohatera i samego pisarza. Pozorna wielogłosowość Conrada co jakiś czas podczas lektury jego utworów pokazuje szwy fabularno-sytuacyjne, odsłaniając swoją umowność.

Owa sztywna umowność fabuł Conrada była skutkiem podporządkowania opowieści podstawowej intencji twórczej pisarza, a mianowicie ustawianiu narracji w taki sposób, by wyeksponować przede wszystkim sferę moralną życia bohaterów. Świat „rozżarzonych” dylematów moralnych przesłania u Conrada wszystkie inne światy, nie zawsze z korzyścią dla literackiej wartości dzieła.

Mocno to wychodzi na przykład w powieści *Tajny agent*, w której obraz rosyjskiego terroryzmu jest budowany przy pomocy natrętnie symbolicznych scen, jak choćby wysadzenie w powietrze obserwatorium astronomicznego w Greenwich, co ma ilustrować nikczemne zamiary destabilizacji królestwa brytyjskiego przez rosyjskich agentów, którzy w rzeczywistości zajmowali się sprawami dużo mniej symbolicznymi, a bardziej konkretnymi jak na przykład mordowanie konkretnych osób z emigracji antycarskiej. Podobnie z obrazem budowy europejskiego domu w środku dżungli w *Szaleństwie Almayera*.

Ciekawe są w powieściach Conrada portrety kobiet, chociaż w narracji i fabule dominuje zdecydowanie perspektywa męska. To mężczyźni odgrywają tutaj pierwszoplanowe role i to mężczyźni opowiadają mężczyznom „męskie” historie, paląc przy tym cygara. W *Jądrze ciemności* nachalną symbolizacją jest obraz kobiet dziergających na drutach przy wejściu do kompanii handlowej, które zostały przedstawione jako współczesne Parki, decydujące nie tylko o losach bohatera, ale też o całej epopei kolonialnej angielskiego mocarstwa. Podobnie natrętne jest porównywanie rzeki Kongo do nieskończonej długości makabrycznego węża, pełzającego przez dżunglę.

Mimo że Conrad czuł współczucie wobec ludów kolonizowanych, nigdy nie dał do zrozumienia w swojej narracji, że traktuje te ludy jako antropologicznie równe białemu człowiekowi, z pewnością nikczemnemu, ale jednak potrafiącemu zbu-

dować imponującą cywilizację. Czarni pozostają w jego powieściach czarnymi. W przypadku postaci kobiecych Conrad pozwolił sobie na dużo większą odwagę, kiedy na przykład zbudował fabułę *Jądra ciemności* tak, że u podstaw misji kolonialnej białych Brytyjczyków odsłaniał ni mniej ni więcej tylko żądania, aspiracje i pragnienia angielskiej kobiety, która – jak sugerował – chętnie wierzyła w fasadowe bzdury o misji cywilizacyjnej kolonizatorów, byle tylko nie wiedzieć, co tak naprawdę mężowie, wujowie czy narzeczeni robią rzeczywiście w Afryce czy Indiach. Bohater *Jądra ciemności* trafia do Afryki tylko dlatego, że ma mocną protektorkę w osobie ciotki, więc w końcu za wszystkim stoi kobieta, gładząca zresztą o cywilizowaniu dzikich przez przedsiębiorczych Anglików. W finale tej powieści bohater decyduje się całkowicie zataić prawdę o zbrodniarzu Kurtzu przed jego wrażliwą narzeczoną, która w swoim sercu nosi wyidealizowany, całkowicie nieprawdziwy obraz swojego wybranka jako bojownika walczącego w Afryce o sprawiedliwość, dobro i piękno. Pokazywany przez Conrada od tej strony kolonializm okazuje się misją mężczyzn, wysyłanych do „dzikich krajów” przez białe kobiety spragnione biżuterii z kości słoniowej, które kompletnie nie interesują się tym, jakimi to krwawymi drogami ta kość słoniowa trafia z Afryki do sklepu jubilerskiego w Londynie przy Oxford Street.

Ta krytyczna strona powieści Conrada jest przekonująca, bo w *Jądrze ciemności* sugeruje on już na początku, że współcześni Anglicy chętnie zapominają o tym, że tysiąc lat wcześniej, za czasów podboju wysp brytyjskich przez Rzymian, byli dokładnie takimi samymi okrutnymi barbarzyńcami jak prymitywne plemiona afrykańskie z XIX wieku, a podczas misji kolonialnej to archaiczne okrucieństwo, które kiedyś było ich jawną tożsamością, tylko z nich wychodzi na jaw, dotąd grzecznie ukryte za efektowną zasłoną nowoczesnej cywilizacji. Sugestie takie są jednak podsuwane przez niego ostrożnie, tak by zaledwie nie urazić brytyjskiego czytelnika, dziś zaś należą do mocno już opatrzonego kanonu myśli antykolonialnej.

Poza tym Conrada nie lubią dzisiaj i to mocno feministki za jego – jak twierdzą – obsesję na punkcie męskiego honoru, którego niebezpiecznym podłożem ma być nieliczący się z niczym, żalosny antykobiecy, samolubny narcyzm moralny conradowskich bohaterów, dążących do zachowania super-nieskazitelnosci własnych, męskich dusz nawet za cenę cudzych nieszczęść. Można się z tym

nie zgadzać, niemniej w podobnych opiniach kryje się, niestety, ziarno prawdy, chociaż, dodajmy, sam Conrad – czego feministyczne zastrzeżenia zdają się nie dostrzegać – dobrze zdawał sobie sprawę z dwuznaczności swoich marzeń i wyśrubowanych ideałów.

Gdańsk, lipiec 2024

ABEL MURCIA

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

„Twoje ciało przy moim ciele, to jest język”

Felix Grande

Któregoś dnia wykradłaś mi słowa
Zgarnęłaś je
jakbyś posprzątała mój nieporządek.
Zostawiłaś mi za to
porządek milczenia
rozbrzmiewający głucho w mej pamięci.
Jak co noc

nie rezygnuję z szukania wciąż na nowo własnego języka –
wśród prześcieradeł szukam
zranionego alfabetu twego ciała.

Życie

raz po raz przybliżasz i odrywasz wargi
w rytmicznym całowaniu i odpychaniu
czasu

opuszkami palców przywierasz
aż któregoś dnia stracisz dar dotyku

przegrana bitwa
zmieniasz tylko imię

postarzałe dzieciństwo
zwolna żółknie
na naszych zdjęciach

„Nie należę do żadnego krajobrazu”

David Carrión

Pod wodą spokojne są kamienie.
Po kamieniach przetacza się woda.
O czym myśli woda?
Co wiedzą kamienie o ruchu?
Do czego śpieszy się woda?
Dokąd bieży?

Kto pieści kogo?
Jakim dotykiem bada
Jaką powierzchnię?

Z milczenia wody,
Z milczącego kamienia
To mruczenie rzeki.

Kamień jest wodą spokojną;
Kamień bystry, wodą.

Deszczowa noc

Noc w deszczu się pogrąża, deszcz
ślizga się po ścianach domów

i liże szyby z dziką namiętnością.
Deszcz za noc się przebiera,
chlupocze w kałużach,
nieposkromiony szaleje na dachach,
zamienia się w rzekę co pożera
ulice wśród srebrnego połysku
czerni. Ten deszcz jest nocą, noc
jest deszczem i oboje zawzięli się
być sobą. Mokry upór tej czerni
cień po kropli, kropla po cieniu
nieznużenie pomnaża swą obecność.
Deszczowa noc, deszcz, noc, deszcz.

przyjdzie zima
nie spodziewaj się że zakwitnie
jacaranda

Monolog towarzyszącego

Dla Javiera Farré

Urodzić się z biegiem rzek
Każe ruszyć przed siebie,
Także mórz poszukiwać,
Oceanów i pustyń,
Pustkowi spragnionych harmonii
Skrytej w echu wód.

Nieustannie usiłujemy
Być wciąż tacy sami,
Nawet wtedy gdy się zmieniamy.

Urodzić się jest z natury rzeczy
Formą zobowiązania
By spotkać się z losem.
Stąd się wziął ten nawyk
Gromadzenia wspomnień.

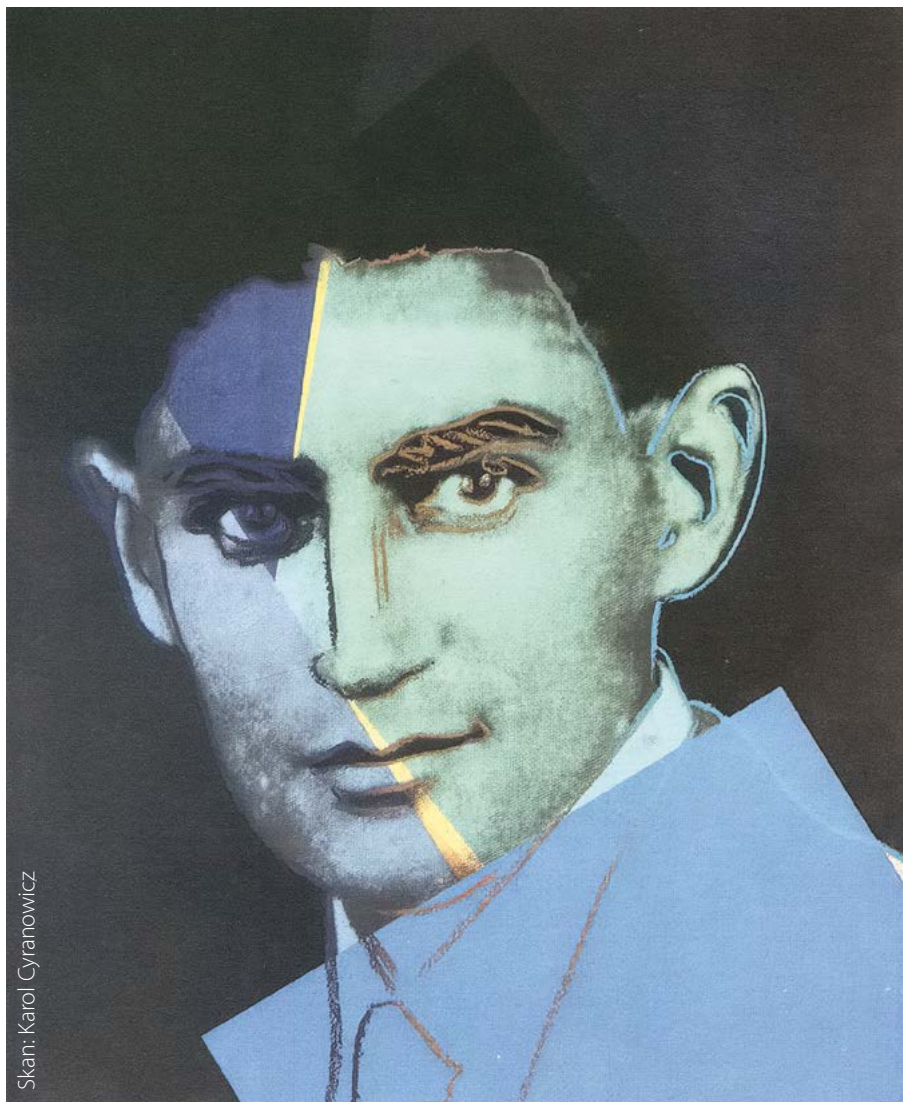
Niech nam one pozwolą
Odnaleźć dla siebie przejście
w naszych labiryntach.

Nie różnisz się ode mnie.
To tylko lustro dzisiaj jest inne.
Inne zatem są twoje drogi,
Twoje domy, ogniska domowe,
a nawet twoje odbicia.

Punkt po punkcie,
Zaledwie szkicując
Krajobraz bez wzorca
Bez horyzontów,
Zagubiony wśród alfabetów
Wchodzisz coraz głębiej
Bez chwili wytchnienia
W gęstwinę bezdrzewną
Swoich sprzeczności.

To morze tutaj
w którym nasze stopy
obmywa błękit nieba
zmieniając żyły które przez nas biegną
w rzeki uchodzące do morza
powtarzające swą mantrę
powtarzające się w morzu w jego głębi
powtarzające tobie i mnie razem z tobą
to morze które zaledwie

rozpoznaje nas i nazywa
z nazwy wydobywa
i w ten sposób formę nadaje
tym zaśpiewem powtarzającym
że jesteś i że ja jestem,
że jesteśmy razem
na tej bezbrzeżnej plaży
będę będziesz będziemy
mniej kamieniem
trochę bardziej piaskiem
także trochę wodą
i potem już niczym
może echem
a nawet nie



Skan: Karol Cyranowicz

Andy Warhol, *Franz Kafka*

100. ROCZNICA ŚMIERCI FRANZA KAFKI

FRANZ KAFKA

Trzeci zeszyt oktauwowy

w przekładzie Artura Szlosarka

18 października 1917. Strach przed nocą. Strach przed nie-nocą.

19 października. Bezsensowność (za mocne słowo) oddzielania w walce duchowej własnego od obcego.

Cała nauka to metodyka w odniesieniu do Absolutu. Dlatego nie ma potrzeby bać się tego, co jednoznacznie metodyczne. To łuska, nic więcej niż wszystko poza tym Jednym.

Wszyscy toczymy jeden bój. (Kiedy zaatakowany ostatnim pytaniem sięgam za siebie po broń, nie mogę dokonać wyboru; nawet gdybym mógł, musiałbym sięgnąć po „obcą”, gdyż wszyscy mamy tylko jeden jej zapas). Nie mogę toczyć własnego; kiedy pomyślę, że jestem samodzielny, że wreszcie nie ma nikogo wokół mnie, okazuje się naraz, że musiałem zająć tę pozycję wskutek ogólnej konstelacji, która nie była bezpośrednio, albo może nawet i w ogóle, dostępna. To, naturalnie, nie wyklucza istnienia prekursorów, maruderów, francyzobiorców oraz wszystkich zwyczajów i osobliwości prowadzenia działań bojowych, jednakże ktoś taki, jak samodzielnie prowadzący wojnę, nie istnieje. Upokorzenie próżności? Tak, ale również konieczna i zgodna z prawdą zachęta.

Gubię się.

Prawdziwa droga prowadzi przez linę, której nie rozpięto na wysokości, tylko odrobinię ponad ziemią. Wydaje się, że jest raczej przeznaczona do tego, żeby się o nią potykać, niż by po niej chodzić.

Należy wziąć głęboki oddech po wybuchach próżności i samozadowolenia. Orgia podczas lektury opowiadania w „Der Jude”. Jak wiewiórka w klatce. Ta błogość ruchu, ta desperacja na ograniczonej przestrzeni, szaleństwo wytrwałości, poczucie własnej nędzy przed spokojem na zewnątrz. I wszystko to jednocześnie, i na przemian, w gnoju końca.

Słoneczna smuga błogości.

Słaba pamięć do szczegółów i przebiegu własnego postrzegania świata – to bardzo zły omen. Fragmenty całości, jedynie. Jak chcesz choćby tylko się przybliżyć do największego zadania, wyczuć jego bliskość, wyśnić istnienie, wybłągać marzenie, odważyć się nauczyć liter prośby, skoro nie możesz dokonać samopodsumowania, tak abyś w momencie decydującym był w stanie utrzymać całość w ręku, jak trzyma się kamień gotowy do rzutu, nóż do szlachtowania? Z drugiej strony: nie trzeba najpierw spluwać w dłonie, zanim się je splecie.

Czy można pomyśleć coś beznadziejnego? A raczej: coś beznadziejnego i bez cienia nadziei? Jednym z wyjść byłby fakt, że poznanie jako takie to dawanie nadziei, pocieszenie. Można by więc pomyśleć: musisz z sobą skończyć, jednocześnie niczego w tym poznaniu nie fałszując, zachować tego świadomość. Co znaczyłoby w istocie: wyciągnąć się za włosy z bagna. To, co uchodzi za śmieszne w świecie cielesnym, jest jednakże możliwe w świecie duchowym. Tam nie obowiązują prawa grawitacji (aniołowie nie latają, nie unieważniają siły ciężenia, to tylko my, obserwatorzy świata ziemskiego, nie umiemy tego lepiej pomyśleć), co jest dla nas nie do pojęcia albo będzie dopiero na wyższym poziomie. Jak żałosna jest moja wiedza o mnie w porównaniu na przykład z moją wiedzą o moim pokoju. (Wieczorem). Dlaczego? Bowiem nie dostrzega się świata wewnętrznego w taki sposób, jak zewnętrzny. Psychologia deskryptywna to prawdopodobnie kompletny antropomorfizm, nadgryzanie granic. Świat wewnętrzny daje się przeżywać, ale nie daje się opisać. – Psychologia jest opisem odbicia świata ziemskiego na płaszczyźnie nieba, albo poprawnie: opisem odbicia, tak jak to my, przesiąknięci ziemią do imentu, o nim myślimy, gdyż nie ma w istocie żadnego odbicia, to tylko my widzimy ziemię, gdziekolwiek byśmy się nie obrócili.

Psychologia to niecierpliwość.

Wszystkie ludzkie błędy to niecierpliwość, przedwczesne porzucanie metodyczności, pozorne nabijanie na pal pozornych problemów.

Nieszczęściem Don Kichota nie jest jego wyobraźnia, lecz Sancho Pansa.

20 października. W łóżku.

Niecierpliwość i opieszałość – oto dwa główne grzechy ludzkie, z jakich wywodzą się pozostałe. Zabrakło im cierpliwości, więc wygnano ich z raju; dlatego, że są gnuśni, do raju nie wracają. Być może jest tylko jeden grzech główny: brak cierpliwości. Zostali wygnani, bo nie byli cierpliwi; jako że nie mają cierpliwości, nie wracają.

Patrząc przez skażone oko ziemskie, jesteśmy w położeniu podróżujących koleją, którzy mieli wypadek w długim tunelu, w miejscu, gdzie już nie widać światła początku, zaś światło końca jest tak słabe, że wzrok nieustannie go poszukuje i ciągle je traci z pola widzenia, przy czym bez odrobiny pewności, że początek i koniec w ogóle istnieją. W tym stanie pomieszania, czy szczególnego wyostrenia zmysłów, zaczynamy dostrzegać gromadzące się wokół potwory: i w zależności od nastroju albo stopnia zranienia jednostki odbywa się na naszych oczach ta ekscytująca albo dręcząca gra w kalejdoskopie.

Co robić? Lub: po co mam w ogóle coś robić? To pytania nie z tej okolicy.

Wiele spośród cieni tych, którzy odeszli, trudni się jedynie lizaniem rzeki zmarłych, gdyż jej źródło bije tutaj i niesie ona w sobie słony smak naszych mórz. Jeży się więc rzeka i zmienia bieg, w odruchu obrzydzenia przywracając umarłych do życia. Ci zaś są szczęśliwi: śpiewają pieśni dziękczynne i głaszczą oburzonych.

Od pewnego punktu nie ma już odwrotu. Ten punkt należy osiągnąć.

Decydująca chwila rozwoju ludzkiego trwa wiecznie. Dlatego rewolucyjne ruchy duchowe, które uznają wszystko, co było wcześniej za niebyłe, mają słuszość, bowiem rzeczywiście: nic się jeszcze nie wydarzyło.

Historia ludzkości jest sekundą pomiędzy dwoma krokami wędrowca.

Spacer do Oberklee, wieczorem.

Od zewnątrz będzie się zawsze z powodzeniem przygniatać świat teoriami i wpadać wraz z nimi w dołek. Jedynie od wewnątrz da się siebie i świat zachować, bezgłośnie, prawdziwie.

Jednym z najskuteczniejszych środków, jakimi uwodzi zło, jest wezwanie do boju. Jest on jak walka z kobietami, która kończy się w łóżku.

Prawdziwe zdrady męża, jeśli je właściwie pojąć, nie są zabawne.

21 października. W promieniach słońca.

Uciszenie się i zanikanie głosów świata.

Zwyczajny zamęt

Codzienne zajście: znoszenie zwyczajnych powikłań. A. ma do zawarcia ważną umowę handlową z B., pochodzącym z H. Jedzie do H. na wstępne spotkanie, pokonuje drogę tam i z powrotem w dziesięć minut w każdą stronę i chwali się w domu tą szczególną prędkością. Następnego dnia, ponownie udaje się do H., tym razem w celu sfinalizowania transakcji. Zakładając, że zajmie mu to prawdopodobnie kilka godzin, wyjeżdża bardzo wcześnie rano. Jednakże, chociaż wszystkie inne okoliczności, przynajmniej w opinii A., są całkowicie takie same, jak poprzedniego dnia, tym razem dotarcie do H. zajmuje mu dziesięć godzin. Kiedy, wyczerpany, dociera wieczorem do celu, dowiaduje się, że B., zirytowany nieobecnością A., udał się do wioski, zamieszkiwanej przez A., już pół godziny wcześniej, i że powinni się byli spotkać po drodze. Radzi się mu więc, by na niego poczekał. Ale A., martwiąc się o interesy, natychmiast wyrusza w drogę powrotną i spieszy do domu.

Tym razem pokonuje dystans, nie zwracając na to większej uwagi, w mgnieniu oka. W domu dowiaduje się, że B. zjawił się tam już z rana – krótko po tym, gdy A. wyszedł, tak że nawet spotkał go w bramie i przypomniał mu o interesach, ale A. odpowiedział mu, że nie ma czasu, bo bardzo się spieszy.

Pomimo tego niezrozumiałego zachowania A., B. decyduje się jednak zostać i poczekać na A. Wprawdzie często się dopytuje, czy już wrócił, ale nadal czeka w jego pokoju. A. szczęśliwy, że może wreszcie porozmawiać z B. i wszystko mu wyjaśnić, wbiega po schodach. Jest już niemal u celu, gdy się potyka i zrywa ścięgno. A., pra-

wie nieprzytomny z bólu, nie daje rady nawet krzyknąć. Jedyne skomle w ciemności, kiedy słyszy, jak B. – niewyraźnie, czy bardzo daleko, czy tuż obok niego – zbiega wściekły po schodach i nieodwołanie przepada.

To, co diabelskie, czasami przyjmuje wygląd dobra albo wręcz się w pełni w nim ucieleśnia. Jeśli pozostaje przede mną ukryte, naturalnie, ulegam mu, jest bowiem bardziej kuszące niż dobro prawdziwe. Ale co, jeśli jest jawne? Gdybym na polowaniu z nagonką, szczuty przez diabły, wpadł w potrzask zastawiony przez dobro? Gdybym, jako przedmiot odrazy, był kluty igłami, walcowany, wypychany w dobro? Gdyby widzialne szpony dobra chciały mnie pochwycić? Cofam się o krok, łagodnie i ze smutkiem przysuwam do zła, które przez ten czas czekało za moimi plecami na moją decyzję.

(Życie). Śmierdząca suka, matka wielu miotów, dotknięta już teraz częściowym rozkładem, w dzieciństwie była dla mnie wszystkim. Nieustająca w bezwzględnej wierności, węszy za mną, ja zaś musiałbym stać się kimś innym, żeby ją uderzyć. Uciekam więc. Cofam się przed nią. Krok za krokiem. Już sam jej oddech jest wystarczającym powodem, taki jest nieznośny i wstrętny. Jeśli mi się odwrót nie powiedzie, zagna mnie w głąb podwórza i przyprze do muru; już dostrzegam to miejsce kątem oka. Będzie tam chciała zgnić na mnie, ze mną. Jednak moje ręce będą do śmierci pamiętać, jak je liżała. Do końca życia – ale czy to honor dla mnie? – będę nosił na rękach ślad po mięsie, w którym ruszały się robaki.

Zło potrafi sprawiać niespodzianki. Odwraca się nagle i mówi: „Źle mnie zrozumiałeś” – i może tak jest w istocie. Zło potrafi się przemienić i stać się twoim ustami, pozwoli ci się przygryzać zębami, i tymi nowymi ustami – poprzednie usta nigdy tak dokładnie nie przylegały do zębów – wypowiadasz, ku własnemu zaskoczeniu, dobre słowo.

Prawda o Sancho Pansie

Przez lata Sancho Pansa, przed nikim nigdy się tym nie chwając, odwracał od siebie uwagę własnego diabła, którego nazwał później Don Kichot, czytając mu wieczorami i po nocach rycerskie i rozbójnicze opowieści, dzięki którym diabeł dokonywał najbardziej zwariowanych czynów, które z powodu braku określonego celu, jakim miał być Sancho Pansa, w rezultacie nikomu nie szkodziły. Sancho Pansa,

jako człowiek wolny, podążał więc za Don Kichotem z niewzruszonym spokojem. Być może towarzyszył mu w jego wyprawach z jakiegoś poczucia odpowiedzialności, mając do końca życia świetną i pożyteczną rozrywkę.

22 października. Piąta w nocy.

Jednym z najważniejszych donkichotowych czynów, jeszcze bardziej natrętnym niż walka z wiatrakami, jest samobójstwo. Martwy Don Kichot chce zabić nieżywego Don Kichota; ale by zabić, potrzebuje żywego miejsca, którego nieustannie i na próżno poszukuje mieczem. I tak, w pełni temu oddane, dwa nierozłączne trupy koziołkują żwawo przez stulecia.

Przedpołudnie w łóżku.

A. jest bardzo nadęty; wierzy, że w pomnażaniu dobra zdążył poczynić postępy tak znaczne, iż bez skrępowania uważa się za główny przedmiot nasilających się prób nakłaniania do złego – czuje przy tym, że jest szczególnie narażony na te rodzaje kuszenia, jakich dotąd nie zaznał. Naprawdę jednak rzecz przedstawia się następująco: zajął w nim miejsce sporych rozmiarów diabeł, a bezlik pomniejszych mu służy.

Wieczór w lesie, przybywający księżyc; irytujący dzień za mną. (Kartka od Maxa). Kłopoty z żołądkiem.

Różnorodność punktów widzenia w spojrzeniu na jabłko: spojrzenie małego chłopca, który musi wyciągnąć szyję, ażeby na blacie stołu dostrzec jabłko, spojrzenie pana domu, który sięga po jabłko i podaje je ze swobodą osobie siedzącej obok.

23 października. Wcześniej w łóżku.

Milczenie syren

Dowód na to, że nawet niedostateczne, ba, dziecinne środki mogą nas ocalić:

Aby uchronić się przed syrenami, Odyseusz zatkał sobie uszy woskiem i kazał się przywiązać do masztu. Oczywiście, wszyscy podróżnicy od dawna mogli uczynić podobnie, za wyjątkiem może tych, których syreny już z daleka wabiły, ale na świe-

cie wiadomo było powszechnie, że na niewiele się to zdaje. Syreni śpiew przenikał wszystko, a namiętność uwiedzionych dałaby radę zerwać nie tylko łańcuchy i połamać maszty. Ale o tym Odys jednak nie myślał, choć całkiem możliwe, że coś słyszał wcześniej na ten temat. Zaufał więc w pełni garście wosku i wiązce łańcuchów – i uradowany swoją przebiegłością, wypłynął syrenom naprzeciw.

Ale syreny dysponują bronią straszliwszą od śpiewu: mianowicie milczeniem. Choć tak się nie zdarzyło, pomyśleć można, że kiedyś ktoś już zdołał uratować się przed syrenim śpiewem, z pewnością jednak nie przed ich milczeniem. Nic ziemskiego nie zdoła się oprzeć uczuciu silniejszej ponad wszystko pychy, płynącej z tego, że się pokonało syreny własnymi siłami. I faktycznie, kiedy Odys przybył, potężne śpiewaczki zamilkły, lecz czy dlatego, że uwierzyły, iż jedynie milczeniem mogą sobie z nim poradzić, czy z tego powodu, że całkiem zapomniały o śpiewie na widok błogości na obliczu Odysa, który myślał wyłącznie o wosku i łańcuchach, nie wiadomo. W każdym razie, Odyseusz, by tak rzec, nie słyszał tej ciszy, gdyż był święcie przekonany, że one śpiewają, że przed ich śpiewem jedynie on się chroni. Wprawdzie widział w przelocie, jak obracają za nim szyje, jak głęboko wzdychają; widział ich oczy pełne łez i półotwarte usta, jednak wierzył, że to elementy należące do arii, jaka, niesłyszalna dla niego, rozbrzmiewała wokół. Wkrótce jednak i to znikło mu sprzed oczu, bowiem kiedy skierował spojrzenie w dal, syreny dosłownie pierzchyły przed jego stanowczością – i wtedy, gdy był najbliżej nich, one już dla niego nie istniały.

Jednak one – piękniejsze niż kiedykolwiek – przeciągały się i wychylały, pozwalały swoim przerażającym włosom swobodnie powiewać na wietrze, rozczapierzały na skałach pazury. Nie chciały już uwodzić, pragnęły jak najdłużej chłonać blask bijący z oczu Odysa.

Gdyby syreny miały świadomość, byłyby zgubione. Uchowały się jednak, jedynie Odyseusz im umknął. Nawiasem mówiąc, zachowało się dodatkowe wyjaśnienie do tego podania. Mówi się w nim, że Odys był takim przebiegłym lisem, że nawet bogini przeznaczenia nie mogła przeniknąć do jego najgłębszej istoty. Może, choć nie jest to już możliwe do pojęcia przez ludzki rozum, spostrzegł, że syreny milczą naprawdę – i osłonił się tylko przed nimi i bogami wyżej opisanym fortelem jak tarczą.

Popołudnie, przed pogrzebem epileptyczki, która się utopiła w studni.

Poznaj siebie samego, nie znaczy: obserwuj siebie samego. Obserwuj siebie – to słowo węża. Znaczy: uczyni z siebie pana swoich działań. Ależ nim teraz już jesteś, jesteś panem swoich poczynañ. Słowo to znaczy więc: nie doceniaj siebie! Zniszcz siebie! Czyli coś złego – i tylko kiedy się pochylisz nad tym słowem bardzo głęboko, usłyszysz dobry ton, który brzmi: „Stań się, kim jesteś”.

25 października. Smutny, nerwowy, słabe ciało; strach przed Pragą, w łóżku.

Dawno temu istniała społeczność łobuzów, to znaczy nie byli oni łobuzami, lecz zwykłymi ludźmi. Trzymali się razem. Jeśli, na przykład, któryś z nich unieszczęśliwił obcego, kogoś spoza społeczności, na łobuzerski sposób – to znaczy, znów, nie łobuzerski, ale jak zwykle, w najnormalniejszy sposób – i przyznawał się do tego przed społecznością, badano to, osądzano, nakładano na niego kary, wybaczano i tak dalej. Nie było to pomyślane źle, interesy jednostki i ogółu były dokładnie zabezpieczone, wyznający winy wysłuchiwał komplementów, na jakie zasłużył: „Co? Tym się przejmujesz? Zrobiłeś to, co było oczywiste. Postąpiłeś, jak musiałeś. Cokolwiek innego byłoby niezrozumiałe. Jesteś po prostu przemęczony. Zaczniij już mówić z sensem”. Więc trzymali się zawsze razem, nawet po śmierci nie porzucili swojej wspólnoty i wznosili się paradnymi korowodami do nieba. Był to widok czystej dziecięcej niewinności, kiedy tak wzlatywali. Jako że jednak przed samym niebem wszystko się rozpada na elementy, pospadali w dół, jak prawdziwe głązy.

Łaknienie śmierci jest pierwszą oznaką nadchodzącego zrozumienia. Tego życia dłużej już się znosić nie da, zaś inne życie nie jest możliwe. Dlatego pragnienie odejścia ze świata przestaje zawstydzać i zaczyna się prosić z wnętrza starej i zniechęconej celi o przeniesienie do celi nowej, którą dopiero później przyjdzie nienawidzić. Ale również i resztki wiary biorą w tym udział, bowiem może się zdarzyć, że przez przypadek podczas transportu przejdzie przez korytarz Pan, spojrzy na więźnia i „nie zamykajcie go więcej, ten do mnie pójdzie”, powie.

3 listopada. Droga do Oberkle. Wieczorem w pokoju Ottla i T., piszą.

Gdybyś szedł przez równinę, z dobrą wolą, by iść, i gdybyś pomimo tego nie szedł do przodu, lecz się cofał, sprawa byłaby beznadziejna. Ale jako że się starasz pokonać

urwisko, podobnie strome jak ty, jeśli się przyjrzeć z dołu, krok do tyłu może wyłącznie nie być spowodowany przez stan gruntu pod nogami, więc nie wpadaj w rozpacz.

6 listopada. Jak droga na jesień: ledwie skończą zmiatać, zaraz się pokrywa suchymi liśćmi.

Klatka poszła szukać ptaka.

7 listopada. (Wcześniej w łóżku, po „pościskany wieczorze”).

Oto, co się liczy, gdy miecz tnie duszę: patrzeć spokojnie, nie tracić krwi, reagować na chłód stali kamiennym chłodem. Być przez to cięcie nie do zranienia.

W tym miejscu jeszcze nie byłem: inaczej oddycham, bardziej niż słońce razi promienią obok niego gwiazda.

9 listopada. Do Oberklee.

Gdyby można było wznieść wieżę Babel bez wspinania się na nią, udzielono by na to pozwolenia.

10 listopada. Łóżko.

Nie pozwól złu sprawić, byś uwierzył, że mógłbyś utrzymać przed nim coś w tajemnicy.

Lamparty wpadają do świątyni i piją z kielichów ofiarnych. Powtarza się to co jakiś czas. W końcu można już przewidzieć, kiedy się to powtórzy i staje się to częścią ceremonii.

Wzburzenie. (Blüher, Tagger).

12 listopada. Przez długi czas w łóżku, obrona.

Tak mocno, jak dłoń trzyma kamień. Dłoń, która trzyma z siłą jedynie po to, żeby go jeszcze dalej odrzucić. Ale droga prowadzi również w stronę tego odrzucenia.

Jesteś zadaniem. Ale nigdzie ucznia nie ma.

Z prawdziwego wroga wstępuje w ciebie męstwo bez granic.

Pojąć szczęście, że ziemi, na której stoisz, nie może być więcej niż pod stopami, które ją przykrywają.

Jak można się cieszyć światem poza chwilami, kiedy się ucieka do świata?

18 listopada.

Kryjówek jest nieskończenie wiele, ale ratunek tylko jeden; z kolei możliwości ratunku tyle, co kryjówek.

Cel istnieje, ale nie ma drogi; to, co nazywamy drogą, jest wahaniem.

Zostaniemy jeszcze obarczeni tym, co negatywne; to, co pozytywne, już nam zostało dane.

Trzech mężczyzn jechało na chłopskim wozie pod górę, w ciemnościach. Podeszedł do nich nieznajomy i zawołał. Po krótkiej wymianie zdań okazało się, że prosi o podwiezienie. Zrobili mu więc miejsce i wciągnęli go na wóz. W czasie jazdy zapytali: „Przyszedłeś z tamtej strony i zawracasz?”. „Tak – odrzekł obcy – szedłem najpierw w waszym kierunku, ale zawróciłem; nie przypuszczałem, że się tak prędko ściemni”.

Skarżysz się na ciszę, beznadziejność ciszy, na mur dobroci.

Krzew ciernisty to stary zawałodroga. Musi się najpierw zająć ogniem, jeśli chcesz pójść dalej.

21 listopada. Nieprzydatność przedmiotu może przeszkodzić w rozpoznaniu nieprzydatności środka.

Jeśli raz ulegniesz złu, to przestanie żądać, byś w nie dalej wierzył.

To, co sam myślisz sobie skrycie, dopuszczając zło do siebie, dokładnie odpowiada temu, co ono sobie myśli skrycie.

Zwierzę wyrzywa panu bicz i zaczyna się nim okładać, żeby się stać panem, lecz nie wie, że to wyłącznie rodzaj fantazji wywołany przez nowy węzeł, zawiązany na biczu przez pana.

Zło jest tym, co dekoncentruje.

Zło zna dobro, ale dobro nie zna zła.

Tylko zło ma świadomość siebie.

Jednym ze środków, jakimi posługuje się zło, jest dialog.

Założyciel przyniósł od prawodawcy prawa, wierzący winni je prawodawcy obwieścić.

Czy fakt istnienia religii to dowód na to, że jednostka nie jest w stanie być dobra przez cały czas? Założyciel zrywa z dobrem poprzez wcielenie. Czy czyni tak ze względu na innych? Czy dlatego, że wierzy, iż może pozostać tym, kim był, z innymi? Bo musi zniszczyć „świat”, aby go kochać nie musiał?

W pewnym sensie dobru brakuje pocieszenia.

Kto wierzy, nie ma szans doświadczyć cudu. Za dnia nie widać gwiazd.

Ten, kto czyni cuda, mówi: „nie mogę porzucić ziemi”.

Prawidłowo rozdzielaj własną wiarę, między własne słowa i własne przekonania. Nie pozwól, ażeby przekonanie wyparowało wtedy, gdy się dowiesz o jego istnieniu. Nie rzucaj na słowa odpowiedzialności, jaką nakłada przekonanie. Nie pozwól, by przekonania zostały skradzione ci przez słowa, porozumienie pomiędzy słowami a przekonaniami nie jest jeszcze decydujące, ani nawet dobra wiara. Zależnie od okoliczności takie słowa mogą przekonania albo w ziemi zagrzebać, albo z niej wygrzebać.

Dyskusja w istocie nie znaczy osłabiania przekonań, nie ma potrzeby, żeby się na to uskarżać, ale ich słabość.

Nie dążę do osiągnięcia samokontroli. Samokontrola to chęć działania w przypadkowym punkcie nieskończonego promieniowania mojej duchowej egzystencji. Ale jeśli mam zataczać takie kręgi wokół siebie, wolę czynić to w bezruchu, wywołanym poprzez osłupienie, biorące się z kompleksu monstualnych rozmiarów. I tylko wsparcie, jakie ten widok *e contrario* daje, zabieram z sobą do domu.

Twierdzą wrony, że już jedna wystarczyłaby do unicestwienia nieba. Niewątpliwie, lecz nie jest to żaden dowód przeciwko niebu, bo niebo znaczy również niemożliwość wron.

Męczennicy nie lekceważą ciała. Dopuszczają do podniesienia ciała na krzyżu, w czym są zgodni ze swoimi przeciwnikami.

Jest znużony, jak gladiator po walce, jego zajęcie było bieleniem kąta w urzędzie.

24 listopada. Ludzki osąd ludzkich czynów jest prawdziwy i bez znaczenia, znaczy, najpierw prawdziwy, potem bez znaczenia.

Przez drzwi po prawej stronie, do pokoju, w którym odbywa się rodzinna narada, wchodzi ludzie. Słyszą ostatnie słowo ostatniego mówcy i wychodzą z nim, wypływają przez drzwi po lewej stronie w świat i dzielą się tam własnym osądem. Sąd nad słowem jest prawdziwy, ale sam w sobie – bez znaczenia. Jeśliby chcieli wydać nieodwołalny, prawdziwy wyrok, musieliby pozostać w tym pokoju na zawsze, stać się częścią rady rodzinnej, a przez to również utracić możliwość wydawania sądów.

Jedynie strona może naprawdę sądzić, ale jako strona właśnie – sądzić nie może. W związku z czym na świecie nie ma możliwości sądenia, jedynie jego odbłask.

Nie istnieje mieć, tylko być. Być, domagające się ostatniego tchnienia, żądające śmierci przez uduszenie.

Nie miałem wcześniej pojęcia, dlaczego na pytania nie dostaję odpowiedzi, dziś nie pojmuję, jak mogłem wierzyć, że mogę pytać. Ale przecież ja wcale nie wierzyłem, jedynie pytałem. Jego odpowiedzią na przypuszczenie, że coś posiada, ale go nie ma, były bicie serca i drżenie.

Celibat i samobójstwo znajdują się na podobnym poziomie poznania, śmierć samobójcza i męczeńska – w żadnym razie, być może małżeństwo i śmierć męczeńska.

Ktoś się dziwił, z jaką łatwością przebył drogę do wieczności. Stoczył się nią mianowicie w dół.

Dobrzy idą równym krokiem. Inni, nie wiedząc o nich, odprawiają wokół nich tańce czasu.

Nie można zła spłacać w ratach – ale próbuje się tego nieustannie.

Można przyjąć, że Aleksander Wielki, mimo ogromnych sukcesów militarnych w młodości, mimo tego, iż miał pod sobą bitną armię, jaką wyszkolił, pomimo że silnie odczuwał działanie mocy, dążących do zmiany świata, zatrzymał się pod Hellespontem i go nie przekroczył. Ale to nie strach, decyzyjna niemoc, ani słabość woli były tego powodem, lecz siła ciężenia.

Zarówno zachwycony, jak i tonący, podnoszą ręce. Pierwszy na znak zgody, drugi – walki z żywiołami.

Nie znam treści,
nie mam klucza,
nie wierzę plotkom,
wszystko zrozumiałe,
to ja.

25 listopada.

Droga jest nieskończona. I chociaż nie da się tutaj niczego odjąć, ani niczego dodać, to każdy odmierza ją własnym, dziecięcym łokciem. „Zapewne, i ten łokieć będziesz musiał jeszcze pokonać, nie będzie ci to odebrane”.

Sąd Ostateczny. Jedynie nasze pojęcie czasu pozwala używać tej nazwy. Właściwie jest to sąd doraźny.

26 listopada. Próżność oszpeca, więc właściwie winna się zabić, a zamiast tego jedynie siebie rani, stając się „zranioną próżnością”.

Na pocieszenie: dysproporcja świata wydaje się posiadać wyłącznie charakter liczbowy.

Popołudnie. Opuść głowę, pełną wstrętu i nienawiści, na pierś. Jasne, ale co, jeśli ktoś akurat zaciska mi ręce na szyi?

27 listopada. Czytać gazety.

30 listopada. Mesjasz przyjdzie, gdy tylko niepohamowany indywidualizm wiary stanie się możliwy, nikt tej możliwości nie zaprzepaści, nie pozwoli obrócić jej w niwecz, i otworzą się groby. Być może taka jest też chrześcijańska nauka, zarówno kiedy faktycznie wskazuje na indywidualne przykłady do naśladowania, jak i wtedy, gdy ukazuje symboliczny obraz zmartwychwstania Pośrednika w każdym.

Wiara oznacza: wyzwolić w sobie to, co niezniszczalne, albo dokładniej: wyzwolić siebie, albo jeszcze dokładniej: być niezniszczalnym, albo najdokładniej: być.

Gnuśność jest początkiem wszystkich wad, ukoronowaniem wszystkich cnót.

Myśliwskie psy igrają jeszcze na podwórzu, ale zwierzę, które gna teraz swobodnie przez las, nie wyrwie im się z potrzasku.

Śmiesznie ci w uprzęży, w jaką się wystroiłeś dla świata.

Im więcej koni w zaprzęgu, tym prędzej można się z tym uporać – jednak nie z wyrwaniem bloku z fundamentów, bo nie wchodzi to w grę, lecz z zerwaniem uprzęży i radosnym pędem na oślep.

Różne formy beznadziejności na różnych stacjach drogi.

Słowo „być” ma w niemieckim dwa równoważne znaczenia: być tu i należeć do Niego.

2 grudnia.

Pozwolono im dokonać wyboru: zostać królami albo królewskimi posłańcami. Jak to dzieci mają w zwyczaju, bez wyjątku chcieli zostać posłańcami. Dlatego spotyka się jedynie posłańców. Pędzą przez świat i przekazują sobie, jako że przecież królowie nie istnieją, pozbawione sensu wieści. Chętnie położyliby kres temu nędznemu bytowaniu, ale nie mogą się poważyć – wiąże ich bowiem przysięga służbowa.

4 grudnia. Burzliwa noc, przedpołudniowy telegram od Maxa, zawieszenie broni z Rosją.

Mesjasz przyjdzie dopiero wtedy, gdy nie będzie już potrzebny, w dzień po swoim przyjszciu, jednak nie w dzień ostatni, lecz w ostatni z ostatnich.

Wierzyć w postęp nie znaczy wcale wierzyć, że postęp się już dokonał. Gdyby tak było, nie mielibyśmy do czynienia z wiarą.

A. jest wirtuozem – a niebo świadkiem.

6 grudnia. Świniobicie.

Trzy możliwości:

Zobaczyć siebie jako obcego, zapomnieć o tym obrazie, zachować spojrzenie.

Albo tylko dwie możliwości, bo trzecia zawiera drugą.

Zło to niebo gwiazdziste dobra.

7 grudnia.

Człowiek nie może żyć bez trwałego zaufania do tego, co w nim niezniszczalne, przy czym zarówno to, co niezniszczalne, jak i to zaufanie, mogą dla niego pozostawać w ukryciu. Jedną z form artykulacji, jaką się ten brak jawności posługuje, jest wiara w osobowego Boga.

Niebo nieme wtóruje niemym.

Pośrednictwo węża było konieczne: zło może skusić, ale nie stać się człowiekiem.

8 grudnia. Łóżko, zatwardzenie, bóle pleców, rozdrażniony wieczór, kot w pokoju, rozbicie.

W walce pomiędzy tobą a światem – sekunduj światu.

Nie wolno nikogo oszukiwać, nawet świata, gdy zwycięża.

Nie istnieje nic oprócz świata duchowego: to, co nazywamy światem zmysłowym, jest złem w świecie duchowym, zaś to, co nazywamy złem, jest zaledwie koniecznością chwili naszego wiecznego rozwoju.

Najsilniejszym światłem można unicestwić świat. Pod wejrzeniem słabych oczu tęższe, słabsze powodują, że zaciska się w pięść, jeszcze słabsze budzą w nim poczucie wstydu – i w końcu roztrząskuje tego, który się odważył spojrzeć.

Wszystko to oszustwo: poszukiwanie minimum złudzeń; poprzestawanie na tym, co znane; szukanie maksimum. W pierwszym przypadku zdradza się dobro, pragnąc je z łatwością pozyskać, oraz zło, stwarzając dla niego niezbyt dogodne warunki przed przystąpieniem z nim do rozprawy. W drugim – oszukuje się dobro, nie starając się dążyć do niego nawet przez życie ziemskie. W trzecim, zdradza się dobro, odchodząc od niego możliwie daleko, a także – zło, żywiąc nadzieję, że można je unieszkodliwić poprzez intensyfikację. Należałoby więc przedkładać przypadek drugi nad pozostałe, bowiem dobro oszukuje się zawsze, zła zaś, jak się zdaje, oszukać się nie da.

Istnieją pytania, którym byśmy nie sprostali, gdybyśmy z natury nie byli od nich wolni.

Język może być użyty jako aluzja do tego, co znajduje się poza światem zmysłowym, lecz nie do tworzenia porównań, bo odnosząc się do świata zmysłowego,

znajduje zastosowanie tylko w odniesieniu do stanu posiadania i wzajemnych relacji w jego obrębie.

Kłamie się mało wtedy, kiedy się po prostu niewiele kłamie, nie dlatego, że nie ma się wielu okazji do kłamstwa.

Jeśli powiem dziecku: „kiedy wytrzesz buzię, dostaniesz kawałek ciasta”, nie znaczy to, że przez wytarcie buzi zasłuży sobie na ciasto, bo wytarcie buzi i wartość ciasta są nieporównywalne, ani nie sprawi też, że wycieranie ust stanie się warunkiem zjedzenia ciasta, albowiem – pomijając już niewielką wagę takiego warunku – dziecko niezależnie od tego je dostanie, bo jest ono niezbędną częścią dziecięcego posiłku. Uwaga moja nie jest zatem utrudnianiem, ale ułatwianiem przejścia: wytarcie buzi stanowi drobną korzyść, jaka poprzedza korzyść wielką: konsumpcję ciasta.

9 grudnia. Wczorajsze tańce po poświęceniu kościoła.

Stopień, który nie został solidnie wyżłobiony przez kroki, jest z własnego punktu widzenia nudnym klockem w porządku drewnianych schodów.

Obserwator duszy nie może jej przeniknąć, istnieje jednak krawędź, na której się z nią styka. To zetknięcie przekonuje nas, że i dusza nie zna siebie. Że musi pozostać niepoznana. Byłoby to smutne, gdyby poza nią istniało coś jeszcze – lecz poza nią niczego nie ma.

Kto wyrzeka się świata, musi kochać wszystkich ludzi, gdyż wyrzeka się również ich świata. Zaczyna się zatem domyślać prawdziwej istoty ludzkiej, której nie będzie mógł nie obdarzyć miłością, pod tym jednakże warunkiem, że okaże się równie dobrze urodzona.

Ten, kto na tym świecie kocha bliźniego, nie jest ani bardziej, ani mniej niesprawiedliwy, niż ten, kto na tym świecie kocha wyłącznie siebie. Pozostawałoby jedynie pytanie, czy pierwsze jest możliwe?

Fakt, że nie istnieje nic poza światem duchowym, odbiera nam nadzieję, ale daje pewność.

11 grudnia. Wczoraj nadinspektor. Dziś znów *Der Jude*. Stein: Biblia to sanktuarium, świat – gównarium.

Nasza sztuka to byt oślepiiony przez prawdę: światło na twarzy, z której ustępuje głupekowaty grymas, jest prawdziwe, i nic ponadto.

Nie każdy może ujrzeć prawdę, ale może się nią stać.

W głównej mierze wygnanie z raju jest nieskończone: bo chociaż jest ono ostateczne, a życie w świecie nieuniknione, to jednak ponadczasowość procesu wygnania czyni możliwym nie tylko to, że mogliśmy w raju pozostać – ale również i to, że się tam nadal faktycznie znajdujemy, obojętne, czy o tym wiemy, czy nie.

Każda chwila odpowiada również czemuś pozaczasowemu. Po tym świecie nie mogą nastąpić zaświaty, ponieważ zaświaty są wieczne i dlatego nie mogą mieć przez doczesność kontaktu z tym światem.

13 grudnia. Początek lektury Hercena, rozproszony przez *Die Schöne Rarität* i gazety.

Kto szuka, ten nie znajdzie, ale kto nie szuka, zostanie znaleziony.

14 grudnia. Wczoraj i dzisiaj – najgorsze dni. Przyczynili się do tego: Hercen, list do dr. Weissa i inne sprawy, trudne do wytłumaczenia. Wstrętne jedzenie: wczoraj – świńskie nóżki, dziś – ogon. Droga do Michelob, przez park.

Jest wolnym i dobrze zabezpieczonym obywatelem Ziemi, ponieważ założono mu na szyję łańcuch, który jest wystarczająco długi, żeby wszystkie ziemskie przestrzenie stały przed nim otworem; choć zarazem długość łańcucha sprawia, że nic nie może go wyrwać poza ziemskie granice. Równocześnie jest wolnym i dobrze zabezpieczonym obywatelem nieba, ponieważ i tam założono mu podobny łańcuch. Kiedy wybiera się na ziemię, dusi go łańcuch nieba; chce do nieba, ściska mu gardło łańcuch ziemi. Pomimo tego, wszystkie możliwości są w jego posiadaniu, czuje to; tak że wzbrania się nawet przed sprowadzaniem całości do błędu, jaki popełniono przy pierwszym spętaniu.

15 grudnia. Listy: od dr. Körnera, od Václava Mehla i od matki.

Niczego się tu nie da rozstrzygnąć, ale moc, niezbędną do rozstrzygnięcia, można wypróbować jedynie tutaj.

17 grudnia. Puste dni. Listy do Körnera, Pfohla, Pøibrama, do Kaisera i rodziców.

Murzyn, przywieziony do domu po Wystawie Światowej, doprowadzony przez silną tęsknotę za ojczystymi stronami do obłądu, stoi na środku wioski i z najpoważniejszą miną, przy lamentacjach plemienia, zachowując obyczaj uświęcony tradycją, opowiada zgromadzonym dowcipy, które zachwyciły publiczność w Europie jako podania i zwyczaje z Afryki.

Samozapomnienie i samozniesienie sztuki: co jest ucieczką, uchodzi za przechadzkę, a nawet za atak.

Listy van Gogha.

Biega za faktami, jak początkujący łyżwiarz, który z największym upodobaniem ćwiczy tam, gdzie to zabronione.

19 grudnia. Wczoraj zapowiedź wizyty F., dzisiaj sam w pokoju, dymiący piec na-przeciw, w Zarch z Nathanem Steinem, który opowiadał chłopce, że świat to teatr.

Cóż radośniejszego od wiary w bóstwa domowe!

Jest to jak przechodzenie w kuckach pod prawdziwym poznaniem – i dzięciący, spontaniczny wyprost!

Teoretycznie istnieje możliwość osiągnięcia pełni szczęścia: wierzyć w niezniszczalne w sobie i do niego nie dążyć.

21 grudnia. Telegram do F.

Pierwszym zwierzęciem domowym Adama po wygnaniu z raju był wąż.

22 grudnia. Lumbago, rachunki w nocy.

23 grudnia. Szczęśliwa i nieco otępiająca jazda. Wiele słyszałem.

Spałem źle, męczący dzień.

To, co niezniszczalne, jest jedno; każdy człowiek z osobna jest niezniszczalny i zarazem jest to cecha wspólna wszystkim – to tu zawiązuje się ta bezprzykładna więź między nimi, której przerwać nie sposób.

W raju, jak zawsze: to, co powoduje grzech, i to, co go poznaje, to jedno. Spokój sumienia to zło, które zwycięża w sposób tak bezprzykładny, że nawet już tego osławionego skoku z lewa na prawo nie uznaje za konieczność.

Troski własne, jakimi osoba uprzywilejowana usprawiedliwia się przed kimś, kto znajduje się w złym położeniu, wyrażają jej zatroskanie o utrzymanie uprzywilejowanej pozycji.

W jednym człowieku istnieją przekonania, które przy całkowitej odmienności mają jeden i ten sam przedmiot, co zmusza do wniosku o istnieniu w jednym człowieku wielu podmiotów.

25, 26, 27 grudnia. Wyjazd F. Płacz. Wszystko trudne; niesprawiedliwe, lecz słuszne.

Pożera ochłapy z własnego stołu, dzięki czemu jest wprawdzie bardziej syty niż pozostali, ale traci umiejętność jedzenia przy stole – i kończą się ochłapy.

30 grudnia. Nieznacznie rozzarowany.

Jeśli to, co w raju miało zostać zniszczone, w ogóle mogło być zniszczone, znaczy to, że nie było to rozstrzygające. Jeśli jednak to, co w raju uległo zagładzie, było niezniszczalne, nasza wiara jest fałszywa.

2 stycznia. Nauczyciela cechuje prawdziwy, ucznia nieustanny brak wątpliwości.

Sprawdzaj się w oparciu o ludzkość. Wątpiącego umocni w wątpieniu, wierzącego utwierdzi w wierze.

Jutro wyjeżdża Baum.

To uczucie: „Tutaj nie rzucę kotwicy” – i zaraz zabiera cię z sobą rozhuśtana fala!

Przełom. Przyczajona, lękliwa, ale i też pełna nadziei odpowiedź krąży wokół pytania. Szuka rozpaczliwie znaków na jego nieprzystępnej twarzy. Nie odstępuje go

ani na krok na drogach najbardziej bezsensownych, czyli jak najdalej odwodzących od niego.

Obcowanie z ludźmi skłania do samoobserwacji.

Duch będzie wolny dopiero wtedy, kiedy przestanie dawać oparcie.

Pod pretekstem polowania – oddala się od domu; pod pretekstem nietracenia tego domu z oka – wspina na najtrudniejsze do zdobycia szczyty. Gdybyśmy nie wiedzieli, że się wybiera na polowanie, powstrzymywalibyśmy go.

13 stycznia. Oskar wyjechał z Ottlą, droga do Eischwitz.

Miłość zmysłowa jest złudna, jeśli na jej podstawie sądzi się o miłości niebiańskiej. Jednak sama nie byłaby w stanie łudzić: ludzi, bo nieświadomie zawiera element miłości w niebie.

14 stycznia. Pochmurno, słabo, niecierpliwie.

Tylko dwie rzeczy: prawda i kłamstwo.

Prawda jest niepodzielna, więc sama nie może poznać siebie; kto chce ją poznać, ten musi być kłamstwem.

15 stycznia. Niecierpliwie. Poprawa, spacer do Oberklee nocą.

Nikt nie może pragnąć tego, co mu ostatecznie szkodzi. Jeśli jednak w przypadku pojedynczych jednostek odnosi się takie wrażenie, a niemal zawsze się je odnosi, to wyjaśnia się to przez to, że ktoś w człowieku pragnie tego, co mu wprawdzie służy, ale za to komuś drugiemu w człowieku, powołanemu do wygłoszenia o sprawie połowicznego sądu, poważnie szkodzi. Gdyby człowiek stanął na początku po stronie tego drugiego, a nie dopiero wówczas, gdy zapada wyrok, ten pierwszy zniknąłby od razu, a wraz z nim i to pragnienie.

16 stycznia. Odwrócił się z własnej woli, jak pięść, i tak oto uniknął świata.

Żadna kropla nie przepełni, żadna się już nie zmieści.

To, że nasze zadanie jest tak samo wielkie, jak nasze życie, nadaje mu pozór nieskończoności.

Dlaczego skarżymy się na grzech pierworodny? Nie był powodem wygnania z raju. Wygnano nas, abyśmy nie jedli z Drzewa Życia.

17 stycznia.

Prometeusz

O Prometeuszu mówią cztery legendy: według pierwszej, dopuścił się zdrady bogów na rzecz ludzi, za co został przykuty do skały na Kaukazie; bogowie zaś wysłali orły, aby te żarły jego wciąż odrastającą wątrobę.

Wedle drugiej, Prometeusz, cierpiąc z powodu szarpiących mu wątrobę dziobów, wciskał się coraz głębiej w skałę, aż się z nią całkiem zespolił.

Wedle trzeciej, jego zdrada została w ciągu tysiącleci zapomniana: zapomnieli bogowie, orły i on sam zapomniał. Według czwartej, zmęczono się tym, co utraciło rację bytu. Bogowie się znużyli, orły zmęczyły, zamknęła się ze zmęczenia rana.

Pozostało niepojęte pasmo skalne. – Podanie próbuje wyjaśnić niepojęte. Jako że wywodzi się z prawdy, musi mieć kres w niedocieczonym.

Prawo kadryla jest jasne, znają je wszyscy tancerze, obowiązuje w każdym czasie. Ale jeden z tych zbiegów okoliczności, jakie miały się nie wydarzyć, ale się wydarzyły, sprawia, że nagle znajdujesz się w środku szeregu tańczących. Nie wiesz, czy się szereg przez to poplątał, masz tylko świadomość własnego nieszczęścia.

17 stycznia. Droga do Oberklee. Ograniczenie.

Nawet w diable uszanuj diabła.

18 stycznia. Skarga: Jeśli będę wieczny, to jaki będę jutro?

Jesteśmy oddzieleni od Boga z obu stron: grzech pierworodny oddziela nas od niego, Drzewo Życia oddziela jego od nas.

Jesteśmy grzeszni nie tylko dlatego, że jedliśmy z Drzewa Poznania, ale także dlatego, że nie jedliśmy z Drzewa Życia. Grzeszne jest położenie, w jakim się znajdujemy, niezależnie od winy.

Drzewo Życia – Pan Życia.

Wygnano nas z raju, ale raj nie został zniszczony. Wygnanie z raju było więc w pewnym sensie szczęściem. Gdybyśmy nie zostali wygnani, raj z pewnością musiałby ulec zagładzie.

Zostaliśmy stworzeni, aby żyć w raju, przeznaczeniem raju było nam służyć. Nasze przeznaczenie się zmieniło, ale czy wraz z naszym przeznaczeniem uległo też zmianie przeznaczenie raju, oznajmione nie będzie.

Prawie do końca relacji o grzechu pierwotnym pozostaje otwarta możliwość klątwy – nad rajskim ogrodem i zamieszkującymi go ludźmi. – Tylko ludzie są przeklęci, Ogród Eden nie.

Rzekł Bóg, że Adam umrze w dniu, kiedy spożyje owoce z Drzewa Poznania. Wedle Boga, w następstwie tego czynu spotka Adama natychmiastowa śmierć; wedle węża (przynajmniej tak można go było zrozumieć), zrówna się z Bogiem. Ale ani jedno, ani drugie nie sprawdziło się dokładnie. Ludzie nie umarli, tylko stali się śmiertelni. Nie zrównali się z Bogiem, jedynie otrzymali niezbędną do tego zdolność. Nie umarł człowiek, tylko człowiek rajski, nie stali się Bogiem, jedynie boskim odkryciem.

Zawężone pole widzenia zła: już przez zdolność odróżniania dobra i zła postrzega siebie jako równy Bogu. Anatema zdaje się nie pogarszać jego istoty: zmierzy długość drogi, szorując po niej brzuchem.

Zło jest promieniowaniem ludzkiej świadomości w pewnych pozycjach przejściowych. W rzeczywistości to nie świat zmysłowy jest iluzją, lecz jego zło, które dla naszych oczu tworzy świat zmysłowy.

22 stycznia. Próba dotarcia do Michelob. Kał.

Od czasu popełnienia grzechu pierwotnego jesteśmy sobie zasadniczo równi, jeśli chodzi o zdolność poznawania dobra i zła. Jednak mimo tego, właśnie tutaj szukamy naszych przewag szczególnych. A przecież dopiero poza tym poznaniem

zaczynają się prawdziwe różnice. Wrażenie, że jest odwrotnie, zostaje wywołane przez to, że nikt nie może zadowolić się czystym poznaniem, gdyż jeszcze musi podejmować zgodne z nim działania. Nie dano mu jednak odpowiedniej do tego siły – i dlatego musi się zniszczyć. Wie, że samozniszczenie nie gwarantuje uzyskania niezbędnej siły, ale nie ma wyboru, musi się poddać tej próbie ostatniej. (Takie znaczenie ma zakaz spożywania z Drzewa Poznania pod groźbą śmierci. Być może również tutaj ma źródło pierwotny sens śmierci z przyczyn naturalnych). Tej próby jednak się boi. Wolałby sprawić, żeby poznanie dobrego i złego stało się niebyłe (pod tym względem „grzech pierworodny” sięga początków jego lęku), lecz tego, co się stało, nie da się odwrócić – można jedynie zamącić. W tym celu powstają motywacje. Świat jest ich pełen, być może cały świat widzialny nie jest niczym innym, jak tylko motywacją człowieka, który pragnie chwili spokoju. Usiłowaniem zafałszowania faktu poznania, próbą czynienia z niego celu.

Ależ pod tymi kłębam dymu jest ogień, ten zaś, któremu parzy stopy, nie ujdzie cało dlatego, że widzi tylko ciemne kłęby naokoło.

Patrzyliśmy zdumieni na dużego konia. Przebił dach izby. Zachmurzone niebo przeciągało się leniwie wzdłuż jego straszliwej sylwetki. Jego grzywa łopotała z rozmachem na wietrze.

Punkt widzenia sztuki i życia nawet w samym artyście jest odmienny.

Sztuka krąży w swym locie wokół prawdy, ale nie ma najmniejszego zamiaru się sparzyć. Jej zdolność polega na tym, że w ciemnej pustce znajduje miejsce, w którym nierozpoznawalny przed tym promień światła daje się pochwycić.

Wiara to gilotyna, jest taka ciężka, taka lekka.

Śmierć jest przed nami, jak ten obraz bitwy Aleksandra Macedońskiego na klasowej ścianie. Chodzi o to, ażeby jeszcze w tym życiu obraz ten naszymi czynami przyćmić albo całkowicie unicestwić.

Świt 25 stycznia.

Samobójca to więzień, który widzi na dziedzińcu więziennym wznoszoną szubienicę, sądząc opacznie, że przeznaczono ją dla niego, wyrывa się nocą z celi, schodzi na dół i wiesza się na niej.

Posiadamy wiedzę. Każdy, kto na jej rzecz podejmuje wysiłki szczególne, jest podejrzwany, że działa przeciwko niej.

Przed wejściem do Miejsca Najświętszego musisz zdjąć obuwie, nie tylko obuwie, wszystko, ubranie na podróż, bagaż, nagość, wszystko, co pod tą nagością, wszystko, co ukryte pod tym, następnie rdzeń i rdzeń rdzenia, potem to, co jeszcze zostanie, później resztę i po niej blask wieczystego ognia. Dopiero wtedy Najświętszy pochłonie sam płomień i tylko jemu się on da pochłonąć – nic nie powstrzyma ich przed tym.

Nie samoprzewycięzanie się, samopochłanianie.

Istniały trzy możliwości poniesienia kary za grzech pierworodny: najłagodniejszą była kara faktyczna: wygnanie z raju; drugą mogło być jego zniszczenie; trzecią zaś – i to byłaby kara najstraszliwsza: odcięcie od życia wiecznego i pozostawienie wszystkiego innego bez zmian.

28 stycznia. Próżność, samozapomnienie na kilka dni.

Dwie możliwości: stać się nieskończenie małym albo być nieskończenie małym. Druga jest doskonałością, a zatem beczynnością, pierwsza zaś to początek, czyli działanie.

O unikaniu słownego nieporozumienia: co winno być aktywnie zniszczone, przedtem musiało być pewnie trzymane; to, co się kruszy, kruszeje, ale nie może zostać zniszczone.

A. nie potrafił ani zgodnie żyć z G., ani się rozwieść, zastrzelił się więc, wierząc, że w ten oto sposób uda mu się pogodzić sprzeczności, czyli: tylko z sobą „wejść do altany”.

„Jeśli..., to musisz umrzeć”, znaczy, że poznanie ma podwójną naturę: jest stopniem do życia wiecznego i zarazem przeszkodą. Jeśli chcesz po zdobyciu wiedzy osiągnąć życie wieczne – a nie dasz rady inaczej, gdyż poznanie jest tą wolą – musisz zniszczyć siebie, przeszkodę, po to, by ten stopień, to jest zniszczenie, zbudować. Z tego powodu wygnanie z raju nie było aktem, lecz zdarzeniem.

ARTUR SZLOSAREK

Wariant

Józef K. jest kimś, kto bardzo dyskretnie wkracza na scenę lektury, niejako wprost ze snu, ale od razu zajmuje bezprecedensową pozycję w wyobraźni czytelników. Zajmuje też miejsce w kulturowej pamięci, gdzieś pomiędzy cieniami o ostrych profilach – Bustera Keatona i Glena Goulda. I skoro o tym piszemy, przyjmijmy za pewność, że wychodzi czytelnikowi naprzeciw – wspierany z prawej strony przez komika, który przestał być potrzebny producentom i reżyserom w Hollywood, zaczął zajmować się udzielaniem porad i sporadyczną agitacją na drugim planie. (Nie należy zapominać, że artyzm Keatona polega na tym, że wykreowany przez niego niemy bohater się nie śmieje, nie myśli nawet pozwolić sobie na uśmiech, chociaż sam notorycznie spoufala widzów z sytuacjami wywołującymi wybuchy śmiechu). (Jest jak ten „ślizgający się paradoks”, *gleitendes Paradox*, Kafki, kiedy jego pracę próbuje okiełznać nieznosząca apofatycznej niepewności refleksja). Po lewej stronie (nazwy od dawien dawna są umowne) powstrzymuje Józefa K. przed upadkiem wirtuoz, któremu samo „niebo świadkiem” – Glen Gould, który zdążył już polubić występy publiczne, przestał podśpiewywać podczas nagrań w studio i wyniósł na śmietnik skrzypiące krzeselko, źródło legend. Dla obu tych pomocników najważniejszy będzie gest. W przypadku Keatona tym niemal heroicznym w istocie gestem będzie nieprzyjmowanie do wiadomości faktu, że na co dzień porządek świata, jakkolwiek ten nie byłby złudny, różni się od nieładu myśli, jeśli sam się już przez nieład myśli przestał odmieniać. W przypadku Goulda – całkowity brak gestu bez znaczenia. Dla Józefa K. będzie również zarezerwowany gest charakterystyczny, który na życzenie obserwatora łatwo wypada z ram zmaterializowanej fikcji. Będzie to władczy gest garbusa, którego nadmiar skromności zbliża do audytorium, oraz niepochwytne dla pragnących pewności zbawienia *gestus* rabina cudotwórcy, paradującego w zatłuszczonej chałacie z dziurą przed gawiedzią, którego się słucha tuż przed śmiercią, czyli w każdym momencie życia, nawet

kiedy składa nam wizytę jako pastor lub ksiądz. Wprawdzie Józef K. nie mówi, że „im głębiej sięga łopata, tym głębszą słychać w grobie ciszę, jaki się kopie własnymi rękami; im mniej przy tym lęku, tym wyraźniej się to słyszy” – ale czy wypada tu obiektywizować zamiary narratora?

Diabeł sko(ło)wany

W miniaturze *Prawda o Sanczo Pansie* bohaterowi udaje się przechytrzyć diabła. Tak długo czyta mu „rycerskie i rozbójnicze opowieści”, że poruszony czytany głośno słowem diabeł dokonuje „najbardziej zwariowanych czynów”, które nie dotyczą nikogo konkretnego, a to dlatego, że sile nieczystej brakuje „upatrzonego przedmiotu, którym miał właśnie być Sanczo Pansa”. Po jakimś czasie Sanczo nadaje własnemu diabłu imię – Don Kichot. Ta mitotwórcza fikcja sugeruje nawet więcej: że związek Sancza z Rycerzem Smętnego Oblicza, czyli w tym wypadku ze złem, które go (nie)spotyka, stoi zarówno pod znakiem „spokoju ducha” w obliczu konfrontacji z piekłem, jak i „poczucia odpowiedzialności” za nie. Sanczo Pansa jest więc tutaj odpowiedzialny niejako podwójnie: za diabła i za jego niepowodzenia (choć nie za siebie!). I jest przez to „człowiekiem wolnym”, gdyż tę jego wolność definiuje diabelski byt. O bohaterach z hiszpańskiej La Manchy mówi się z tej okazji w inkryminowanym *Trzecim zeszycie oktawowym*, prowadzonym w Zürau, kilkakrotnie. Pod datą 19 października 1917 Kafka zanotuje, że prawdziwym „nieszczęściem Don Kichota nie jest jego wyobraźnia, lecz Sanczo Pansa”. Sanczo może więc oszukiwać z powodzeniem Don Kichota, bo – jak mówi Józef K. w ciemnej katedrze do duchownego – „z kłamstwa czyni się porządek świata”, oraz, jak przeczytamy w *Trzecim zeszycie* po dwóch dniach, 21 października 1917 (w niedzielę): „To, co diabelskie, przyjmuje niekiedy wygląd dobra – albo wręcz się w nim ucieleśnia”.

Nasz Franz

Brod w biografii poświęconej przyjacielowi pisze, że Kafka – „nasz Franz” – znajdował się na drodze wiodącej do świętości. Ta wydana w 1937 roku książka spotyka się z miażdżącą krytyką Waltera Benjamina, który zarzuca Brodowi brak taktu,

dziennikarskie pustosłowie, a także – sugeruje, że autorem powodowało pragnienie podniesienia samego siebie przez pełne wykorzystanie sytuacji, w jakiej się znalazł po śmierci autora *Zaginionej*. (Tę powieść – jedną z niedokończonych – poznamy pod tytułem *Ameryka*, nadanym jej przez Maxa Broda z merkantylnych względów). Jednak mimo tego, że „naiwność – jak pisze Benjamin 12 czerwca 1938 do Gershoma Scholema – jest istotą ulubieńców Kafki: od Don Kichota, przez pomocników aż po zwierzęta”, to ważniejsze będzie zwrócić tu uwagę, że – jak twierdzą obaj, Brod i Benjamin, choć posłużymy się słowami ostatniego – „dzieło Kafki jest profetyczne”. Gdyby tak nie było, to z pewnością ani Brod nie zapamiętałby następującej rozmowy z Kafką, ani Benjamin by się nią w słynnym eseju z 1934 roku *Franz Kafka. Zur zehnten Wiederkehr seines Todestages* nie posłużył. Brod: „Przypominam sobie rozmowę z Kafką, która za punkt wyjścia miała sytuację w dzisiejszej Europie oraz upadek ludzkości. »Jesteśmy – powiedział – nihilistycznymi, samobójczymi myślami, które powstają w głowie Boga«. Przypomniało mi to najpierw o obrazie świata w gnozie: Bogu, jako złym demiurgu, świecie, jako jego grzechu pierworodnym. »Ależ nie – zauważył – nasz świat jest tylko złym humorem Boga, jego złym dniem«. »Miałoby to znaczyć, że poza formą istnienia świata, jaką znamy, jest nadzieja?«. Uśmiechnął się: »Ależ wystarczająco dużo, nieskończenie wiele nadziei – tylko nie dla nas«”.

ICCHOK BASZEWIS SINGER

w przekładzie z jidysz Mariusza Lubyka

Okno na świat

1

Dlaczego niektórzy pisarze zaczynają jako utalentowani twórcy, wcześniej zdobywają uznanie czytelników i krytyki, a później nagle milkną na zawsze? To jest zagadka, której do tej pory nie rozwiązano. W warszawskim Związku Literatów¹ mieliśmy dwa takie okazy. Jeden, Menachem Raszbam, dał dowód talentu w swojej „twórczej epoce”, publikując trzy powieści. Drugi, Zymel Heszeles, w wieku dwudziestu trzech lat napisał długi poemat. Chwaleni w paru recenzjach na łamach jidyszowej prasy i w szeregu listach gratulacyjnych od starszych kolegów po piórze, zarówno od tych, którzy tworzyli w jidysz, jak i od tych piszących po hebrajsku, zamieszkałych w Polsce, w Rosji, a nawet w Ziemi Izraela. A jednak wkrótce, jak się powiada *melicq*² – ich literackie łono się zamknęło i nigdy się więcej nie otworzyło. Dziwnym trafem obaj byli niskiego wzrostu i tak jeden, jak i drugi cieszyli się renomą dobrych szachistów. Często widywałem ich przesiadujących w klubie Związku Pisarzy, jak grali w szachy. Menachem Raszbam zawsze podczas partyjki nucił jakąś melodię, kołysał się, próbując wyrwać resztkę włosów ze swej szpicbródki w kolorze soli zmieszanej z pieprzem, i gestykulował. A to się śmiał, a to krzywił jak przy bólu zęba. To znowu wznosił kciuk i palec wskazujący, szykując się do wykonania ruchu figurą szachową i raptownie je cofał, jakby się poparzył. W jego ciemnych oczach pojawiało się coś w rodzaju błysku radości, lecz wkrótce spojrze-

Opowiadanie w jidysz ukazało się w nowojorskim dzienniku „Forverts” (16, 17, 23, 24, 30 września 1976); po angielsku w przekładzie Josepha Singera w miesięczniku „Harper’s Magazine” (1 stycznia 2017).

¹ Związek Zawodowy Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Polsce, zwany też Zrzeszeniem Pisarzy i Dziennikarzy Żydowskich, swoją siedzibę miał w Warszawie przy ulicy Tłomackie 13. Adres ten jest także tytułem powieści Zusmana Segalowicza, który opisał dzieje tego Związku.

² Hebr., wieloznaczny termin literacki, tu kwiecisty język, afektowany, bombastyczny styl.

nie spowijała melancholia. Wzruszał wtedy ramionami, niby pytając: „Po co się tak szybko wpakowałem z tą wieżą?”

W Klubie Pisarzy mówiono, że Raszbam, mimo iż lepszy gracz od Heszelesa, pod koniec partii zawsze tracił cierpliwość. Nałogowy palacz, niemal nie wyjmował papierosa z ust. Bez tego atrybutu nigdy go nie widziano. Jego palce i paznokcie pożółkły. Męczył go chroniczny kaszel. Dworowano sobie z niego, że pali nawet podczas snu. Jakkolwiek źle wyglądała jego sytuacja na szachownicy, nigdy nie tracił optymizmu. Na zaszachowanie Zymela Heszelesa odpowiadał: „Szach i bach, szach, że aż strach. *Pipernoterze*³, ja cię ignoruję szczerze. Zrobię z ciebie nadzienie do *kreplech*⁴ na wieczerzę. Mata chcesz – dostaniesz, że go popamiętasz! Ty partacz z fuserlandu. Gnomie, głupcze, ty tak umiesz w szachy grywać, jak ja Torę po chińsku odczytywać...”

Kiedy zacząłem przychodzić do Klubu Pisarzy, Raszbam zbliżał się już do sześćdziesiątki. Zymel Heszeles liczył sobie jakieś pięćdziesiąt lat, a może więcej. Nie palił, nie podśpiewywał żadnych melodyjek i nie robił z siebie pozera. Uważano go za milczka. Jego pociągła twarz zawsze wyglądała na dokładnie ogoloną. Inni wydedukowali nawet, że to eunuch, któremu w ogóle nie rośnie broda na niezwykle gładkich policzkach. Do tego pociągał jedną nogą i musiał chodzić o lasce, w butach, w których jeden miał wyższy obcas. Jego brązowe włosy były jakoś niemęsko gęste i połyskujące. Menachem Raszbam zdążył się już w życiu rozwieść trzy razy i ze wszystkimi trzema żonami miał dzieci. Zymel Heszeles pozostawał starym kawalerem. Siedział wyprostowany nad szachownicą, a z bursztynowych oczu wylazła oziębłość kogoś, kto jest pewny zwycięstwa. Po drętwej mowie Raszbama, Zymel Heszeles mamrotał: „To gdzie się rusza król?”. A my, kibice, wiedzieliśmy, że Raszbam utknął z królem w potrzasku i nawet Lasker czy Capablanca nie zdołaliby mu pomóc. Zorientowawszy się, że nie ma ratunku, zwyczajnie machał ręką, przewracając figury i stwierdzając coś w rodzaju: „zlekceważyłem tego fuszera” czy też „nie powinienem ruszać piona”.

I zaciągnąwszy się dymem papierosowym, wypuszczał gęstą, skłębioną smugę prosto w twarz Zymela Heszelesa.

³ Jid., legendarny potwór, smok, a także klepak.

⁴ Jid., pierożek z nadzieniem na przykład z siekanej wątroby wołowej, cebuli i jaj ugotowanych na twardo.

My, młodzi, początkujący adepci sztuki literackiej, często rozmawialiśmy o tej dwójce, próbując znaleźć powody, dla których przestali tworzyć, oraz przytaczając o nich przeróżne anegdoty.

Menachem Raszbam zajął się dziennikarstwem i został głównym felietonistą w jednym z dwóch warszawskich jidyszowych czasopism. Chociaż chorował, prawdopodobnie cierpiał na gruźlicę, to nadal prowadził się z kobietami, najczęściej z aktoreczkami z teatru żydowskiego. Zabrał się za spekulacje giełdowe i podobno miał też do spółki z jakimś kompanem nieruchomości w Warszawie. Posiadał także udziały w pewnym wydawnictwie. Dzieci, które spłodził ze wszystkimi trzema żonami, przychodziły do niego po pieniądze. Córka się rozwiodła, syn studiował na Sorbonie we Francji. Dwie dziewczynki – potomstwo z ostatniego małżeństwa – chodziły do gimnazjum Kaleckich⁵. Jego stałą kochanką była żona aktora teatru żydowskiego. Nie udało się dociec, dlaczego mąż pozwolił jej się z nim szlajać. Często słyszałem, jak mówiono, że Raszbam ubolewał, iż jest nazbyt inteligentny, za bardzo praktyczny i nad wyraz cyniczny. Nieraz w trakcie rozmów, nawet w swoich felietonach, pomniejszał wartość literatury i wyśmiewał iluzje nieśmiertelności. Nigdy nie pozwolił na uhonorowanie siebie bankietem. Jeśli ktoś nazwał go pisarzem, Raszbam odpowiadał: „może kiedyś”. Odmówił nawet członkostwa w Pen Clubie. Należał jedynie do syndykatu dziennikarzy.

Zymel Heszeles, stary kawaler, klepał biedę. Utrzymywał się z pracy korektora, w zastępstwie pracowników gazety, wyjeżdżających na urlop w sezonie letnim. Mieszkał w skromnie umeblowanym pokoju przy ulicy Długiej. Jak na biedaka, ubierał się przyzwoicie. Zarówno latem, jak i zimą nosił czarny kapelusz z szerokim rondem, getry i artystyczny fular. Zrezygnował ze swoich literackich ambicji, dając do zrozumienia, że wciąż pisze, tyle że do szuflady. Należał do Pen Clubu i uczestniczył w wieczorach literackich. Ale ci, którzy go pamiętali z dawnych czasów, od razu dostrzegali, że przestał być sobą. Z wiekiem stał się milczkiem. Odsunął się od kolegów poetów. Nikogo nie zapraszał do siebie, a będąc gdzieś zapraszany, odmawiał przyjęcia. Był bardzo punktualny. Codziennie, z niemiecką czy „profesorską” punktualnością, o dwunastej w południe przychodził do Klubu Pisarzy, zamawiał szklankę herbaty z cytryną, nie brał żadnej przekąski, czytał czasopisma i rozgry-

⁵ Prywatna szkoła w Warszawie.

wał partię szachów z Raszbamem lub z kimś innym, a o drugiej, kiedy tłum zaczynał się schodzić na obiad, opuszczał lokal. W klubie mówiono, że Zymel Heszeles gotuje sobie na spirytusowej maszynie – na prymusie, a nawet sam pierze swoje rzeczy. Ktoś widział go, jak kupował chleb wojskowy na Kercelaku, gdzie można było taki dostać za półdarmo. Zymel Heszeles wygadał kiedyś zarządowi syndykatu dziennikarzy, że udaje mu się zjeść i odziać za taką sumę, iż nawet gdyby ją ujawnił, nikt by w to nie uwierzył.

Menachem Raszbam był tak zwaną otwartą księgą. Chętnie snuł opowieści o swoich relacjach z byłymi trzema żonami, nie robił też tajemnicy z romansu z zamężną aktorką. Za to Zymel Heszeles żył w swojej prywatnej konspiracji. Czy był eunuchem, czy po prostu impotentem? Czy utrzymywał intymne stosunki z mężczyznami? Naprawdę coś pisał, a może tylko się przechwalał? No i co robił w ciągu dwudziestu jeden godzin, czyli przez resztę doby? Nigdy nie spotkano go w kinie, w teatrze, w bibliotece, ani nawet na spacerze. Trzymał się prosto, nie palił, nie pił, chociaż nosił wciąż te same ubrania, to wyglądały one na czyste, jak nowe. Ilekroć młodym pisarzom w klubie brakowało tematu do dyskusji, rozmowa schodziła na przypadek Zymela Heszelesa. Czyżby znalazł klucz do doskonałej egzystencji? Ten człowiek wyjątkowo mnie zaciekał. Stale wyznaczałem sobie zasady postępowania i niezmiennie je łamałem. Zdecydowałem się zostać wegetarianinem, a trzy dni później uległem kielbasianej pokusie. Narzucałem sobie przeróżne regulaminy moralności i higieny duchowej, wyznaczałem kilka godzin dziennie na pisanie, lekturę, sen, gimnastykę i spacer, nigdy jednak nie stawiałem na wysokości zadania. Parę razy próbowałem porozmawiać z Zymelem Heszelesem, ale odpowiadał mi krótko i ostro, w taki sposób, że wkrótce nie było już o czym mówić. Czasami się zadowalał potrząsaniem głowy lub machnięciem ręki. Zamknął się w sobie i wyglądało na to, że tak już zostanie do kresu jego życia. O dziwo, tomik wierszy, który opublikował, zniknął nie tylko z księgarni, ale także z jidyszowych bibliotek. Wielokrotnie chciałem go przeczytać, ale nigdzie nie znalazłem ani jednego egzemplarza. W tym czasie zacząłem się już interesować badaniami parapsychologicznymi i przyszło mi do głowy, że może Zymel Heszeles jest tym, co się nazywa duchem. Gdzie napisano, że wszystkie duchy muszą pozostawać niewidzialne? Puszczając wodze fantazji o tym, jak Zymel Heszeles, po wypiciu swojej szklanki herbaty i wygrananiu partii szachów, odlatuje między demony, zjawy i chochliki, a może na spo-

tkanie lamedwowników⁶ albo raczej mędrców Syjonu⁷, którzy się zbierają gdzieś w Jerozolimie, w jakiejś grocie, i knują, jak przejąć władzę nad światem...

Pewnego zimowego wieczoru, kiedy wszedłem do Klubu Pisarzy (zamiast siedzieć u siebie w pokoju i pracować nad swoją niekończącą się powieścią, jak postanowiłem), otoczyli mnie wyraźnie podnieceni młodzi pisarze, moi koledzy. Ich radosne oczy się śmiały i błyszczały takim rodzajem triumfu, który się widzi u kogoś, kto właśnie wygrał zakład. Jeden z nich, Szmuel Blechman, mały, gruby kabotyn i plotkarz, odezwał się do mnie:

- Słyszałeś już nowiny?
- Jakie nowiny?
- Chcesz wiedzieć, co? Spróbuj zgadnąć.
- Krowa przeleciała nad dachem i złożyła mosiężne jaja – odparłem.
- Coś jeszcze dziwniejszego.

Wymyśliłem jeszcze parę kuriozów czy niedorzeczności: przyszedł Mesjasz, Stalin został syjonistą, antysemita Nowaczyński przeszedł na judaizm, rabin wojskowy, doktor Mieses⁸, zaszedł w ciążę i powił bliźniaki. Szmuel Blechman najwyraźniej nie mógł już dłużej wytrzymać napięcia i krzyknął:

- Zymel Heszeles się ożenił!

Klasnął w dłonie i zaczął się trząść i kołysać, chichocząc. Inni mu wtórowali. Z jakiegoś powodu nie byłem w nastroju do śmiechu, więc zapytałem:

- Kto jest szczęśliwą wybranką?
- Chodź zobacz! – Szmuel Blechman trącił mnie tak mocno, że omal się nie przewróciłem.

Popchnął w kierunku sąsiedniej „wielkiej sali”, jak ją nazywano, w której często przesiadywali starsi pisarze, długoletni członkowie związku, a nie goście – początkujący twórcy, jak my. Ściany wytapetowano tam drogimi materiałami i poobwieszano obrazami w złożonych ramach. Stał tam także fortepian i znajdowała się scena, na której od czasu do czasu wygłaszano referaty. Na przeciwległej ścianie wisiał portret Pereca. Jego oczy o przenikliwym spojrzeniu strzegły jidyszowej

⁶ Jid., od hebr. lamed-waw, czyli 36' – trzydziestu sześciu sprawiedliwych. Według tradycji żydowskiej w każdym pokoleniu żyje trzydziestu sześciu sprawiedliwych mężów, których pobożność i dobre uczynki pozwalają światu istnieć. Pozostają oni w ukryciu, mogą to być zwykli ludzie.

⁷ Aluzja do *Protokołów Mędrców Syjonu*, najbardziej znanego pamfletu antysemitki w XX wieku, powstałego najprawdopodobniej z inicjatywy tajnej policji carskiej (Ochrany) w Rosji.

⁸ Józef Mieses (1882–1942?), etymolog i lingwista, w latach 1921–1932 naczelny rabin Wojska Polskiego.

kultury przed wszystkimi jej wrogami: syjonistami, ortodoksami i asymilatorami. Niedaleko sceny stał stół, przy którym – choć niby każdy miał prawo tam usiąść – zazwyczaj zajmowała miejsce jedynie elita klubu: prezes, członkowie zarządu, redaktorzy i kilku pisarzy uchodzących za klasyków. Sadzano tam także zagranicznych gości, zwłaszcza tych z Ameryki. My, młodzi, nadaliśmy temu meblowi nazwę, którą odreagowaliśmy naszą zazdrość – „stół impotentów”. Tym razem zasiadło do niego bardzo wielu zwykłych klubowiczów z Zymelem Heszelesem na czele. Obok niego miejsce zajęła młoda dama, najwyraźniej cudzoziemka, w czarnym kapeluszu z szerokim, zakrzywionym rondem i w sukience, jakiej nie widziałem ani w Klubie Pisarzy, ani na ulicach, którymi się poruszałem. Miała dziewczęcą wąską twarz, oczy duże, czarne i błyszczące. Wprawdzie od czasu do czasu do Warszawy przyjeżdżały aktorki z Nowego Jorku na gościnne występy, ale wszystkie z wyglądu były w średnim wieku i w większości otyłe, w krzykliwych strojach i makijażach. Stałem oszołomiony. Jeden z kolegów z grupy uszczypnął mnie w szyję:

– I co ty na to?!

Ktoś przy stole warknął na nas, żebyśmy zamknęli drzwi; wróciliśmy do mniejszej sali. Szmuel Blechman zapytał mnie:

– Co powiesz, he?

– Skąd wiesz, że się pobrali?

– Był anons w „Hajncie”⁹.

Wziął się za przeszukiwanie gazet leżących na stole, ale ktoś wyrwał tę notkę.

Stopniowo zaczęło dochodzić do mnie więcej informacji. Panna młoda, *señorita* Lena Heszeles, bratanica Zymela, przyjechała z wizytą do Warszawy z Buenos Aires, zakochała się w swoim stryju od pierwszego wejrzenia i stanęła z nim pod chupą. Wszystko to się wydarzyło w błyskawicznym tempie. Nawet nie zauważyliśmy, że Zymel Heszeles nie pojawiał się w klubie przez kilka dni. Ceremonia odbyła się u pokątnego rabina. Podobnie jak wszystko inne, co robił Zymel Heszeles, także jego ożenek miał pozostać tajemnicą. Lena Heszeles, urodzona w Argentynie, hiszpańskojęzyczna poetka, przywiozła list rekomendacyjny od argentyńskiego Pen Clubu do jego polskiego oddziału w Warszawie. W polskim tygodniku literackim ukazał się z nią wywiad wraz z jej zdjęciem. To właśnie stąd dowiedziano się w klubie związkowym jidyszowych pisarzy o małżeństwie Zymela Heszelesa. Sekreta-

⁹ Jid., dzisiaj; popularny warszawski dziennik jidyszowy, ukazujący się w latach 1908–1939.

rzowi związku, będącemu także poetą, który każdego lata musiał toczyć batalię o zatrudnienie na zastępstwo w gazecie Zymela Heszelesa (co wskazywało, że źle się wywiązywał z obowiązków korektora, bo zamiast poprawiać błędy, próbował zmieniać teksty autorom), udało się po długich namowach i argumentacjach przekonać młodożeńca, by dał się wraz z wybranką zaprosić na szklankę herbaty. Zymel Heszeles rzadko miał powody do dumy. A tu zakochuje się w nim młoda, piękna kobieta, a do tego poetka jednego ze światowych języków. Zrzeszeni w klubie jidyszowych pisarzy literaci okazywali wielki respekt gojskiemu światu, w którym twórcy mieli powiązania towarzyskie z rządzącymi, z konsulatami, z prasą, która rozchodziła się w setkach tysięcy egzemplarzy, z członkami akademii i komitetów przyznającymi nagrody. Zymel Heszeles, chcąc nie chcąc, otworzył jidyszowym pisarzom w Polsce okno na świat...

2

Przez tydzień lub dwa po przyjęciu Zymel Heszeles nie pojawiał się w Klubie Pisarzy. Długo rozprawiano na temat tego zdarzenia, aż się nim znudzono. Stało się oczywiste, że nie był żadnym *tumtumem*¹⁰, jak zakładano, lecz przeciwnie, silnym mężczyzną, który potrafił zdobyć miłość młodej, pięknej kobiety, pisarki hiszpańskojęzycznej. Sądzono, że para na miesiąc miodowy wybierze się w podróż do Argentyny, a może nawet tam osiadzie. W Buenos Aires istniała spora diaspora żydowska, ze swoim teatrem, prasą, a nawet z zrzeszeniem literatów. Cóż takiego miał Zymel Heszeles w Warszawie, czego nie będzie mógł zdobyć w Buenos Aires? Tu, w Polsce, mieszkalo za dużo jidyszowych pisarzy. Tam zaś zachłannie starano się pozyskać takiego pisarza z zewnątrz.

No, ale po pewnym czasie Heszeles ponownie zaczął przychodzić do klubu, już nie sam, lecz z Leną. Zamawiał nie jedną szklankę herbaty, a dwie, a na dodatek z ciasteczkami. Znowu grywał w szachy, a wśród kibiców od czasu do czasu siedziała lub stała jego żona. Lena mówiła w jidysz, chociaż z hiszpańskim akcentem. Szybko nawiązała znajomość z młoda bracią pisarską, zwłaszcza z poetami. Tak jak milczący był Zymel Heszeles, tak Lena okazała się gadatliwa. Opowiadała o hiszpańskojęzycznych pisarzach w Argentynie, kawiarniach, wydawanych tam niskonakładowych czasopismach, literackich sporach, intrygach i oszczerstwach.

¹⁰ Hebr., osoba, której genitalia są niejednoznaczne lub ukryte; termin wielokrotnie pojawiający się w literaturze rabinicznej, między innymi w Talmudzie.

Dowiedzieliśmy się, że młodzi twórcy w Argentynie mają te same problemy, co my w Warszawie – nie dopuszcza się ich do poważnych czasopism i utrudnia publikację wiersza czy opowiadania. Niektórzy autorzy wydają książki własnym sumptem. Tamtejsi krytycy wykazują równie małe zrozumienie dla nowego słowa i nowego podejścia do stylu, co nasi. Młode talenty się przemilcza, ignoruje i nie rozumie. Nagrody i subsydia rozdaje się tylko tym, którzy uprawiają literacką politykę. Lena miała szczególne trudności ze względu na swoje żydowskie pochodzenie i fakt, że jej rodzice byli imigrantami z Polski. Nie otrzymała jeszcze nawet obywatelstwa, chociaż urodziła się w Argentynie.

Jej słowa wywołały w nas zarówno zdumienie, jak i sympatię dla gościa, który przybył z dalekiego świata i poślubił jednego z naszych, jidyszowego poetę i do tego biedaka. Kiedy Lena wyraziła życzenie bliższego poznania jidyszowej literatury i wzięcia lekcji jidysz, wszyscy byliśmy gotowi służyć jej jako korepetytorzy. Prawdę mówiąc, każdy z nas się w niej skrycie podkochał. Lena miała więc do dyspozycji nie jednego nauczyciela, ale kilku. Ktoś uczył ją czytać, inny pisać, trzeci wyjaśniał hebrajskie słowa występujące w jidysz, a kolejny zostawał jej uczniem i brał lekcje hiszpańskiego. Zaczęła przychodzić do Klubu Pisarzy już nie tylko na dwie godziny, które jej mąż tam spędzał, lecz na długie przedpołudnia i popołudnia. Sądziliśmy, że Zymel Heszeles stanie się zazdrosny i nie pozwoli żonie na przebywanie tyle czasu z kawalerami w podobnym co ona wieku, ale najwyraźniej jej ufał albo zwyczajnie go to nie obchodziło. Niebawem wielu starszych pisarzy także zaczęło nawiązywać z nią bliższy kontakt. Redaktor działu literackiego w jidyszowej gazecie zlecił tłumaczenie z hiszpańskiego jednego z jej wierszy i wydrukował go dużą czcionką w piątkowym wydaniu, razem z fotografią Leny (która jak zwykle wyszła prawie cała czarna). Klubowi szachiści rozgrywali z nią partyjki, choć znała zaledwie ruchy figur i pozwalali jej często wygrywać. Ktoś inny grywał z nią w warcaby. Gdy zamawiała w bufecie coś do zjedzenia czy wypicia, za każdym razem któryś mężczyzna wrywał jej rachunek i za nią płacił.

Pewnego dnia stało się nieuniknione – Lena napisała wiersz w jidysz. Dobrze wiedziałem, że utworek jest nieudolny i banalny, *gram-sztram*¹¹, lecz młodzi poeci go chwalili, rozentuzjasmowani gratulowali autorce wejścia do jidyszowej literatury. Zasypywali ją także radami, jak uczynić wiersz głębszym i bardziej oryginalnym,

¹¹ Jid., odpowiednik polskich rymów częstochowskich.

a Lena godziła się na wszystkie poprawki. Spodziewałem się, że Zymel, jako mąż, nie pozwoli jej na publikację takich bzdur, ale wyglądało na to, iż było mu zupełnie obojętne, co ona wypisuje.

A później zdarzyło się coś jeszcze – zacząłem powieść o fałszywym mesjaszu Jakubie Franku, lecz przy czwartym rozdziale wena mnie opuściła i nie potrafiłem nic więcej napisać. Akcja jakby naturalnie sama z siebie się skończyła. Wielokrotnie próbowałem rozpocząć piąty rozdział, ale cały zeszyt zabazgrałem kółkami, nic mi nie wychodziło. To był gorący letni dzień. Czytałem w *Edukacji woli* Payota, a może w książce Farrella o higienie duchowej, że długi spacer może czasami pomóc przezwyciężyć taki rodzaj blokady i postanowiłem wypróbować tę metodę. Wyszedłem na Krakowskie Przedmieście, potem Nowym Światem dotarłem aż do Alej Ujazdowskich. Po drodze zatrzymywałem się przed witrynami księgarń. Oglądałem pomniki, kościoły i domy, w których rezydowała polska arystokracja. Wszedłem do parku, zwanego Łazienkami, i długo stałem nad stawem, po którym pływały łabędzie. Stamtąd widać pałac króla Poniatowskiego. Młode kobiety, wysokie i smukłe w hippicznych strojach i butach, jechały konno. Siedziały w siodłach wyprostowane i milczące, wydawało mi się, że znają jakąś tajemnicę, skrywaną przed innymi. Wyglądały w moich oczach jakby należały do nadludzkiej rasy. Przyszło mi do głowy, że aniołowie, którzy zstąpili z nieba, olbrzymi wspomniani w Pierwszej Księdze Mojżeszowej, kochali się w takich niewiastach. Stopniowo zdałem sobie też sprawę z błędu, który popełniłem w swojej powieści. Jakub Frank był Sefardyjczykiem, wywodzącym się z Imperium Tureckiego. Jidysz nie był jego językiem ojczystym i nie powinienem brać na bohatera kogoś, kogo genologię ledwo znałem. Należało pisać tylko o jego uczniach w Polsce – Elizeuszu Szurze, Nachmanie, rabinie z Buska i innych, którzy później przeszli na chrześcijaństwo i przybrali takie ziemiańskie nazwiska, jak Wołowski i Majewski. Zdumiałem się teraz, dlaczego od samego początku nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Zaczął zapadać wieczór. Ptaki ćwierkały. Gdzieś grała kapela. Od Wisły wiały chłodne bryzy. Słońce jeszcze nie zaszło, ale księżyc już się, przedwcześnie, w pełni ukazał. Woń roślin i kwiatów mieszała się z zapachami świeżego końskiego łajna. Wraz ze swoim literackim rekonesansem zrobiłem też swego rodzaju prywatną introspekcję. Przeżyłem już wojnę światową, rewolucję i trzy reżymy – rosyjski, niemiecki i polski w odrodzonej Polsce. Żydzi otrzymali w Deklaracji Balfoura obiet-

nicę utworzenia żydowskiego siedliska narodowego. Porzuciłem wiarę przodków, kto wie, od ilu pokoleń, i starałem się zaakceptować ewolucję, progres, uniwersum, które powstało w wyniku eksplozji. Miałem zaledwie dwadzieścia sześć lat, ale wydawało mi się, że się już kręcę po tym świecie od czasów prehistorycznych. Tego zmierzchu dosłownie odczułem wędrówkę dusz.

Nagle przystanąłem. Na ławce pod gęsto rozłożystym drzewem siedzieli Menachem Raszbam i Lena. Trzymał jej dłoń w swojej. Rozmawiali, uśmiechali się. Ona się roześmiała. W tym samym momencie on skłonił ku niej głowę i pocałował ją. Stałem przez dłuższą chwilę oniemiały, schowany za drzewem, żeby mnie nie zauważyli. Czytałem już Maupassanta, Strindberga, Arcybaszewa, Kuprina, polską pisarkę Gabriellę Zapolską i wielu innych autorów, którzy pisali o seksie. Próbowałem nawet przetłumaczyć na jidysz *Pleć i charakter* Ottona Weininger. Sam już także wydrukowałem opowiadania o niewierności mężczyzn i kobiet. Jednak pierwszy raz mi się zdarzyło być naocznym świadkiem tego rodzaju zdrady. Wstydiłem się własnej naiwności. Serce waliło mi młotem, coś mnie ścisnęło za gardło i ledwo powstrzymywałem łzy. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że to nieetyczne tak tam stać i podglądać zakochaną parę, ale coś sprawiało, że nie mogłem się ruszyć z miejsca. Nie minęły jeszcze cztery miesiące, odkąd Lena poślubiła Zymela. Był nie tylko jej mężem, lecz także stryjem. Menachem Raszbam, starszy od niej pewnie ze czterdzieści lat, miał kochankę, a może nawet kilka. Kupił ją za pieniądze? Czy naprawdę darzyła go uczuciem? Czy nie miała zielonego pojęcia, co to miłość? Gdyż zarówno w jej przetłumaczonym na język polski wierszu, jak i w jidyszowym Lena mówiła o świętości kochania. Często słyszałem spory ojca z moim starszym bratem, Joszuą, w których mówił, że zakochani są cudzołożnikami i kłamcami, a romanse opisujące takie bzdury to śmiertelna trucizna. Ojciec twierdził, że kochankowie nie kochają się nawzajem, tylko siebie samych. Gdyby kobieta, nie daj Boże, zachorowała lub została kaleką, hultaj porzuci ją dla innej. Byłem wtedy jeszcze za młody, by się wtrącać do tych dyskusji, ale w duchu przyznawałem rację bratu, który argumentował, że aranżowanie małżeństw przez swata to azjatycki, fanatyczny anachronizm pozostały po średniowieczu. Wówczas przysięgłem sobie święcie, że się ożenię tylko z miłości.

Poszarzało i dwa kształty na ławce pozelewały się z cieniami. Skręciłem w bok, wyszedłem innym wyjściem i pojechałem do domu otwartym tramwajem. Ostatnia

resztką wiary w wierność niewieścią legła w moich oczach w gruzy. Ta letnia noc była jedną z tych, o których się powiada, że doprowadzają ludzi do szaleństwa. Słońce już dawno zaszło, ale niebo zachowało dzienny blask. Spływały z niego ciepłe strumienie. Wiele par spacerowało chodnikami. Nie szły, lecz wydawały się raczej płasć – mężczyźni w jasnych garniturach i słomkowych kapeluszach, kobiety w kapeluszach ozdobionych kwieciami i owocami, w prześwitujących sukienkach, przez które dostrzegało się krągłości i kołysanie piersi, bioder i łędźwi. Wszyscy byli odurzeni miłością, lecz ja się gapiłem na nich z politowaniem. Oni wszyscy byli zanurzeni po szyję w kłamstwie i zdradzie. Ja sam musiałem zostać swoistym świeckim mnichem, zamkniętym w klasztorze zwątpienia we wszystkie ludzkie wartości.

Tej nocy nie zmrużyłem oka aż do pierwszej szarówki o wschodzie słońca. Kiedy zasnąłem, obudziły mnie koszmary. Rzucałem się niczym w malignie. Poduszka u węzłowia przemokła do suchej nitki. Komary bzyzczały mi w uszach i gryzły. Z zewnątrz dochodziły krzyki pijaków lub ofiar napaści. Wstałem po jedenastej i chociaż zrezygnowałem z wczorajszej kolacji, miałem wzdęty brzuch, a język zdrętwiały. W kawiarni wypilem szybką filiżankę kawy i udałem się do Klubu Pisarzy. Może spotkam tam bohaterów mego wieczornego dramatu? Tak, wszyscy już byli – Zymel Heszeles, Lena, Menachem Raszbam. Panowie grali w szachy, a ona, siedząc na krześle obok, kibicowała. Stałem za jej plecami, niezauważony przez nią. Sytuacja Raszbama na szachownicy była krytyczna. Chrząkał, szarpał włosy z brody, krzywił się i głęboko zaciągał dymem papierosowym. Przez chwilę się wydawało, że w wielkim zmieszaniu połknął dym, lecz nagle buchnął z ust i włochatych nozdry. Zdało mi się, że nawet z jego brody wydobywały się kłęby dymu. Zymel Heszeles zapytał:

– A więc gdzie się rusza król?

– Tak, gdzie się rusza król? – zawtórowała mu żona.

Rzuciła dociekliwe i promienne spojrzenie na Raszbama, który odparł:

– Madame, proszę się nie martwić. Mam tysiące rozwiązań. Dam mu taką nauczkę, że pomyśli dwa razy, zanim dokona kolejnej marnej sztuczki. Rozerwę na strzępy tego fuszera. Wystawię taki rachunek, że się nie pozbiera...

Machnąwszy ręką, poprzewracał figury i mruknął: „Nie powinienem ruszać wieży”.

Szybko wyszedłem z klubu. Na schodach obiecałem sobie nigdy tu już nie wracać. Wytrzymałem z tą przysięgą dwa i pół tygodnia. Kiedy wszedłem do Klubu Pisarzy, Szmuel Blechman zaczął mnie:

– Gdzie zniknąłeś? Lena Heszeles przeczytała któreś twoje opowiadanie i z zachwytu jest w siódmym niebie. Szuka cię wszędzie. Chce je przetłumaczyć na hiszpański. Masz diabelne szczęście.

Nie zaczekałem na nią.

Parę dni później wyjechałem do Miedzeszyna, na dachę, do siedliska przy linii otwockiej i zasiedziałem się tam aż do Rosz Haszana¹². Kiedy wróciłem do Warszawy, przekazano mi nowiny, że Zymel Heszeles i Lena rozwiedli się i ona wróciła do Buenos Aires.

Potem, po blisko dwóch latach, umarł w sanatorium w Otwocku Menachem Raszbam. W 1935 roku wyemigrowałem do Ameryki. Zymel Heszeles zginął w 1943 roku z rąk nazistów. W 1957 roku, kiedy odwiedziłem Argentynę, wypytawałem tamtejszych pisarzy o Lenę, ale nikt nic o niej nie słyszał. Okno na świat, które miała nam otworzyć, zaczęło się dopiero wtedy dla mnie uchylać, szczelina po szczelinie...

¹² Hebr., początek roku – Nowy Rok, jedno z najważniejszych świąt żydowskich, obchodzone jesienią, pierwszego i drugiego dnia miesiąca tiszri w kalendarzu żydowskim, które według gregoriańskiego wypada na przełomie września i października.

Stary reb Berysz i jego opowieści

1

Sztybel¹ chasydzki stał na wzgórzu. Rano i wieczorem się w nim modlono, ale w ciągu dnia pozostawał prawie opustoszały. Oprócz kilku uczących się młodzieńców, wśród których byłem ja, przychodził tam stary reb Berysz, ponadstuletni starzec. W zimie ogrzewał się przy rozpalonym glinianym piecu. My, chłopaki, piekliśmy w nim kartofle na węglach. Reb Berysz zawsze był niski – tak nam przynajmniej powiedział – ale na starość zrobił się jeszcze mniejszy. Jego biała broda pożółkła i zbrązowiła od tabaki, którą zażywał z drewnianej tabakierki. Tego zimowego dnia na dworze szalała zamieć śnieżna. Padające płatki śniegu były suche jak sól. Drewniane domy przy ulicy Mostowej² całkowicie pokryła warstwa śniegu, dostrzec dało się jedynie zarysy dachów i kominy, z których, jednocześnie ze wszystkich, unosił się białawy dym. To tu, to tam sąsiedzi pomagali niejednemu wygrzebać się ze śniegu. Poszedłem tego dnia do sztyblu, będąc pewien, że nie zastanę tam reba Berysza. W jaki sposób mógłby starzec w jego wieku przebrnąć przez takie zasy? A jednak go tam spotkałem. Na moje pytanie, jak udało mu się przedostać, odpowiedział: „Moim konikiem”. I wskazując na swoją łaskę – gruby, skrzywiony i mocno sękaty kij, zakończony hakiem, powiedział:

- Zgadnij, jak długo mam ten kostur?
- Dwadzieścia lat?
- Ponad pięćdziesiąt. Podarowano mi go po drugim pożarze. Twój dziadek nie był jeszcze wtedy rabinem³.
- A kiedy był pierwszy pożar? – spytałem.

Opowiadanie ukazało się w nowojorskim dzienniku jidyszowym „Forverts” 23 stycznia 1976 roku.

¹ Jid., izba – określenie przyjęte dla prywatnych, małych modlitewni chasydzkich łączących funkcję bóżnicy i besmedreszu, służących też jako miejsce spotkań i wspólnych posiłków z cadykiem.

² W Biłgoraju; obecna ulica Lubelska.

³ Dziadek autora (ze strony matki) pełnił funkcję biłgorajskiego rabina w latach 1887–1913.

Reb Berysz się zamyślił. Uniósł krzaczaste brwi, zmętniałymi oczami nie patrzył wprost, tylko jakby w głąb siebie. Ujął brodę pokrzywionymi palcami i długo milczał. Sądziłem, że już zapomniał o pytaniu, ale po chwili zaczął wspominać:

– Pierwszy pożar miał miejsce jakieś siedemdziesiąt pięć lat temu. Nie, myłę się – znacznie wcześniej. Byłem wtedy jeszcze chłopakiem, więc to się musiało zdarzyć osiemdziesiąt pięć lat temu, a może nawet już dziewięćdziesiąt.

– I pamiętacie tak odległe czasy? – zapytałem zdziwiony.

W Beryszowych oczach pojawiło się coś w rodzaju uśmiešku.

– Czy pamiętam? Wydaje mi się, że to było wczoraj. Mieszkaliśmy wtedy tam, gdzie dziś jest rynek. Wówczas był nieco dalej z boku, znacznie mniejszy niż obecnie. Znajdowało się tam wszystkiego z jakieś dziesięć czy dwanaście sklepów. Polska istniała jeszcze jako państwo, choć Rosjanie i Niemcy już zaczęli ją rozszarpać po kawałku⁴. Miasto należało do dziedzica i był on jego absolutnym władcą. Miał długie wąsiska sięgające ramion. Wieśniacy, jak jeden mąż, byli wtedy jeszcze chłopami pańszczyźnianymi – własnością posiadacza. Kiedy dziedzic karetą zajeżdżał do miasta, czterech pachółków jechało z przodu i czterech z tyłu. Powóz zaprzęgnięty był w szóstkę koni. Podczas jego przejazdu wszyscy na ulicy kłaniali się nisko. Chłopi padali na kolana. Czasem, gdy dziedzic miał dobry nastrój, rzucał grosze, trzygroszówki, sześciogroszówki i wszyscy je łapali – nie tylko dziatwa, ale także dorośli. Wtedy za parę groszy można było dostać u piekarza cały bochen chleba albo sześć bajgli lub trzy biszkopty. A mimo to moja babka, niechaj spoczywa w pokoju, utyskiwała na drożyznę. Twierdziła, że w jej czasach wszystko było tańsze.

Na czym to ja stanąłem? Ano tak, pierwszy pożar. Pół miasta spłonęło. W tamtych czasach dachy kryto słomą, a nie gontem. Dzień był upalny. Długo nie padało i wszystko wyschło na wiór – dachy, belki stropowe. Iskra poleciała z komina i zapaliła strzechę. Ogień się rozprzestrzenił z dachu na dach. Zwykle pożar przenosi się z domu na dom, gdy wieje wiatr, ale tego dnia było zupełnie bezwietrznie. Później gadano, że ta pożoga, to kara z nieba. Do miasta przywędrował jakiś biedak i nie znalazł się nikt, kto by go przenocował. Musiał przedzierać na twardej ławie w besmedreszu⁵. Zanim powędrował dalej, słyszano jak mówił: „To miasto jest gor-

⁴ Chodzi o zabory, czego tytułowy bohater, choć bardzo stary, osobiście nie może pamiętać.

⁵ Jid., hebr. bet ha-midrash – dom nauki, studiów; pomieszczenie służące do odprawiania codziennych modlitw (modlitewnia) oraz do studiów religijnych, z dostępnym dla wszystkich księgozbiorem, miejsce zebrania, dysput, a nawet noclegu dla wędrowców.

sze od Sodomy i spotka je los Sodomy”. Tydzień później wybuchł pożar. Starsze kobiety twierdziły, że widziały niedużą ognistą postać skaczącą z dachu na dach. Robiła koziołki i wyciągała ognisty język.

– Czy to był demon? – zapytałem.

– Kto wie? Może demon, może czart, a może duszek. Ja sam tego nie widziałem.

Reb Berysz pochylił głowę i zamknął oczy. Wydawało się, że drzemie. Tego dnia byłem w sztyblu jedynym, który się tam uczył. Upiekłem kartofle na węglach i zagotowałem wodę z cykorią. Matka dała mi jedzenie, żebym nie musiał brnąć do domu na kolację po pas w śniegu. Podszedłem do reb Berysza, który się ocknął z drzemki i zagadnąłem go:

– Reb Beryszu, może zjecie gorącego kartofla lub napijecie się wody z cykorią?

– Ha? Tak. Czemu nie? W te zimne dni głód zawsze doskwiera.

2

Reb Berysz zjadł kartofla, popił wodą z cykorią i spojrzał przez okno.

– Zima, ha? – odezwał się. – Dla was, młodych, to ona mroźna, ale za moich czasów zimy były naprawdę srogie. W ogóle nie da się ich porównać. Zdarzało się tak, że od mrozu dęby pękały. Wygłodniałe wilki włóczyły się po lasach, a nocą ich oczy błyszczały niczym świeczki. Były też zimne lata. Któregoś razu w trakcie gradobicia, spadały kawałki lodu wielkości gęśich jaj. W środku dnia zapanował mrok jak nocą, i już sądzono, że to koniec świata.

Ale pozwól, że opowiem ci pewną historię.

Niedaleko Biłgoraja swoje dwory miało dwóch dziedziców i obaj się nazywali tak samo – Jan Wolski. Jeden był wysokim, niebieskookim blondynem, a drugi niski, czarnowłosy i o oczach czarnych jak u Cygana. Nikt nie wiedział, dlaczego się wzajemnie nienawidzili. Jednego nazywano Jan Płowy, a drugiego Czarny Jan. Latami obaj prowadzili przed sądem spór o las, który każdy uważał za swój. Procesy kosztowały ich olbrzymie sumy pieniędzy, a tymczasem chłopci powoli powycinali i skradli wszystkie drzewa, tak że z lasu niewiele zostało.

Pewnego razu obaj dziedzice spotkali się w zajeździe. Zaczęli się kłócić i Jan Płowy wyzwał Czarnego Jana na pojedynek. Taki obyczaj panował wśród szlachty. Jeśli jeden powiedział drugiemu jakieś obraźliwe słowo, „pokrzywdzony” wyzywał go na pojedynek. Fechtowano się mieczami albo strzelano z pistoletów. Zwykle

tym zwaśnionym towarzyszyli inni dziedzice, którzy wcześniej próbowali pogodzić strony. Jeśli się jednak nie udawało osiągnąć żadnego porozumienia, ci, którzy podjęli się roli rozjemców, decydowali, w jakiej odległości pojedynkujący mają stanąć naprzeciwko siebie i który pierwszy odda strzał. Tamtego poranka ścisłał taki mróz, że nikt nie chciał im towarzyszyć i sami przybyli do lasu. Ustawili się, każdy pod drzewem, i zaczęli do siebie mierzyć, lecz silny wiatr sprawił, że wszystkie kule okazały się niecelne. Nagle rozpętała się zamieć, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali. Drzewa zaczęły się przewracać; dziedzice cudem uniknęli śmierci. Nie chcąc, aby ich żony i dzieci dowiedziały się o pojedynku, wymknęli się i pieszo, kawał drogi, odeszli od domów. Najwyraźniej podczas nawałnicy pobłądzili lub złe duchy gdzieś ich wywiodły w pole. Wiatr smagał ich śniegiem z gradem, tak że poruszali się jak ślepcy. W takiej chwili zapomina się o wszystkich porachunkach i obaj dziedzice przylgnęli do siebie w obawie przed porwaniem przez wietrzyśko. Zamarzliby niechybnie, ale znaleźli schronienie w jaskini.

Mówiąc krótko, leżeli w tej grocie trzy dni i trzy noce bez jedzenia, pijąc tylko stopiony śnieg. Jan Płowy wyzywał Czarnego Jana od oszustów, a ten mu natychmiast odpłacał tym samym. W tym czasie zdecydowali, że zamiast marnować majątki na długie procesy, które i tak nie przyniosły żadnego rozwiązania, powinni pójść do rabina na *din Torę*⁶, jak to czynią Żydzi w przypadku sporu. Wtedy żył rabin reb Abale, cadyk⁷, a także mędrzec. Kiedy wysłuchawszy roszczeń obu stron, zapytał dziedziców, czy mają dzieci, wprawił ich w osłupienie. „Co ma piernik do wiatraka?” – spytali. „Ile macie dzieci i w jakim są wieku?” – kontynuował. Obaj odpowiedzieli i kiedy rabin usłyszał, że Jan Płowy ma siedemnastoletnią siksę, a Czarny Jan szajgeca⁸, dziewiętnastolatka, powiedział: „Wyswatajcie ich i podarujcie parze w posagu las”. Dziedzice zaczęli się śmiać: „Prawdziwie żydowskie⁹ orzeczenie”.

Nie będę cię dłużej zanudzał. Młodych połączono w parę i okazało się, że dobrani byli jak w korcu maku. O orzeczeniu zrobiło się głośno we wszystkich okolicznych miastach. Do reb Abale, zaczęli zewsząd przybywać dziedzice w spornych sprawach.

⁶ Hebr., sąd prawa religijnego – sąd rabinacki niższej instancji; także proces tegoż sądu.

⁷ Hebr., sprawiedliwy – duchowy przywódca w chasydyzmie, obdarzony mocą cudotwórczą i pośredniczący między Bogiem a ludźmi.

⁸ Jid., od hebr. szekec (niechęć, wstręt) – pejoratywne określenie młodego Żyda nieprzestrzegającego tradycji, jak też nie-Żyda uważanego za łobuza.

⁹ W oryginale polskie słowo zapisane alfabetem hebrajskim.

W związku z czym ja ci to mówię? Tak, w porównaniu z poprzednimi zimami, dzisiejsze są niczym. No, ale w tamtych czasach wszystko było tańsze. Fura drewna na opał kosztowała dziesięć groszy. Worek kartofli dostawało się za trzy. Pamiętam Chanukę¹⁰, kiedy to przy pierwszej świeczce zaczął prószyć śnieg, a potem padał osiem dni bez przerwy. Całe miasto zamieniło się w wielką hałdę śniegu.

– Jak dawno temu to było? – spytałem.

Reb Berysz się zamyślił.

– Byłem wtedy małym chłopcem, nie miałem jeszcze bar micwy¹¹. To opowieść sprzed dziewięćdziesięciu lat, a może nawet ciut starsza.

¹⁰ Hebr., poświęcenie – ośmiodniowe święto światła przypadające w grudniu, u wznowienia w 164 roku p.n.e. kultu w Świątyni Jerozolimskiej po jej sprofanowaniu przez Syryjczyków.

¹¹ Hebr., syn przykazania – uroczystość, podczas której trzynastoletni chłopiec żydowski staje się pełnoletni wobec prawa żydowskiego, tj. zdolny do przestrzegania przykazań judaizmu. Od tego czasu jest odpowiedzialny przed Bogiem za swoje czyny, może też brać pełny udział w uroczystościach religijnych odbywających się w synagodze.

GUSTAVE ROUD

w przekładzie Anny Dutki-Mańkowskiej

Punkt widzenia

fragment

Piękne słońce, konające słońce, które po raz ostatni dotykasz mych dłoni, jednej, potem drugiej, pierwszej koloru krwi, a drugiej bladoróżowej, barwisz jeszcze całą dolinę, która niczym ciężka tkanina zdobna w gałązki leży dalej niż pnie, tam gdzie obramowanie z lodowatego cienia rośnie z sekundy na sekundę. Obym się wyzwolił z przewrotnych rad, z bezustannie dobiegających do mnie podszeptów, obym szedł za tobą krok w krok aż do szczytu, gdzie dokonuje się twoja codzienna śmierć! Idę wzdłuż strumienia czarnej oliwy, pośród kępek stulonych płatków anemonów i pierwiosnków. Jesiony stoją w płomieniach i gasną jeden po drugim, kruk przede mną przelatuje z gałęzi cienia na gałąź ognia. Słońce! Jedyna prawdziwa obecności, ty, co od rana kładziesz na moim ramieniu braterską dłoń odwiecznego towarzysza drogi – a gdy spuszcze wzrok na kurz uwielbiony twoim rozbłyskiem, przeczuwam niejasno Inną Obecność, której twoja obecność *nadaje znaczenie*, słońce, ach! czyż miałbym stracić me życie, naśladować jakieś inne istnienia, do połowy zakopać się jako masywne drzewo, nurzać się w piachu i wić w skałę jako głęboka rzeka, iść z mozołem za pługiem jak ci wszyscy wokół mnie, którzy *się z tym pogodzili*, dopóki Anioł śmierci nie powali ich z twarzą zwróconą ku rozpoczętej bruździe! – Czy nie pójdziesz ze mną? – pyta mnie kosiarz pogrążony do piersi w zagadce kwiatów oszalałych kwitnieniem, a spojrzenie jego niewinnych oczu jest tak czyste, że ogarnięty drżeniem się odwracam. – Nie przyłączysz się do nas? – mówią mężczyźni, którzy chodzą tam i z powrotem, śmieją się, rozmawiają i liczą, piękni jak zwierzęta albo maszyny. Słońce, słońce, czy stale jeszcze przemawia do ciebie byt stworzony, ten, któremu istnienie daje promień, a unicestwia palec mroku, byt pędzony wiatrem po świetle jak plewy? „Świadomość uczyniłeś centrum świata i samego siebie, szepcze mi jakiś

głos, i dlatego świat i ty sam obróciliście się w nicość. Na co jeszcze czekasz? Wiosna nie przyjdzie do tych, którzy nie odważyli się umrzeć”.

Zagadka, która pojawia się wraz z narodzinami każdej wiosny – i lęk, obawa, że pozostanie bez rozwiązania! Traktując umysł jako podobny w pewnym sensie sobie, zima sprowadza świat do zbioru znaków prawie tak konwencjonalnych i skostniałych jak pismo; można zamknąć okno ukazujące ośnieżony krajobraz tak, jak zamyka się książkę. Teksty znikają; odzyskujemy pełną wolność. To zupełnie niemożliwe, jeśli przekroczymy próg. Każda lampa, każda gwiazda świeci swoim własnym światłem; zegary kościelne wybijają godziny; śnieg liczy nasze kroki. Zaś oddech, który powinien nas łączyć ze wszechświatem, jest małym obłoczkiem, okrągłym i precyzyjnym, który wyraźnie płynie w stronę księżyca.

Ale teraz, gdy obecność świata jest nieodwołalna, i otacza nas dniem i nocą – nasz sen rozdzierają ptaki, uderza weń fala świeżego wiatru pośród liści, a spojrzenie od samego początku wypełniają akordy – znowu ogarnia nas dawne pragnienie, by przeniknąć tę intrygującą tajemnicę. Kiedyś przebiegaliśmy łąki, wioski i świeże lasy; sen pod jesionem pozostawiał nas światem pogrążonych w rosie i w rozbłysku marzeń sennych; tajemnica znikła za sprawą jakiegoś niesłychanego zjednoczenia.

Ale nie można być zawsze biernym; choć porywające byłoby, gdyby osoba pytająca zespoliła się z pytaną, to możliwe jest to jedynie na chwilę. Dzisiejszego wieczoru takiej właśnie istocie, radykalnie odmiennej, wątła dzika wiśnia obsypana kwiatami (kwitnąca na samym końcu drobniotka biała dłoń, o ruchach ledwo dostrzegalnych) znów zadaje owo tajemnicze pytanie.

I nigdy nie będzie na nie odpowiedzi.

Requiem

fragment

Na brzegach rzeki zerwać można
zmijowiec nostryk biały
Mokra droga splata na wzgórzach
swe z kałużą i z liści korale

Chmury trzciny i trawy
ospałe z włosami w nieładzie
niebo trzy wierzy w listopadzie
w dół płyną z wodą ze służby
Powietrze smakuje czarnym nocnym lodem
i pęka gdy róg zabrzmi myśliwych
Zagubiony ptak gładzi swe pióra
jego krzyk smutny serce przeszywa

Uciszyć swój krzyk Nikt go nie usłyszy
Nie męcz ciała wątłego bez końca
Ja wiem kto mnie przyzywa w rozpacz
z oczami zamkniętymi pod umarłych słońcem

Ach ta zasadzka, ostatnia pułapka wieczności, którą na mnie zastawiłaś na drodze pośród dojrzalego zboża! Jedno tylko słowo w spiekocie południa, jeden nagły krzyk jak strzała – i niebo się rozpada. Cała moc zaświatów wali się na świat, atakuje stado przerażonych wzgórz, pokrywa czernią i roztopia dawny złoty refleks pszenicy, ścina ukośnie długi rząd czereśni i zmiata je w nicość jak podarte strojne szaty po skończonej zabawie. Przede mną jest już tylko plama innego światła, tam się potykam i padam, olśniony.

Leżę bezsilny pod wielkim dzwonem światła, a rytm coraz szybszych nawoływań zamiera, jakby serce krztusiło się od napływu krwi,

mój synu synku syneczku mój synu

zamieram pod łukiem nawoływań biegnących od jednego brzegu ciszy do drugiego

mój synu

raz jeszcze, ledwo dosłyszalnie, jak ostatnie skrzypnięcie pióra
potem głos umilkł, na zawsze.

Odmienność

fragment

Drogowskaz jest już tylko niemym masztem, ale rozpoznałem owo rozległe skrzyżowanie na skraju wioski. Jedna z dróg biegła w dół między domami ku niewielkiej niskiej oberży: Kawiarni pod Gwiazdą. Pamiętam. Bardzo wtedy bałem się gwiazd i mało brakowało, żebym, przeczytawszy szyld wiszący pod lampą nad progiem, ruszył w drogę powrotną. Ale wolałem gwiazdę malowaną od roju jej siostr wysoko w górze, owej sfory z zapamiętaniem przesywającej bezsilną zdobycz, katów o pięknych nazwach, stale zmartwychwstających, Kasjopeę, która wyciąga ręce w swoim wiecznym urągliwym śmiechu, Oriona, na powrót w postaci myśliwego, Herkulesa, Perseusza – oszczep, włócznię, maczugę, wszystkie swe dawne rodzaje broni odrzucili na rzecz jednego tylko oręża: świstu jasnych bezgłośnych strzał w samo serce.

Pamiętam. Wtedy każdej nocy, całym ciałem niepewnym i jakby zamkniętym na sobie samym, a jednak podtrzymywanym oczekiwaniem zbyt gwałtownym i nadmiernie pewnym, jękając się, wymawiałem słowo, z którym trudno jest się zmierzyć w życiu, słowo *odmienność*. Ścieżki dnia są litościwe dla takich pozornych wędrowców. Zamiast garści klejnotów i śmiechu kobiet przy fontannie, dają ci wyrosły wśród zeschłej trawy nagi fiołek przy policzku, a za żywopłotem, rozczesywanym bez końca podmuchami późnej jesieni, zawsze samotnego rudzika, który nieśmiało zwraca ku tobie oko błyszczące i nieprzeniknione jak owoc czarnej porzeczeki. Ale cień odbierał mi rzeczy nazwane. A ja nie miałem imienia. Szedłem nagi, wewnętrznym uchem uważnie nasłuchując kotłujących się sylab, podczas gdy w górze, od jednego krańca nieba do drugiego, olbrzymie oświetlone Stwory namierzały swą ofiarę, kryjąc zasadzkę pod tysiącami olśniewających mrugnięć. Nie miałem imienia. Przeczuwałem jednak jakiś niejasny pierwotny chrzest, pieczęć, której kiedyś odczytałem w głębi rozdartego ciała bezlitosne znaki litera po literze. Żałosny podróżniku! Jak gigantycznego wysiłku potrzebujesz, by pokonać zwykły próg Gwiazdy! A ten głos bezdźwięczny skierowany do usługującej – posągu stojącego obok balustrady z migoczących butelek! Czekałem, aż poczuję, jak palą mnie usta, a nędzny płomień stopniowo przesunie się od gardła do serca, i faktycznie, trunek, który nalały owe leniwe dłonie, był już tylko podejrzanym opium powodującym najgorszy rodzaj nieobecności: bytu oderwanego od siebie.

LYDIA DAVIS

w przekładzie Jacka Gutorowa

Sierść

Piesek odszedł. Jakże nam go brakuje. Żadnego szczekania, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. Żadnych powitań, kiedy wracamy późno do domu. Ciągłe znajdujemy resztki białej sierści w całym domu i na ubraniach. Zbieramy je. Powinniśmy je wyrzucać. Ale są wszystkim, co po nim mamy. Tak więc nie wyrzucamy ich. Jest w nas szalona nadzieja – jeśli zbierzemy odpowiednio dużo sierści, złożymy pieska z powrotem.

Trzynasta kobieta

W miasteczku liczącym sobie dwanaście kobiet była jeszcze jedna, trzynasta kobieta. Nikt się nie przyznawał, że tam mieszka, nikt do niej nie pisał, nikt o niej nie mówił, nikt o nią nie pytał, nikt nie sprzedawał jej chleba, nikt niczego od niej nie kupował, nikt nie odwzajemniał się jej spojrzeniem, nikt nie pukał do jej drzwi; deszcz nie padał na nią, słońce nigdy na nią nie świeciło, dzień nie zaczynał się dla niej o świcie, noc nigdy dla niej nie zapadała; tygodnie dla niej nie upływały, lata nie przemijały; jej dom był bez numeru, jej ogród leżał odłogiem, jej dróżką nikt nie przechodził, w jej łóżku nikt nie spał, jej jedzenia nikt nie jadł, jej ubrań nikt nie nosił; pomimo tego wszystkiego nie opuszczała miasteczka i nie miała do nikogo o nic żalu.

Cedry

Kiedy nasze kobiety zamieniły się w cedry i stanęły na cmentarzu, zaczęły zawodzić na wietrze. Z początku mieliśmy dobre humory, a ich zawodzenie wydawało nam się piękne. Potem jednak już go nie słuchaliśmy, ogarnął nas niepokój i coraz częściej kłóciliśmy się ze sobą.

Wiatry tego roku były bardzo silne. Nigdy wcześniej nie wiało tak silnie w naszej wiosce. Wróble nie mogły latać i szukały chronienia na ziemi; spadające dachówki rozbijały się na chodniku. Gałęzie smagały szyby naszych niskich okien. Każdej nocy upijaliśmy się do nieprzytomności i zasypialiśmy przytuleni do siebie.

Przyszła wiosna, wiatry ucichły, słońce mocniej zajaśniało. Wieczorem długie cienie padały na podłogę i tylko błysk ostrza noża rozświetlał mrok. Mrok zapadł też w naszych duszach. Dla nikogo nie mieliśmy już dobrego słowa. Niechętnie szliśmy pracować na pola. W milczeniu obserwowaliśmy nieznajomych, którzy przychodzili, aby oglądać naszą fontannę i nasz kościół: opieraliśmy się o brzeg fontanny ze skrzyżowanymi butami, a nasze okaleczone psy chowały się przed nami.

W końcu droga była w tak złym stanie, że nikt już nie przychodził. Nawet wędrowni kaznodzieja nie miał odwagi wejść do wioski, choć słońce połyskiwało w wodzie fontanny, dolina za wioską była biała od kwitnących orzechów i drzew owocowych, a upał wnikał w różowe kamienie kościoła w południe i odpływał o zmierzchu. Koty przemukały w ciszy od drzwi do drzwi. Las za wioską był wypełniony śpiewem ptaków. Na próżno czekaliśmy na przybyszów; głód wyjadał nam żołądki.

Pewnego dnia, gdzieś głęboko w sercu cedrów, nasze żony poruszyły się i pomyślały o nas. Wróciły beztrąsko i, jak nam się zdawało, leniwie. Spojrzeliśmy na ich zacięte usta i nieprzeniknione oczy. Nasze serca wypełniła błogość. Spijaliśmy dźwięk ich szorstkich głosów jak wędrowcy zostawiający za sobą pustynię.

Głowa, serce

Serce płacze.

Głowa próbuje mu pomóc.

Jeszcze raz mówi sercu:

Stracisz bliskich. Wszyscy przepadną. Ale przecież nawet ziemia kiedyś przepadnie.

Słyszac to, serce czuje się lepiej.

Jednak słowa wypowiedane przez głowę nie pozostają długo w uszach serca.

Wszystko to jest dla serca takie nowe.

Chcę, żeby wrócili, mówi.

Serce nie ma niczego poza głową.

Pomóż, głowo. Pomóż sercu.

Nieznajomi

Moja babcia i ja mieszkamy w otoczeniu nieznajomych. Dom wydaje się za mały, aby pomieścić wszystkich, którzy pojawiają się w nim o różnych porach. Zasiadają do kolacji tak, jakby ktoś ich zapraszał – zresztą zawsze jest dodatkowe miejsce dla gościa – albo wchodzi do salonu prosto z zimna, rozgrzewając ręce i narzekając na pogodę, siadają przy ogniu i sięgają po książkę, której wcześniej nie widziałam, a następnie zaczynają czytać od miejsca zaznaczonego zakładką ze skrawka starego papieru. Co w pełni zrozumiałe, niektórzy z nich są pogodni i przyjacielscy, podczas gdy inni są nieprzyjemni – opryskliwi i chytry. Z niektórymi od razu się zaprzyjaźniam – rozumiemy się doskonale od pierwszej chwili – i z przyjemnością myślę o spotkaniu przy śniadaniu. Ale kiedy rano schodzę na śniadanie, nikogo nie ma; często nigdy już ich nie spotykam. Wszystko to jest bardzo irytujące. Moja babcia i ja nigdy nie wspominamy o tym zjawianiu się i znikaniu nieznajomych. Ale obserwuję jej delikatną różową twarz, kiedy wchodzi do jadalni, opierając się na lasce i przystaje zdziwiona. Idzie tak wolno, że prawie tego nie widać. Młody człowiek wstaje od stołu, aby pomóc jej dotrzeć do krzesła. Babcia kwituje jego obecność nerwowym uśmiechem i uprzejmym skinieniem, choć widzę, że podob-

nie jak ja jest zaniepokojona faktem, że rano go nie było i nie będzie jutro; ale zachowuje się tak, jakby wszystko to było zupełnie naturalne. Oczywiście zdarza się, że osoba przy stole to nie uprzejmy młody człowiek, tylko zasuszona panna, która je cicho i bez słowa i wychodzi zanim ktokolwiek skończył jeść, albo stara kobieta, która krzyczy na wszystkich i wypluwa skórkę pieczonego jabłka na talerz. Nic nie możemy na to poradzić. Jak mamy pozbyć się ludzi, których nigdy nie zapraszaliśmy i którzy wychodzą, kiedy chcą? Choć reprezentujemy różne pokolenia, obie zostałyśmy wychowane tak, żeby nigdy nie zadawać pytań i tylko uśmiechać się, gdy widzimy coś niezrozumiałego.

Podróżując z matką

1.

Okazało się, że autobus miał na przedzie tabliczkę z napisem Buffalo, a nie Cleveland. Plecak był z Sierra Club, a nie z Audubon Society.

Powiedziano mi, że mam wsiąść do autobusu z tabliczką Cleveland, choć nie jechałam do Cleveland.

2.

Plecak, który zabrałam ze sobą, był wyjątkowo solidny. Może nawet zbyt solidny.

Przygotowałam wiele odpowiedzi na ewentualne pytanie, co mam w plecaku. Mogłam powiedzieć „To piasek do doniczek na rośliny” albo „To coś do wyspania do poduszeczki zapachowej”. Albo powiedziałabym prawdę. Ale tym razem nie sprawdzali bagażu.

3.

W walizce na kółkach wiozłam metalowy pojemnik owinięty ubraniami. To był teraz jej dom, albo jej łóżko.

Nie chciałam wkładać jej do walizki na kółkach. Pomyślałam: jeśli będę ją niosła na plecach, przynajmniej będzie blisko mojej głowy.

4.

Czekałyśmy na autobus. Zjadłam jabłko. Było tak stare, że smakowało jak szarlotka.

Nie wiem, czy też usłyszała nagraną zapowiedź. Głośniki nadawały ją co kilka minut. Na pewno zwróciłyby uwagę na gramatycznie niepoprawny początek: „Z uwagi na względy bezpieczeństwa...”.

5.

Wyjazd z miasta wydawał się tak ostateczny, że w pewnym momencie pomyślałam, iż tam, gdzie jechałyśmy, może zabraknąć mi pieniędzy.

Przedtem nie mogła nawet opuścić domu. Teraz przeprowadza się i przeprowadza.

6.

Już tak długo podróżujemy razem.

Jest tyle miejsc, które mogłybyśmy zwiedzić.

Noworoczne postanowienie

Pytam mojego przyjaciela Boba, jakie są jego noworoczne postanowienia. Odpowiada ze wzruszeniem ramion (wskazującym, że chodzi o coś oczywistego): ograniczyć picie, schudnąć... Pyta mnie o to samo, ale na razie nie wiem, co odpowiedzieć. Ostatnio znowu studiuję buddyzm zen, raczej z umiarkowanym zapałem; ma to związek z rozpaczą przed wakacjami, choć moja rozpacz też jest umiarkowana. W książce o zen przeczytałam, że nie ma różnicy pomiędzy medalem i zgnitym pomidorem. Po kilku dniach zastanawiania się wiem już chyba, jaka byłaby moja szczerza odpowiedź na pytanie Boba: w nowym roku chciałabym opanować sztukę postrzegania siebie jako nicości. Czy to postanowienie może współzawodniczyć z postanowieniami innych? Bob chce schudnąć, tymczasem ja chcę ujrzeć siebie jako nicość. Oczywiście współzawodniczenie z innymi nie ma nic wspólnego z buddyzmem. Prawdziwa nicość wyklucza rywalizację. A ja nie chcę z nikim rywalizować. Jest we mnie prawdziwa pokora. Przynajmniej tak mi się wydaje – bo czy można mówić o prawdziwej pokorze u kogoś, kto pragnie być nicością? Jest

też inny problem, który od kilku tygodni usiłuję wyrazić w rozmowach z Bobem. W połowie życia człowiek jest na tyle dojrzały, że widzi, iż wszystko, nawet sukces, jest niczym; ale jak opanować sztukę widzenia siebie jako nicość, kiedy wcześniej tak trudna była nauka widzenia siebie jako kogoś? Skomplikowane. Przez pierwszą część życia uczysz się, że jesteś kimś, a teraz, w drugiej części życia, musisz nauczyć się, że jesteś nicością. Do tej pory byłeś negatywną nicością, teraz pragniesz być nicością pozytywną. Zaczęłam w pierwszych dniach nowego roku, ale na razie bez skutku. Rano jestem blisko bycia niczym, ale późnym popołudniem czuję, jak coś we mnie ciąży. Wieczorem jestem już tym wypełniona; to coś jest często nieprzyjemne i nachalne. Prawdopodobnie mierzę zbyt wysoko. Być może nicość to nazbyt ambitny program. Chyba powinnam zacząć od tego, aby z każdym dniem było mnie trochę mniej.

Druga okazja

Gdybym tylko miała okazję naprawić swoje błędy, zrobiłabym to, ale jest zbyt wiele rzeczy, których nie można powtórzyć; w istocie dotyczy to rzeczy najważniejszych, których nie można zrobić lepiej, bo nie ma drugiej okazji. Robisz coś złe, widzisz, na czym polega błąd, chcesz go naprawić, gdy znowu nadarzy się okazja, ale następnym razem jest zupełnie inaczej, gdyż ponownie źle oceniasz sytuację, i choć teraz wiesz, co zrobić, gdy ta sytuacja się powtórzy, to kolejne doświadczenie znowu cię zaskakuje. Gdybyś na przykład mogła dwa razy wyjść za mąż w wieku osiemnastu lat, wtedy za drugim razem wiedziałabyś lepiej, czy nie jesteś na to za młoda, bo miałabyś już perspektywę starszej osoby i wiedziałabyś, że człowiek, która radzi ci, żebyś poślubiła tego mężczyznę, daje ci w istocie złą radę, skoro podane przez niego powody to te same powody, o których mówił, radząc ci wyjść za tamtego mężczyznę w wieku osiemnastu lat. Gdybyś mogła mieć dziecko z pierwszego małżeństwa ponownie w drugim, wiedziałabyś, że poświęcenia mogą zamienić się w niechęć, gdy robisz coś złe, ta zaś może zamienić się z powrotem w życzliwość, gdy robisz coś dobrze, chyba, że mężczyzna, za którego wyszłaś, kiedy po raz drugi wyszłaś drugi raz za mąż, miałby zupełnie inny temperament niż mężczyzna, którego po raz pierwszy poślubiłaś drugi raz, co z kolei

oznacza, że musiałabyś wyjść za niego dwa razy, choćby tylko dla zdobycia wiedzy, jak najmądrzej zachowywać się w obecności mężczyzny z takim temperamentem. Gdybyś mogła być po raz drugi przy swojej matce, kiedy umierała, byłabyś przygotowana na to, aby powalczyć i zdobyć dla niej osobny pokój, w którym inne osoby nie oglądałyby telewizji, kiedy umiera, ale nawet gdybyś była do tego przygotowana i potrafiła walczyć, być może musiałabyś jeszcze raz stracić swoją matkę, aby wiedzieć, że nie wolno dopuścić do sytuacji, gdy ktoś źle włoży jej do ust sztuczną szczękę, zanim wejdiesz do pokoju, a ona po raz ostatni uśmiecha się do ciebie tak dziwnie, a potem jeszcze raz ją stracić, aby nie pozwolić, żeby znowu pogrzebano jej prochy w tamtej ordynarnej skrzynce pocztowej, w jakiej została przetransportowana na cmentarz na północy.

W dziale odzieżowym

Pewien mężczyzna od lat dostarcza towary do działu odzieżowego: codziennie rano umieszcza te same ubrania na ruchomym stojaku i transportuje je do sklepu znajdującego się kilka ulic dalej, a wieczorem zabiera je z powrotem do magazynu. Robi to, bo sklep i magazyn nie potrafią dojść do porozumienia. Sklep zaprzecza, jakoby kiedykolwiek zamawiał ubrania, które są kiepsko uszyte, zrobione z taniego materiału i od dawna niemodne; magazyn nie chce brać odpowiedzialności za towary, których nie można zwrócić hurtownikom. Mężczyzny to nie interesuje. To nie jego ubrania, płaci mu się za wykonaną pracę, a poza tym zamierza wkrótce opuścić firmę, choć właściwy moment jeszcze nie nadszedł.

Priorytet

Na pozór nic trudnego: kiedy on nie śpi, robisz cokolwiek; kiedy śpi, robisz rzeczy, które można zrobić wtedy, kiedy śpi, poczynawszy od sprawy najpilniejszej. Ale wbrew pozorom nie jest to proste.

Przed wszystkim zastanawiasz się, jaka jest najważniejsza rzecz do zrobienia. Na pozór nic trudnego: wyznaczasz priorytety i zabierasz się do roboty. Ale nieła-

two ograniczyć się do kilku priorytetów. Kiedy jest ich więcej, które z priorytetowych zadań jest najbardziej priorytetowe?

W czasie, kiedy on śpi, możesz napisać list, który powinien zostać jak najszybciej napisany, bo wiele od niego zależy. Ale jeśli zajmiesz się pisaniem listu, nie podlejesz roślin, a jest upał. Postawiłaś je na balkonie w nadziei, że będzie deszcz, lecz tego lata prawie w ogóle nie ma deszczu. Zabrałaś je z balkonu w nadziei, że jeśli będą schowane przed wiatrem, nie będzie trzeba podlewać ich tak często, niemniej jednak trzeba je podlać.

Ale jeśli zajmiesz się podlewaniem, nie napiszesz listu, od którego tyle zależy. Nie posprzątasz też kuchni i salonu, a potem będziesz rozbita i zmartwiona panującym tam bałaganem. Na jednym z blatów pełno jest kartek z listami zakupów i różnych szklanych wyrobów kupionych przez męża na wyprzedaży. Wydaje się, że nic prostszego jak je uprzątnąć, ale najpierw należałoby je umyć, a to wymagałoby wcześniejszego opróżnienia zlewozmywaka z brudnych naczyń, to zaś jest możliwe dopiero wtedy, gdy opróżnisz suszarkę. Jeśli zaczniesz od opróżniania suszarki, zdążysz jedynie umyć naczynia w czasie, kiedy on śpi.

Można przyjąć, że priorytetem są rośliny, bo są żywe. Możesz też dojść do wniosku, że skoro trzeba dokonać wyboru, to z rzeczy znajdujących się w domu pierwszeństwo ma wszystko, co żywe, poczynawszy od najmłodszej i najmniejszej istoty. To wydaje się oczywiste. Ale choć wiesz, jak zaopiekować się myszą, kotem i roślinami, nie jesteś pewna, jak priorytetowo potraktować dziecko, starszego syna, siebie i męża. Nie ma wątpliwości, że im większa i starsza jest żyjąca istota, tym bardziej nie wiadomo, jak o nią dbać.

ARTUR SZLOSAREK

Matera. Psalm 139

Gdy zamawiają w oliwnym cieniu, zapalają w słońcu papierosy,

Byłaby przyszłość tym bólem głowy, który odbiera mowę?

Zaskakującą pamiątką po eolicznym ziarenku, które wpadło w oko?

Ogrodnik nie powróci na skrzydłach jutrzni, odszedł na kawę

Po duszę, króla z kutej stali, miłość bezpieczniejszą niż kaftan.

Lecz noc psalmu jako dzień świeci, mieni się, opalizuje,

Lunapark pod stopami po oderwaniu od ziemi, na skraju otchłani.

Bo każde zdanie to chusta zasłaniająca twarz Łazarza. *Saw*

Lasaw, saw lasaw, kaw lakaw, kaw lakaw, zeer szam, zeer szam.

Marta wybiega na ścieżkę wieczności, Maria ściera olejek włosami

Z Jego stóp, nardowy, ale nie ma schronu, nawet gdy ścielimy

Posłanie w czeluści, mówimy pochlebstwa, prorokujemy złudzenia.

Ten monolog nie miał być o tym. Lubilem chodzić do „Śnieżki”,

Przyglądać się, jak głuchoniemi piją kawę, białą, czarną, palić

I patrzeć. Bo dusze wiąże z sobą coś nieokreślonego, władza

Tendencyjnie bezcielesna, jak pieśń Alfonso Gatto na ścianie

W miejscu nie do porzucenia, gdzie uczeń dostaje chleba z oliwą

Do ręki, ale połyka rybi ogon bez podmiotu. *Remoto nel sogno,*

Lunare si spalanca un mattino di vette, e case limpide argenteo

Sgusciano al cielo, in mondi di tenero fiato. Bo najlepsi czytelnicy

Są umarli. Ten prolog miał być o tym, że się gubiłeś za dnia

Z przewodnikiem w lesie, odsypiając kredyt na dworcu Iccbaka

Navona, odporny na *al-Eizariya*, głowę na plaży w obłokach
I szept podczas nieprzegapionego snu, kiedy pragnąć znaczyło
Musieć. Lubiłem patrzeć, jak rękami mówią do siebie w powietrzu.

Przywiozłem ten pomysł na spowiedź z Matery, gdzie nie było czasu
Umierać, chociaż wypadało. Odmówić niemej współpracy, odejść.
Po prostu, znalazłem pismo otwarte w kościele na pieśni Dawida:

Niby znak, symbolon, kropkę nad i, chustę białą na twarzy ocaleńca
Ze świata najczulszego tchnienia, lecz nie pasuje do życia, więc i
Daleko mu do tego, czego brakuje po urodzeniu z dala od domu,

Gdy znużeni piją trunki w cieniu, palą w słońcu mosty, papierosy.

Illuminare del Corpo

Wyrzec się, życia, za słowo, mówi ciało, odmawiające pomocy, zorganizowane,
mające, tam, wtedy, nie tak dawno, wczoraj, będzie jutro, przed miesiącem, na
pojutrze, inteligentną twarz, choć podpuchnięte oko, lewe, amant, prawie, ale
mniej, ruchomy inaczej, nie nastawiony, nie wiszący na wskazówce, bez zegara,
niepijący, niepalący, na ławce, skromny, siedział, ciało, siedziało, ciche, bezdomne,
gotowało, w zimie, latem, herbatę na spirytusowej maszynie, pod boiskiem, ktoś
je znał, imię, nazwisko, datę urodzenia, numer, kod miało, czipa, pojawiło się, pod
zdjęciem, przykleił ktoś imię, kiedy zmarło, zgasło, tam, na ławce, na rogu, gdzie
cicho, nie zapamiętałem, sobie siedziało, pod boiskiem, w ściworze, pod kocem,
z misiem, skarpety, solidne, miało, z wełny, gdzie tresują, za piłką latają, gwizdają,
schylają się, zadbana murawa, *Nieselregen*, wszystko ładne, odmalowane, chłopcy,
dziewczynki, nie muszą już pokazywać świadectwa zdrowia, żeby wejść, tam, na
teren, *komm mit auf meine Sonnenbarke*, nazwisko, imię, SFC Stern 1900, star-
szy o pięć lat, w myślach, powtarzałem, formułki, mnożyłem myśli, przypominał
tamtego, trzęsącego się, może za bardzo był, nad tłustym zeszytem, szkolnym,
w kratkę, obszarpanego eleganta, na Kremerowskiej, ale rzadziej na Sobieskiego,
już prędzej na Karmelickiej, przed Alejami, na przystanku tramwajowym, zapisy-
wał, matematyczne formuły, ołówkiem, w brudnym notesie, *I touched her thigh*

and death smiled, słuchałem tego wtedy, sam, jak ten pożyczony walkman, ślinił ołówkę, pisał, bez przerwy, na stojąco, w kapeluszu, i odchodził, stał, znikał, czasem zapalił, pamiętam, Radomskie, jakby jakiś profesor, drobny z postury, lata temu, za dużo tego lata temu, Kremerowska, Sobieskiego, Siemiradzkiego, jakby przez cały czas, latami, dotąd, jesień, tamta, i zima, też, kiedy mnie wydawali, obecnie umarli, w większości, siadłem, i ja, na tej ławeczce, przy boisku, na której odeszło ciało, które miało imię, nazwisko, ktoś zapalił świeczkę, widocznie je znali, nie zapamiętałem, myślałem, że nie zapomniałem, jak się nazywało, cały czas pisałem, wtedy, kiedy wydawali, tam, ratowało mnie to pisanie, w takim stylu, jak ten, teraz, tu, bo być pisarzem chciałem, podświetlić trupa, ojca, syna, na to wychodzi, że jego, siebie, zobaczyć chciałem, przebić się, iluminować, co widział, widzieć, nie widział, też nie widzieć, wiedział, nie wiedział, może ja ujrzę, w innym języku, z tej ławeczki, granicę, przy drobnym budynku, liczby przedstawiające, siedem części duszy, 1, 2, 3, 4, 9, 8, 27, na rogu mniej wiało, przy Paulsen i Schülhorn, gdzie mieszkał Jürgen, który miał mopsa, Oskara, dawniej, dziwne, to uczucie, wtedy, tak się przysiąść, gdzie ktoś zmarł, ciało, na chwilę, na rogu, skromnie, nie rozsiadać się, nie za bardzo, przysiąść się, jakby na płycie nagrobnej, zapalić, papierosa, jak wtedy, *katá ton daímona eautoú*, mówi pewnie, i to jego ciało, spojrzeć, rozejrzeć się, pomyśleć o mamie, chrzestną podeszwy, tam, na żwirze, nieprawda, kurz, i tyle, nic to, nie mówi, niczego, nikt się z nas nie dowie, jaki koniec gotują bogowie, przyjaciele, nie mogą się powstrzymać, od śmiechu do śmiechu, chichrają się, stróże ognia, hałastrą, więc i my odpływamy, Rudolf Valentino, Anna Magnani, Cavallini, Primo, na mistycznej gondoli, płyniemy, i on, i ja, jako nie ja, Piotrek, w dół Szprewy, Mario Rapisardi, Grzesik, niewolnicy, poeci, grzesznicy, lecz po czasie już, przegrywamy, doliczą może dwie, ze trzy minuty, wtedy wypalimy, damy czadu, każdy bardziej, anonimowy, skromny, ale jakie będą pośmiertne mowy, nasze, uroczyste, jakie powiedzonka, damy popalić, formuły, damy, anegdoty, zdania okrągłe, wypalimy, damy radę, wtedy, race wyskoczą w górę, polecą daleko, wysoko, echa jakie, koty, zdefiniowane stosunkiem 256 do 243, jak interwały, za pęcherzem, chciane, pogubione, w echach, i niechciane, dalekie, w dalach, na dale, na Anioł Pański, na pasterkę, o brzasku, kiedy to w winie, przed nią, zatonął spirytus, salicylowy, cały, gdyż nie należy tracić życia, *in medias res*, rozmieniać, tego ciała, na słowa, sylaby, lecz jechać, z nim, przednim, na *tour de farce*, na manowce, zbiec, nie ustawać,

i ciągnąć, ten karawan, z kocami, poduszkami, menażkami, jak on, albo pchać, z konserwami, lusterkiem, książkami, maszynką do golenia, mieć przed oczami, ją, kiedy się zatrzymała, bezradna, między łąkami, sama, nikt nie wyszedł przed nią, dziewczynkę, kiedy z tekturową walizką wracała, do domu, po kolonii, sama, stała, pod drzewem, ażeby życie i poezja mogły być potem ujęte, jak wtedy, jak przez Eugenio, Montale, nad grobem, z grubą przesadą, jako świadectwo miłości, podczas gdy ona nie chciała słuchać słowa, o życiu, za życie, a słowo w sidła wpadało, bez tchu, bez życia, w potrzask tęsknoty, za 9 miesiącami wieczności, przegraną w scrabble, chodzeniem rano w niedzielę za otwartą piekarnią, po *via Etnea*, jakby wszyscy inni zniknęli, za dnia pierwszego. Odpuść.

Poesia pratica

Zakwaszone, sumienie, elementarny nów, refluks, już, nie mów, turbo cipa, wtedy, w polach, rano, chłodnawo, jak się nie śmiać, pinie, rozłożyste, zachwiane, po obu stronach, *non mi date consigli*, wcześniej noc, najdłuższa, później, niedokładna, pierwsza, w ciepłych ciemnościach, właściwa, własna, roztrzeszczona, latarenka, pod dachem, *Campo al Coccio*, całe, czerwone, łagodne, białe biele, żółcie żółte, przejrzyste błękity, zielone, mgielne horyzonty, ruchome, na wyciągnięcie, ciężkie, figowce, morze na ramionach, z tarasów, wysokości, i jeśli bliźnięta, to kasztanowy miód, przepisany, z rękopisu, jeśli bliźnięta, to tymianek, złote światelka, chłodne studnie, powietrze do uchwycenia, zjawy, przyjazne, wietrzne, głosy, skądinąd, już, tak mów, bezwietrzne, pyszne, wtedy, *che bella giornata*, niebo, pawie, godziny, zaby, zapomniałem, nurkowały, słońce się kładło, fryga, w basenie, wiatraczki, lampiony, rozmaryn, cytryny, nie wódz nas, lato ogniste, minęło, zadrżymy, na pocieszenie. Wróć.

JACEK GUTOROW

Puls

Błyszczące sosny i lato.
Zapach miodu, ciemniejszy
w gasnącym słońcu, kropla
naoliwionego powietrza.

Człowiek patrzy na wiatr.
Serce bije równomiernie.
Wieczorem.

Żywa woda

Żywa, czyli płynąca.
Spływająca naturalnie ze wzniesienia.
Nieświadoma swojego ruchu, ale mimo to żywa
jak roślina, której pnącza kreślą w powietrzu
skomplikowany wzór, choć koniec końców to tylko
światło i powietrze, kilka prostych akordów
w dzikim ogrodzie zmieniającym
barwę z wczesnej jesieni
na późną.

Zdjęcie z Varanasi

Zapach żonkili stojących na komodzie
jest niespodziewany, intensywny
jak wspomnienie domu w Indiach,
domu na domu, z oknem-zaślepką.

Każda rzecz na swoim miejscu, czyli nigdzie.
Każda myśl to niebo pachnące żonkilami.
Drzewa powoli oddychają przez sen.
Noc, sanskryt, ten rdzenny zapach.

Pissarro

Owoce rozmawiają ze sobą.
Na obrazie z Princeton (1872) koszyk
z gruszkami i bodaj jednym jabłkiem.
Gruszki wyglądają na pewne siebie.
Rozparte na wszystkie strony, brzuchate,
nieustannie plotkują bądź pomrukują
w zależności od płci i wychowania.
Jabłko to kawałek czarnej dziury.
Ledwie widoczny, trochę widmowy,
bardziej jest pustką niż owocem.
I milczy. Milczy tak bardzo, jakby go nie było,
jakby oddawał innym miejsce do istnienia.

Ale przecież był.

Zamiast biogramu

Po pięćdziesiątce
wypełnia go
przezroczystość:
życie bez sankcji.

Ostatni dzień życia Platona

Pod koniec długiego dnia
słuchasz trackiej niewolnicy.
Gra dla ciebie na flecie.

Chłoniesz każdy dźwięk.

Stoi samotna na tle zachodzącego słońca.
Jest sobą i światem.
Wie więcej od ciebie, idealisto.

PAWEŁ RODAK

„Ja” i „my”. Próba lektury *Pamiętnika z powstania warszawskiego* w kontekście pokolenia wojennego

Zacznę od dat bardzo oczywistych: 1922 i 1970. Pierwsza to data urodzin Mirona Białoszewskiego, druga – data pierwszego wydania *Pamiętnika z powstania warszawskiego*. W moim krótkim wystąpieniu chciałbym zapytać, czy ma jakieś znaczenie to, że zarówno pierwsza, jak i druga data odsyła nas do kontekstu pokolenia wojennego, w którym to kontekście Białoszewski rzadko jest umiejscawiany.

Przez pokolenie wojenne rozumiemy zwykle pokolenie literackie lub szerzej pokolenie kulturowe pisarzy, twórców, myślicieli i działaczy społecznych urodzonych w latach 1918–1924, przy czym dwa roczniki – 1921, 1922 – stanowią niejako trzon tego pokolenia. Rocznik 1921 to między innymi: Krzysztof Kamil Baczyński, Wacław Bojarski, Ewa Grochowska, Wanda Leopold, Stanisław Marczak-Oborski, Tadeusz Różewicz, Zdzisław Stroiński, Witold Zalewski. Rocznik 1922 to między innymi: Tadeusz Borowski, Tadeusz Gajcy, Władysław Bartoszewski, Karol Lipiński, Andrzej Trzebiński i właśnie Miron Białoszewski¹.

Tak się składa, że czas wydania *Pamiętnika z powstania warszawskiego* to zarazem czas publikacji innych ważnych utworów pokolenia wojennego. W tym samym roku ukazuje się w dwóch tomach rozszerzone wydanie *Utworów zebranych* Krzysztofa Kamila Baczyńskiego oraz tom *Aby podnieść różę... Szkice literackie i dramat* Andrzeja Trzebińskiego, rok później *Próby świadectwa* Jana Strzeleckiego, dwa lata później wybór poezji Tadeusza Borowskiego i pierwsze wydanie *Pamiętnika* Andrzeja Trzebińskiego.

Czy to wszystko może mieć jakieś znaczenie przy lekturze *Pamiętnika z powstania warszawskiego* pięćdziesiąt lat po jego pierwszym wydaniu? Moim zdaniem może mieć takie znaczenie, co postaram się wskazać krótko w trzech punktach.

¹ O pokoleniu wojennym jako pokoleniu kulturowym pisałem w książce *Wizje kultury pokolenia wojennego*, Wydawnictwo Funna, Wrocław 2000.

Wojna jako doświadczenie pokoleniowe

Doświadczenie wojny i przeżycie powstania warszawskiego („przejście”, jak będzie pisał sam Białoszewski) ustanawiają całą twórczość Mirona Białoszewskiego, bowiem ustanawiają jego wyobraźnię i odpowiadający jej język. Zarówno tuż po wydaniu *Pamiętnika*, jak i później zwracano już na to uwagę. W swojej obszernej recenzji opublikowanej w „*Twórczości*” jeszcze w roku 1970, Helena Zaworska podkreślała to, że *Pamiętnik z powstania warszawskiego*: „wprowadza nas nieoczekiwanie w najbardziej skomplikowane tajniki poezji tego autora, ukazując z wyjątkową wprost wyrazistością genezę jego wyobraźni poetyckiej, źródło powracających wciąż motywów, obsesji, obrazów. Po lekturze *Pamiętnika* czyta się poezję Białoszewskiego w zupełnie nowy sposób, obrazy niegdyś uważane za poetyckie fantazje, zapisy snu, za dowolne metafory – okazują się nagle świadectwem jak najbardziej realnej, doświadczonej przez autora rzeczywistości”².

Na podobną zależność doświadczenia wojennego, a przede wszystkim doświadczenia powstańczego, i twórczości u Białoszewskiego zwracał uwagę Andrzej Mencwel, akcentując zarazem, że w procesie powstawania *Pamiętnika* Białoszewski uświadomił sobie nie tylko, że jest to „podstawowe doświadczenie” jego życia, ale „uświadomił sobie też nieprzystawalność romantycznej literatury »religijnej i ojczyźnianej« do tego doświadczenia”. Odwołując się do formuły „sprawdzone sobą”, Mencwel podkreślił, że „dzieło to nie jest żadnym prozatorskim czy dokumentalnym odstępstwem poety od głównego nurtu swej »artystycznej« twórczości, lecz jest tej twórczości zwieńczeniem i spełnieniem: ona przedtem do niego zmierza, a potem z niego wypływa”³.

„Sprawdzone sobą” – oto najkrótsza formuła całej twórczości Białoszewskiego⁴, która zarazem pasuje wyjątkowo dobrze do *Pamiętnika*. Sądzę jednak, że formułę tę można rozciągnąć na całość pokolenia wojennego. Jest to pokolenie, dla którego doświadczenie wojenne, wojna „sprawdzona sobą” stanowi stałe i najważniejsze źródło twórczości i działalności, niezależnie czy dotyczy pisarzy, którzy w czasie wojny

² Helena Zaworska, *Dom*, „*Twórczość*” 1970, nr 10, cyt. za: Piotr Sobolczyk, *Dyskursywizowanie Białoszewskiego*, tom 1, *Teoria recepcji i recepcja krytycznoliteracka*, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2014.

³ Andrzej Mencwel, *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku*, Czytelnik, Warszawa 1997.

⁴ Znaczące pod tym względem jest nadanie jednemu z wyborów wierszy Białoszewskiego takiego właśnie tytułu: *Sprawdzone sobą. Wybór wierszy w 25 rocznicę śmierci Mirona Białoszewskiego*, PIW, Warszawa 2008.

stracili życie (Baczyński, Gajcy, Trzebiński), czy tych, którzy przeżyli (Borowski, Różewicz, Białoszewski), ale także członków pokolenia wojennego, którzy pisarzami nie byli (Strzelecki, Bartoszewski). Myślę, że można nawet powiedzieć, że pokolenie wojenne jest pierwszym pokoleniem w polskiej literaturze, w którym mamy do czynienia z konsekwentnie autobiograficznym modelem twórczości, to znaczy z takim pisarstwem, które w całości jest oparte na doświadczeniu autobiograficznym.

Dwa składniki tego doświadczenia są wyraźnie obecne w *Pamiętniku z powstania warszawskiego*. Jeden z nich to codzienność wojenna, z takimi jej elementami, które powtarzają się w biografiach członków tego pokolenia: podziemny uniwersytet, nielegalne spotkania, przedstawienia teatralne, wieczory autorskie, czytanie prasy podziemnej:

„W tym domu od licytacji z krzesłami czy może w tym naprzeciwko, ale w każdym razie w tej ślepej kiszce Żelaznej, w 43 roku chyba zrobiliśmy jeden z tak zwanych wieczorków. Swen, Halina, Irena, Staszek, no i ja. U kogoś, kto tam mieszkał. Taki wieczorek patriotyczno-literacki, z teatralnościami, Swen przedstawiał, grał wtedy Nicka, a ja według jego pomysłu na prawach prawie statysty grałem króla. Z tej nieśmiałości, drewnowatości siedziałem cały czas sztywno i tak samo mówiłem. Mój kolega z tajnego uniwersytetu, Wojtek, który też zginął w powstaniu, na Żoliborzu, powiedział, że mu się to bardzo podoba. Powiedziałem, dlaczego tak wypadłem.

– To nic, ale to było bardzo ładne.

Graliśmy tam, pamiętam, kawałek *Wesela* Wyspiańskiego, Swen grał Stańczyka, we fladze narodowej, którą beztrząsco sobie przeniósł w teczkę czy w zawiniątku”⁵.

Drugi składnik doświadczenia pokolenia wojennego to swoiste doświadczenie „końca świata”, przeżytego jako rozpad podstawowych ludzkich kategorii i ram życiowych: przestrzennych, czasowych, cielesnych, społecznych. Doświadczenie to można przywoływać pojedynczymi słowami, takimi jak „groza” czy „niepokój”, pojawiającymi się w *Pamiętniku z powstania warszawskiego*, a także w twórczości innych autorów pokolenia wojennego⁶: „Ale niedziela zaczęła się dopiero. Szła groza, jakiej dotąd nie było”; „I zaraz okazało się, że krążymy nie my jedni. Że niepokój. Że koniec”; „Ale właśnie ten niepokój”.

⁵ Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, przygotowanie edycji Adam Poprawa, PIW, Warszawa 2014, (dalej wszystkie cytaty z *Pamiętnika* lokalizuję w tekście za tym wydaniem).

⁶ Nie przypadkiem jeden z pierwszych powojennych tomów poetyckich Tadeusza Różewicza został przez niego zatytułowany *Niepokój* (Wydawnictwo Przełom, Kraków 1947).

Doświadczenie to przywoływane jest też obrazami, przede wszystkim obrazami rozpadu przestrzeni w jej kolejnych wymiarach: miasta, dzielnicy, kamienicy, domu/mieszkania. Bardzo podobne obrazy znajdziemy na przykład w poezji Tadeusza Gajcego, choć wyrażone w innej poetyce. Zestawienie ich ze sobą mówi samo za siebie:

Gajcy:

Miasta pogięte jak muszle na czarnoziemnych wybrzeżach,
W których się echo strzępiaste wylewa pod strumień wiatru –
oto latarnie uliczne w ślimaki skręcone leżą
i wieże cieką ku ziemi w ceglasty zimny stalaktyt.

[...]

A domy łamią się lekko, domy, w których zamieszkał człowiek
Naszeptujący do kopców cmentarnych u granic⁷

Białoszewski:

„Zapanowały inne układy.

Góry. Rowy. Barykado-ściany. Gruzo-barykady. Coś raczej w poprzek. I na głęboko.

[...]

Rozłupane kamienice. Nadbudówki. Po ileś pięter. Rozłupane na piony. W ukosy. Puste. W wióry. W wisiory. Z wapna, trzcina, desek, cegieł. Strasznie dużo tego. Było. Z tego była cała Warszawa. Prawie. Te pięciopiętrowe też: trzcina, wapno, cegła, dechy. Czyli drzazgi. Rozsypki. Suche to. Trzeszczało. Jak trafiało w to, to to tryskało. Dom po domu. Wisiały z dziur po balkonach albo z niczego już po nich – gzymsy podstawkowe – konsole z blachy. Huśtały się. Brzęczały. Tłukły. Cienkie, puste w środku, te, co się myślało, że to gzyms – mur-marmur”.

Wspólnotowość

Powstanie warszawskie jest w *Pamiętniku* opisywane jako doświadczenie wspólnotowe, przy czym nie chodzi tu oczywiście o wspólnotę wyimaginowaną czy wspólnotę zmitologizowaną, scaloną mocą mitu (narodowego, romantycznego, bogoojczyźnianego, obojętnie jak go nazywać). Z jednej strony jest to wspólnota, którą można nazwać sytuacyjną czy kontekstową (bycie w Warszawie

⁷ Tadeusz Gajcy, *Widma*, w: tegoż, *Wybór poezji. Misterium niedzielne*, opracowanie Stanisław Bereś, Ossolineum, Wrocław – Warszawa – Kraków 1992.

w czasie powstania skazuje na bycie razem): „Celinka miała swój pokój, Chmielna 10. Już tam zaczęło się pomieszkiwanie wielu osób, zaplątanych, oddzielonych od siebie. Wspólnota mieszkaniowa na kupie”.

Z drugiej strony jest to wspólnota bardzo praktyczna, można by powiedzieć zadaniowa, związana z koniecznością wspólnego działania dla zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb (choćby związanych ze znalezieniem schronienia i zaspokojeniem głodu), ale także potrzeb związanych wprost z sytuacją walczącego miasta. Nie przypadkiem w *Pamiętniku* jest dużo opisów takich sytuacyjnych, zadaniowych wspólnot, związanych z takimi działaniami jak kopanie okopów, budowanie barykad, gaszenie pożarów czy transportowanie rannych:

„Po bombardowaniu wyszliśmy. Wołano do następnej barykady przed samą Żelazną. Mężczyzn. Poleciałem. Rozdali kilofy i łomy. Do bruku i płyt. Zresztą już część rowów była wykopana.

[...]

– Do odgrzebywania zasypanych!

Zgłosiłem się. Czekamy przy bramie. Odwołują nas.

Już poszli. Inni. Ale zaraz znów krzyk:

– Pali się Chłodna 39! Kto do gaszenia?!

Wylatujemy. To akurat naprzeciwno. Cały dom pali się. Chyba trzypiętrowy. Wody nie ma. Jest, ale obok, z pompki, trzeba z kubelkami. Przez dziurę w murze. Jest i ziemia do gaszenia. Kobiety latają, pomagają. Upał. Płomienie. Te środki do gaszenia marne. A tu ściany już w ogniu. Na trzecim piętrze z którychś drzwi dym. Ale zamknięte. Walimy. Nic. Bijemy siekierami. Wpadamy. Ściana się pali. Goła ściana. Lecimy z tymi wiadrami. Po wodę. Wracamy. Lejemy. Co tu tyle znaczy. Zlatujemy.

– Ziemią! Ziemią! – krzyczą baby.

Lecimy znów. Tu samoloty. Sypią bombami. I bombkami. Zapalającymi.

– Gasić bomby!

Zlatujemy. Sypimy na bombki. Jest ich ze dwadzieścia. Ze trzydzieści. Na kupie. Na podeście. Znów tam na tym prawie trzecim piętrze. Palą się, syczą. I już załapuje od nich ogień ściana. Ziemia świetnie robi. Jednak. Sypimy. Czy pomoże? [...] Nie do wiary. Za którymś sypnięciem ogień się skurczył do zniknu. Cud! I ugasiłszy, W tym piekle. Akcja skończona. Wracamy.

[...]

Wpadła nagle do schronu sanitariuszka:

– Kto pomoże nieść rannego?

I nagle, po hałasie – i pomimo huków – cisza.

– Nikt nie pomoże?

Było kobiet ileśset. I chyba z tylu mężczyzn. Wszystko znieruchomiało.

– Czy naprawdę nikt?

– Ja pójdę – wstałem.

Nikt się nie ruszył. Wskoczyłem za sanitariuszką. Po schodach. I wskoczyłem wprost w ulicę. Ogrodową.

– Tu! Tu! – złapałem za przód noszy. I dalej – szybko. Włączyliśmy się w kondukt z noszami. Szli przed nami. Za nami. W stronę Żelaznej i dalej – w stronę Sądów, bo tam był szpital powstaniowy. Całe uwijanie się szło do Sądów, do środka miasta.

[...]

W nocy wpadli powstańcy.

– Kto pójdzie kopać okopy?

Wstało kilku. Ja też.

– Tylko wracaj przed dniem – mówił Swen.

Dali nam po łopacie, kilofie. I biegiem na ulicę. Po cichu”.

Dużo pisano już o cywilnym charakterze zapisu powstańczego doświadczenia u Białoszewskiego i jest to niewątpliwie prawda. W kontekście cytowanych przed chwilą fragmentów zaryzykowałbym jednak tezę, że u Białoszewskiego to, co cywilne i to, co powstańcze, czyli żołnierskie, nieustannie jest ze sobą zbliżane, co zrozumiałe, kiedy mamy do czynienia z walką w przestrzeni zamieszkiwanego przez cywilów miasta. Białoszewski każe nam zastanowić się, czy na pozór oczywiste rozgraniczenie na powstańców i cywilów przy tego rodzaju totalnym doświadczeniu, jakim było powstanie warszawskie, ma sens? W każdym razie pokazuje, że ostrość tego rozgraniczenia powinna być złagodzona. Jeszcze dwa cytaty:

„Jeszcze jedno. W Śródmieściu było wybitne pomieszanie się cywilów z powstańcami. Dużo było opaskowców z pozoru. Różni półpowstańcy. Stany pośrednie. Skłonność do geszeftów. W ogóle różności.

[...]

Swoją drogą, musieliśmy wtedy wyglądać dziwnie. I cywile. I powstańcy. Nie byli znowu wcale do siebie tacy niepodobni. Wszyscy ludzie, co wyłazili wtedy z Warszawy, byli do siebie podobni i zupełnie niepodobni do innych”.

„Ja” i „my”. Gadanie

To wszystko ma oczywiście swoje odzwierciedlenie w języku Mirona Białoszewskiego. Moim zdaniem w języku tym na szczególną uwagę zasługuje swoje połączenie dwóch zaimków osobowych – „ja” i „my” – a wraz z nimi połączenie pierwszej osoby liczby pojedynczej i pierwszej osoby liczby mnogiej. Wyjątkowość *Pamiętnika z powstania warszawskiego* polega między innymi na tym, że czytając go nie mamy wątpliwości, że obcujemy z bardzo indywidualnym, pojedynczym, osobowym i osobistym zapisem tego doświadczenia, a jednocześnie zapisem od początku do końca przenikniętym tym, co wspólne.

Tu pozwolę sobie wrócić bezpośrednio do kontekstu pokolenia wojennego zestawiając dwa cytaty z dwóch książek wydanych niemal w tym samym czasie: *Pamiętnika z powstania warszawskiego* i *Prób świadectwa* Jana Strzeleckiego⁸.

Białoszewski:

„Raptem — bombowce. I już kucają na dachy, sypią bomby. Już ich nie ma. Już są. Dalsze. Bliższe. Już wlatują w Barokową. My też. One na oślep. My też. My to ja. Z drugim. Jak ja. My. We dwóch. Tu. Tylko. Ni stąd, ni siąd. Bo już. Są! Wpadliśmy”.

Strzelecki:

„Postacią naszego istnienia był zespół, powiązany więzią, którą najlepiej określa pojęcie braterstwa. To istnienie przeżywane w stałym zagrożeniu, ze świadomością, że idziemy razem po krawędzi życia, że każde spotkanie zwiększa szansę ostatecznego rozstania, otwierało przez nami treść słowa »wspólnota«. Ta treść była nam dana jako nasze podstawowe doświadczenie, kształtujące sposób doświadczenia świata. W doświadczeniu tym ja było przeniknięte n a m i, było jakby częścią kręgu tworzonego przez nas wszystkich”⁹.

Na „my” u Białoszewskiego wskazywała Maria Janion w swoim słynnym tekście *Wojna i forma*, opublikowanym najpierw w tomie *Literatura wobec wojny i okupacji*, pod redakcją Michała Głowińskiego i Janusza Sławińskiego (z roku 1976), a na-

⁸ Wcześniej próbę lektury *Pamiętnika z powstania warszawskiego* w kontekście *Prób świadectwa* proponował Andrzej Mencwel we wspomnianym przeze mnie wyżej tekście. Zob. przypis 3.

⁹ Jan Strzelecki, *Próby świadectwa*, w: tegoż, *Ślady tożsamości*, Czytelnik, Warszawa 1989.

stępnie w jej książce *Placz generała. Eseje o wojnie*: „My wszyscy – bez względu na status cywilny czy wojskowy. My – ludzie mordowanego Miasta, które spoilo wszystkich w zamkniętą raz na zawsze całość. Całość i jedność, której już nic rozetrwać nie zdoła”¹⁰.

Sądzę, że obecne w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* napięcie pomiędzy tym, co jednostkowe i wspólnotowe, prywatne i społeczne, wzajemne przenikanie się i dopełnianie „ja” i „my” zasługuje na jeszcze mocniejsze podkreślenie. Już choćby to, że duże partie obu pamiętników (Białoszewskiego i Strzeleckiego) pisane są w liczbie mnogiej („my” stale towarzyszące „ja”) domaga się szerszej interpretacji. Także sposób powstawania dzieła Białoszewskiego odsyła nas wprost do doświadczenia ponadjednostkowego. Jak wiadomo, autor *Pamiętnika z powstania warszawskiego* najpierw przez wiele lat opowiadał o powstaniu, „gadał” swój tekst zanim zdecydował się go zapisać; w tym gadaniu on powstawał. A „gadanie”, w odróżnieniu od wyodrębniającego i ujednokawiającego pisania, ma wyrażnie wspólnotowy, międzyludzki charakter. Gadanie w powstaniu i gadanie o powstaniu, te dwa gadania są tu ze sobą nierozdzielnie związane:

„– Ru-ru-ru – gadanie, ale jakie!... I chyba poranna modlitwa przy ołtarzu, a raczej od ołtarza, czyli do ołtarza. Poranna, czyli pierwsza. Bo poza tym to modlitw było dużo. I śpiewów. Nawet w pierwszym tygodniu to nie tak dużo, jak się okazało. Bo potem zaczęły się częstsze. I gęstniały. Aż doszło do tego, że w całej Warszawie we wszystkich piwnicach modlili się na głos chórami i śpiewami wszędzie, bez przerwy i wszyscy.

[...]

Przez dwadzieścia lat nie mogłem o tym pisać. Chociaż tak chciałem. I gadałem. O powstaniu. Tylu ludziom. Różnym. Po ileś razy. I ciągle myślałem, że mam to powstanie opisać, ale jakoś przecież o p i s a ć. A nie wiedziałem przecież, że właśnie te gadania przez dwadzieścia lat – bo gadam o tym przez dwadzieścia lat – bo to jest największe przeżycie mojego życia, takie zamknięte – że właśnie te gadania, ten sposób nadaje się jako jedyny do opisanie powstania”.

Andrzej Mencwel, zestawiając ze sobą *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Białoszewskiego i *Próby świadectwa* Strzeleckiego, zwracał uwagę, że w obu przypadkach chodzi o to, aby wobec opisywanych doświadczeń „pozostać zasadniczo

¹⁰ Maria Janion, *Wojna i forma, w: tejże, Placz generała. Eseje o wojnie*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1998.

osobistym, ale wyzbyć się wszelkiej osobniczej przypadkowości. [...] o to, aby pozostając osobistym wypowiedzieć doświadczenie uniwersalne”¹¹.

Jeśli zatem w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* mamy faktycznie do czynienia z odsłanianiem się „doświadczenia uniwersalnego” i prawdy o ludzkim świecie, którego kondycję wyznacza napięcie między rozpadem i trwaniem, to odsłonięcie to jest możliwe zarówno przez prywatny, osobisty charakter tego doświadczenia, pozwalający na znalezienie języka wolnego od stereotypowych wyobrażeń, klisz i schematów, jak i przez jego wymiar wspólnotowy, nadający jednostkowej relacji sens intersubiektywny. Myślę, że kontekst pokolenia wojennego pozwala lepiej ten sens uchwycić, co starałem się pokazać.

¹¹ Andrzej Mencwel, *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku*, Warszawa 1997.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Koniec zimy w Visby

1.

Księżyc w pełni z wysoka patrzy
w moją twarz i rywalizuje z uliczną lampą,
za oknem szczyt średniowiecznej wieży,
wąskie dachy śnieg na chodnikach
i poruszający się po bałtycku wiatr.
Za domem w którym mieszkam zbocze
jasne oblicze z piaskowca uratowanej katedry,
trzy wieże splecione gęsto w sine niebo
i szumiące frenetycznie morze,
które kładzie na murach chropowate ręce.
W tej wysepce kamiennej i wodnej
siedzę opuszczony jak ruina runy,
chcę się modlić o wiersze do kamienia,
do fali, mewy i księżycy twardej tarczy;
siedzę w natchnieniu godzin we wnętrzu
nieznanej mi tu mocnej i płynnej rzeczy,
wymowny jak każdy kto przyszedł i stąd odejdzie
niemy zimowy kwiat.

2.

Zielono-jasnoniebieski pokój
rozświećla północne słońce,
ten zachwycający poranne cudak,
kurtka wisi na mrukliwym wieszaku,
książek pilnują długopis i ołówek,

lornetka do plecaka i notes,
na progu oglądnę się i na chwilę umrę,
miłości moja stroisz moje włosy morzem.

Kiedy kochasz nie szukasz miłości,
kiedy kochasz nic nie wiesz o miłości,
cały jesteś miłością i jej zachwyceniem,
na progu oglądniesz się i na chwilę umrzesz,
widząc w lustrze dnia wilgotne oczy.

3.

Widziałem brzozę która płakała,
widziałem buka który krzyczał,
jestem zaklęty w drzewie życia,
brzoza i buk staną się trumną
dla mojego ciała i kosa i kruka;
byłem łukiem i cięciwą, byłem strzałą i celem,
jestem z tego świata i innego,
mój umysł zrodzony został poza światem.

W gotlandzkim muzeum
czuję że rosną mi jak umarłemu
paznokcie i włosy:
posypcie na mnie ochrę i popiół,
udam się do Helu krainy umarłych
przez to samo morze,
które przykrywa czaszki i wyspy,
zagrajcie życie na piszczalkach z kości,
może z boginką się obudzę
i wsiądę znów do plemiennej łodzi
toporem odrąbię księżycą głowę
Gotlandiae.

4.

Trzy ptaki myją się ochoczo i śmiesznie
w przybrzeżnej wodzie gockiego Bałtyku,
mewa sterczy na głazie i się przypatruje,
kopczyk na nim śniegu jest rozlaży,
ptaki rozsuwają skrzydła i przyskają wodą,
fruną do krzewu i wracają zalotnie
nastroszone i ciepłe krwinki krajobrazu.

Rozpogadza się wiersz
i ciało od twarzy staje się bezchmurne.
Chciałbym zaraz wyjść
ale gdzie?
Chciałbym lepiej żyć
ale jak?
Rozpogadza się wiersz
jakby znalazł życia sens,
przestrzeń we mnie jest na zewnątrz tak.

Migawki z Bordeaux

1.

Białokamienne miasto oceaniczne
przechadza się w nocy beztrosko po ulicach,
ciągnąc za sobą gorący płaszcz dnia:
to brzęczący tramwaj pomalowany w sny,
rower śniący w obojętnej bramie,
to sarkofag Montaigne'a diamentem otwarty,
głodny księżyc pędzący po witrynach.

Miasto śpi odwrócone od gliniastej rzeki,
cumuje do ulic lustrem morskiego powietrza,
na kościoły, place, pomniki, muzea, mury
spadają jedna po drugiej drobne planety,
których nie ma w kosmosie, ale są w snach,
zbiera je miasto dzwonami katedry i zamienia
o świcie na dźwięki dnia, które muszą wstać.

2.

Łagodne ciepło wyciągniętej ręki Saint-Croix,
jej miękki rytm szereguje kamienne kolumny,
przez który ulatują oddechy pochowanych pod posadzką.
Brzuch niebios wypatroszono z groźnych przykazań,
na palcu świętego powiewa zgubiona chusteczka.
Kamyki na podłodze to odpuszczone grzechy,
zaglądam do lustra z granitu i widzę kryptę godzin,
święty spoczywa z wiankiem winorośli wokół głowy.

Opactwo spogląda na świat załzawionym okiem wiary,
dusza jest na zewnątrz w karafce z czerwonym winem,
po placu okręca się w hula hop słońce i brzęczy jak budzik.
Chciałbym odtworzyć poetycki pacierz.

3.

W pokoju hotelowym
podłużne okno wychodzi na letni blok,
posmarowany żółtym światłem słonecznym jak masłem,
nikogo na balkonie, a w oknach smugi cieni,
jest ciepło i zaraz nadejdzie łagodnie wieczór
w sandałach spieczonych od atlantyckiej soli.

Niebo jest lekkie i nie waży tyle co wiatr,
dochodzący na podwórko znużonym skokiem,
to co śnię nie ma nic wspólnego ze mną,

może samo pójść do miasta i popłynąć rzeką;
jest tak, jak bym chciał żeby było,
blisko życia i blisko śmierci,
które są tym samym i jednym,
słonecznym okiem przypadku.

O. BARTŁOMIEJ KUCHARSKI OCD

Cisza

ciche morze w Mielnie czterdzieści
lat temu

cicha noc w Betlejem dwadzieścia
trzy lata temu

ciche wierzby w Żelazowej Woli
w czerwcu 2023 roku

ciche korytarze kilku klinik psychiatrycznych

ciche nocne spacery po Krakowie i innych
miastach czterech kontynentów

ciche myśli podczas medytacji w dziesiątkach
kaplic i kościołów

ciche ukojenie po atakach manii

cisza depresji

cisza

Dialog

Nie odpowiada na moje e-maile

Nie reaguje na telefony

Zamienił się w milczenie

Podczas gdy ja ciągle mówię
Jakbym liczył na to że się odezwie
I wszystko będzie jak było
Przez dwadzieścia lat

Bóg też milczy jakby chciał mnie zapewnić
Że brak odpowiedzi także jest odpowiedzią

Grecka historia

Na wyspie Lesbos
potykam Safonę która wieczorem
Biegnie ku brzegom Morza Egejskiego
Aby oddać cześć zachodzącemu
Słońcu i morzu które jest jego domem

Potem biegnie do przyjaciółek
Aby śpiewać pieśni i hymny
Pochwalające miłość i każde
Piękne uczucie

Noc pod gwiazdami jest
Dla niej darem wielkiej
Ciszy i samotności

Już dawno zamknęła ramiona
Dla kogokolwiek z żyjących

Należy całkowicie do Apollina
Boga najsubtelniejszej czułości

Czeka teraz na niego drzemiąc
I śniąc o pocałunkach kochanka

OLIWIA KRAKOWIAK

Nie jestem godna
Nie jestem wystarczająco dobra.
Zakrywam oblicze
Jesteś potężny
Szlachetność nieodgadnionych umysłów
Wciąż odczuwam lęk
Paraliżuje strach
I czy doczekam wybawienia z twoich rąk?
Jeśli wylejesz gniew na moją głowę zginę
Wiecznie umrę
Dajesz dech
Kim jesteś jeśli nie umiem Cię dotknąć Panie
O miłości

Karnie klnę niebo
Uwierzyłam należycie
Zaufałam własnym rękóm
Cóż czynicie
Drwiące palce
W szlak za nimi ciągnęły usta
Szczyt możliwości panno
Bezwstydnica
Łżesz myśląc lepiej

Wiesz cała ta farsa

Bez sensu

Umil dzień

Zdechnij

Jestem w czyśćcu

Odkupisz mnie od grzechu tato?

Stworzycielu, tęsknię

Proszę wieczorami o spokój

Chcę tam być

Doznać ulgi

Cierpię męki przytwierdzone do duszy

Powiedz dlaczego za mało błagasz?

Skul głowę i nawołuj o łaskę

Kiedy plecy mokre od potu zaczną szczypać, uwierzę

Rankiem przypalają serce

Opieczętowują zadany ból

Ich płacz nie daje zasnąć

I mówisz że wszystko w porządku

Więc dziś jest wieczność

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąż (16)

Prawdopodobnie w dużej mierze twórczość literacko-filozoficzną White'a, ogromną, bo liczącą około pięćdziesiąt pozycji książkowych (od niedawna wychodzą pierwsze tomy dzieł zebranych w języku angielskim w Edinburgh University Press), zaliczyć trzeba do oryginalnej odmiany mocno zindywidualizowanego postmodernizmu. W odróżnieniu od bliskich mu niektórych beatników nasz bohater, podążając do wnętrza świata i umysłu, nie ćpał ani nie pił, żył zdrowo i statecznie z jedną ukochaną osobą do pięknego wieku spełnień. Szczególnie bliski był mu Gary Snyder (1930), praktykujący buddysta zen, ekolog, poeta wielkiej wyobraźni i zakorzenienia w poetyce świata/ziemi. Sam White w autobiografii tak opisywał ich kontakty i podobieństwa: „Są pokrewieństwa i podobieństwa między sposobem życia Gary Snydera a moim [...], ale znaleźć można i różnice, o których od czasu do czasu rozmawialiśmy ze sobą, nie tracąc przy tym poczucia humoru. Przede wszystkim, jak wskazuje fragment z ostatniego zacytowanego listu, Gary – w odróżnieniu ode mnie – zdecydowanie opowiada się za życiem rodzinnym. Ja optuję za relacją dwuosobową (on i ona plus świat zewnętrzny), bez założenia rodziny. Rodzina w moich oczach stałaby się przeszkodą w tego rodzaju pracy, jaką wykonuję (albo dzieci by oszalały, albo ja sam), a poza tym nie mając dzieci – jak mi wydaje – biorę udział w koniecznej redukcji populacji ludzkiej na tej planecie.

Ta sama rzecz albo podobna skłonność charakteryzuje moją postawę wobec społeczeństwa. Nigdy bym nie potrafił zintegrować się z jakąkolwiek społecznością, jak czynił to Gary we wspólnocie zen albo w środowisku kalifornijskich beatników. Wiem, że należę do szeroko rozumianego społeczeństwa, mam świadomość potrzeby istnienia tak zwanej organizacji społecznej, jednak nigdy nie chciałem używać zaimka »my« za szybko, zawsze czułem, że pozostanę długo, a może i na zawsze, »na zewnątrz«. Zdaniem Gary'ego spowodowane to zostało moim szkockim indywidualizmem. Ale czy Thoreau był indywidualistą szkockim albo Han Shan?

To, co powyżej powiedziałem o społeczności (w szerokim znaczeniu tego słowa: wrażliwość na otoczenie, etyka istnienia, polityka organizacji), przekłada się na poetykę. Poezja Gary’ego zmierza w stronę mitopoezji, etnopoezji – z wyjątkiem pewnych wierszy, akurat dla mnie najważniejszych. Uznając, że mit zawsze stanowił największą moc scalającą cywilizacje, mając świadomość, że w naszych rozrywkowych i zdzieciniałych czasach odwołanie do niego niekiedy przynosi polepszenie, a nawet wyzdrowienie typu terapeutycznego, od zawsze wiedziałem, że moja świadomość nie jest z zasady „mityczna”, a moja praca kieruje mnie w inne strony. Tak więc trochę mnie krępowało to nieustanne odnoszenie się do mitu w poetyce Gary’ego jako też i u wielu innych pisarzy amerykańskich. Dotyczy to oczywiście, a jest to dobry przykład, nazwy Île-Tortue/Turtle Island. Zgadzam się, że nazwa Stany Zjednoczone AP odnosi się jedynie do dwóch wieków panowania nad tym terytorium i że słowo *Ameryka* przywołuje pięć stuleci europejskiej obecności. Jednak nazywać ten kontynent po indiańsku Turtle Island nie jest rozwiązaniem. To łączy się z idealizacją pierwszych mieszkańców, to robienie z nich *idoli* (głęboko cenię ich istnienie i ich poetykę, ale nie czynię z nich modelowych bohaterów) – wiąże się to z ożywieniem starodawnego mitu stworzenia, który jako koncept jest dzisiaj zupełnie nieadekwatny dla całego tego kontynentu. A więc jak nazwać ten kontynent? Nie wiem, weźmy się spokojnie do pracy, chociaż prędko nie znajdziemy odpowiedniej nazwy.

Jeśli chodzi o poetykę, to uważam, że odnośniki Gary’ego do zen są za często oczywiste (oto dlaczego w tym liście à propos słowa *zen* kryguje się z jego użyciem). Gary wie, dobrze, lepiej niż inni, że prawdziwy adept buddyzmu nie ma cały czas na swoich ustach (i w duchu) słowa *Budda*, i że przede wszystkim powinien być nieustająco uważny na świat zewnętrzny. Wiem całkiem dobrze, czego nauczyłem się od buddyzmu, mam pełną świadomość jego użyteczności w oczyszczaniu pracy umysłu, ale nie chcę, aby stanął on między mną a zewnętrznym światem; nie chcę, aby jego dyskurs nawarstwiał się na świat. W najlepszych swoich wierszach Gary dostępuje do czegoś w rodzaju buddyzmu nieinwazyjnego, do pięknej równowagi między rzeczą a myślą. W innych natomiast dyskurs buddyjski staje się za bardzo oczywisty albo pojawiają się niekończące się zapisy banalnej rzeczywistości.

To na stronach *Zimnej Góry* Han Shana Gary i ja spotkaliśmy się w pełni. Dysponowałem tłumaczeniem autorstwa Arthura Waley’a (27 wierszy) z 1957 roku. Na-

stopnię zapoznałem się ze stoma wierszami Han Shana w wersji angielskiej Burnta Watsona. Jednak wersja Gary Snydera, zawierająca osiemdziesiąt wierszy, wydała mi się najlepsza. Krajobraz Pirenejów był właśnie taką moją Zimną Górą, która stała się jednym z najważniejszych dla mnie odkryć...”

Cieszę się, że byłem jednym z pierwszych poetów i tłumaczy, którzy wprowadzili twórczość literacką Kennetha White’a do piśmiennictwa polskiego, co miało swoje konsekwencje, szczególnie w pracach naukowych Elżbiety Rybickiej z UJ w Krakowie oraz Anny Kronenberg z UŁ w Łodzi. Zresztą dawno temu, bo w 1997 roku, zaprosiłem autora *Ciała absolutu* (Forma, 2022) do Polski, do Olsztyna, Poznania i Warszawy. Dobrze zapamiętałem jedną jego reakcję, kiedy spacerowaliśmy po stolicy i Kenneth, dobry obserwator, zauważył na murach kamienic tablice pamiątkowe, które kazał sobie przetłumaczyć. Jego zdziwienie było szczere: jak to, tyle pamiątkowych tablic nagrobnych z czasów wojny w mieście? Tak dużo rozstrzelano ludzi na ulicach? Jak można w zdrowiu psychicznym mieszkać z tyloma umarłymi i nieustannie ich wspominając? To dla niego, kompletnie ignorującego wydarzenia historyczne, i dla jego zdrowia geopoetycko-kosmopolitycznego, było nie do zniesienia („historyczna nekrofilia”). Polska dla niego symbolizowana była przez legendarną postać odkrywcy Ameryki Jana z Kolna. Co od Rosjan – to oczywiście wiedział o wiele więcej, ale też po łebkach: urzeczony był ich „geograficzno-ziemską duszą”...

Tak, jeżeli White rozwijał po Chatwinie czy Bouvierze *travel-writing*, to robił to na innym, wyższym intelektualnie poziomie. Co do literatury, czyli poezji, to bywało różnie. Niektórzy uznali, że wcale nie jest poetą, ale piszącym wersami utwory esejistyczno-reporterskie erudytą: w długich poematach wyliczał strony świata i kierunki wiatrów, nazwy własne miejsc, zwierząt, ptaków, krain i tym podobne, i cytował, rejestrował, komentował to, co widział, co zwiedzał albo zobaczył w atlasach świata, nie „kreując obrazów poetyckich”. Rzeczywiście pisał albo długie sprozaizowane, traktatowe reportaże poetyckie (prawie nigdy liryczne i osobiste!), albo krótkie liryki w rodzaju nieortodoksyjnych haiku (a więc sugestywny i zaskakujący myślą i uczuciem obraz poetycki w stylu Kerouaca). Bardzo inspirowały mnie jego programowe eseje, a wiersze lubiłem i czytać, i tłumaczyć, bliska mi była jego nieortodoksyjna i przyjazna światu narracja. Nie przepadał za nazwą „literatura podróżnicza” (jakby „turystyczna”), i miał rację: tworzył literaturę drogi (zarazem wewnętrznej i zewnętrznej: medytację w ruchu): sam, ale nie samotnie.

Pierwszym tłumaczem na język polski pierwszej książki „drogi” Kennetha White’a *La Route bleue* (1983, przekład na francuski Marie-Claude White, a jakże!), która otrzymała Prix Médicis Étranger – był muzyk kultowej grupy Ossian, Radosław Nowakowski („Przedświt”, 1992).

Na koniec mój wiersz ku naszej pamięci:

Kenneth White / Kazimierz Brakoniecki

Ken i Kazik w jednym mieszkali światologicznym wierszu
jeden w celtyckiej Bretanii drugi w nadbałtyckiej Borussii
tamten wędrował po wolnym świecie zwiedzał wykladał pisał
a ten paszportu nie miał ani pieniędzy o wolności tylko marzył.
Co ich złączyło? Rimbaud Whitman Heidegger Nietzsche Segalen.
Co ich różniło? Historia języki pejzaże kultura demokracja.
Ken starszy światowiec w samotni z granitu i elektroniki nad morzem
w pobliżu lotnisk Paryża Sorbony światowidz i nomada intelektualny
geopoetyczny reporter geologicznych sukienek i orientalnych zakłęb
panteista skrojony na miarę pasterza bytu i elokwentnego szamana.
Kazik młodszy peryferyjny z Atlantydy Północy i metafizyki pamięci
świadomy światolog konkretny i kosmopolak abstrakcyjny
Ken medytacyjny i rozluźniony Kazik spięty i egzystencjalny.

Ken i Kazik w jednym poruszali się wierszu-świecie nic o sobie nie wiedząc
ale się spotkali na wysuniętym języku ziemi z Azji do Atlantyku
jeden drugiemu spojrzął w oczy kamienia chmury rzeki i drzewa
zaślnął wierszem na iluminacyjnej kliszy fenomenologii widzenia.
Ken poszedł mgławicowymi na Labradorze tropami Jana z Kolna.
Kazik szukał imperatywu Kanta nurkując w jeziorach epifaniach.
Ken podobny do albatrosa narracyjnego nad poematami ziemi.
Kazik do żurawia żywiącego się na polu wierszy diamentami deszczu.
Ken z fizyką transcendencji się zmagił Kazik z metafizyką miejsca
ale się zaprzyjaźnili wierszem światowym na kosmicznej chmurze
na kontynencie duchowego wiatru tamten na gorze kultur Babel

ten na górze historii Ararat i rozeszli się do geopoetyckich fantazji
jak ulewy planety śnieżycy i inne elementarne żywoty i żywioły.

*

Watsuji Tetsurō, *Fūdo le milieu humain. Commentaire et traduction par Augustin Berque*, CNRS Éditions, Paris 2023.

Nie pamiętam, czy Kenneth White powoływał się na to dzieło cenionego japońskiego filozofa Watsuji Tetsurō (1889–1960), które ukazało się w Japonii po raz pierwszy w 1935 roku. A powinien, ponieważ japoński filozof prezentuje tezę o doniosłej roli klimatu w dziejach ludzkości. Klimatu albo może lepiej: środowiska (naturalnego i społecznego, które wzajemnie na siebie oddziałują). Francuski tłumacz pozostawił w tytule oryginalną nazwę *Fūdo*, z podtytułem: środowisko człowieka. Wersja angielska to: *Climate and Culture* (Klimat i kultura). *Fūdo* po japońsku – korzystam ze wstępu tłumacza i znawcy Augustina Berque’a – to tyle, co wiatr i ziemia (środowisko naturalne konkretnej krainy geograficznej). A przecież jak wiemy geopoetyka White’a to (prawie) nic innego jak zwrotna relacja człowiek – świat – natura.

Watsuji zajmował się filozofią europejskiego Zachodu (głównie filozofami kręgu języka niemieckiego), tożsamością kulturową i dziedzictwem Japonii, religią wczesnochrześcijańską i wczesnobuddyjską. Znany jest przede wszystkim ze swoich kilkutomowych prac o etyce oraz właśnie z tej pozycji, którą autor wielokrotnie uzupełniał. W 1927 roku Watsuji wyjechał do Europy na kilkumiesięczne stypendium, które zaowocowało właśnie tymi przemyśleniami o dialektycznej relacji człowiek – środowisko w kształtowaniu charakteru kultury (cywilizacji). Nie chodzi o to, że byt (ekonomiczny) determinuje świadomość (Marks), lecz o całą siatkę współzależności, z których jedną z najważniejszych jest środowisko naturalne (pustynia, niziny, strefa zwrotnikowa...). Heidegger był najważniejszym mistrzem młodego filozofa, który jednak odrzucił jego przekonanie, że to czas jest głównym wyznacznikiem ludzkiego bytowania (bycie ku śmierci). Przeciwwstawił mu pojęcie przestrzeni/przestrzenności w dziejach ludzkiego świata, nie odrzucając zupełnie kategorii uczasowienia egzystencji, atoli wskazując, że immanentną cechą życia są relacje, wzajemne wpływy na linii środowisko – człowiek, że przestrzeń, czyli aktywne środowisko przyrodnicze, współtworzy charakterystyczną dla jednostki i wspólnoty jakość kultury. Człowiek żyje i rozwija się w społeczeństwie jemu

tylko właściwym w przestrzeni i czasie. Jego naturą jest podwójność: i indywidualizm (pojęcie osoby), i wspólnotowość, przebywanie w egzystencjalnej sytuacji „wpływów” (wymian, determinacji, relacji naturalnych i socjalnych). Dlatego Watsuji – jako że cywilizacja/kultura/dzieje i środowisko/klimat są powiązane i tworzą zasady obiektywnej rzeczywistości – w późniejszym czasie zajął się gruntownie etyką (moralnością praktyczną), badaniem kondycji moralnej „wyspiarskich i monsunowych” Japończyków, co zresztą doprowadziło go do konserwatywnych poglądów na rolę władzy w społeczeństwie, to z kolei wywołało oskarżenia po przebranej przez Japończyków wojnie o kult władzy cesarskiej. Rzeczywiście refleksja nad cywilizacjami doprowadziła Watsujiego do zanegowania uniwersalnej cywilizacji (postulowanej albo wyobrażonej), skoro każde plemię czy, już na pewno, naród wyróżniają się swoim charakterem wynikającym ze swoistości położenia terytorialnego, klimatu, usytuowania geograficznego. Nie była to jednak jednostronna pochwała izolacjonizmu (typowego dla dawnej Japonii), lecz zachęta do twórczego kultywowania tradycji (spadkobiercy dialogowego dziedzictwa), a nie jej imitacji zgodnie z założeniem, że społeczeństwo i klimat są zmienne, poddawane procesom nieustannej metamorfozy. Zachód natomiast oskarżał o egoizm, narcyzm, o odrzucenie drugiego członu właściwego, otwartego indywidualizmu, który dąży do integracji ze wspólnotą ludzi/osób, umiejących zanegować partykularny i konsumpcyjny egoizm w imię dobra wspólnie rozwijanej tożsamości. Z drugiej strony zbyt ostra negacja „ego” może doprowadzić do przeobóstwienia całości zjawisk, a nawet do uznania krzepiącej mocy totalitarnego państwa (wspólnoty zuniformizowanej pod egidą honoru, autorytetu, wierności), o co oskarżano zresztą samego Watsujiego. Pomocna w tym miejscu będzie wskazówka Dōgena, słynnego mnicha zen z pierwszej połowy XIII stulecia: „Nauka drogi (do oświecenia/przebudzenia) to nauka o sobie samym, studiowanie samego siebie, to zapominanie o sobie, a zapominanie o sobie, to oświecenie/przebudzenie przez całość rzeczy”.

Filozof wymienia trzy centralne typy środowiska naturalnego: w wielkim skrócie oczywiście, ponieważ opisy i różnice w obrębie typów są liczne (na przykład Chiny, Indie, Japonia w typie monsunowym nie są identyczne):

1. Monsun (wiatr sezonowy wiejący od tropikalnego morza na kontynent), gorący, wilgotny klimat monsunowy (dyktatura przyrody): „Możemy określić typ

ludzki krajów monsunowych jako *receptywny i posłuszny*". Ten typ determinuje „wilgoć/wilgotność”. Monotonność środowiska Azji Południowo-Wschodniej. Przykład – Indie, gdzie receptywność, bierność, poddanie utworzyły historyczny typ, który przejawia cechy rozprężenia woli, bezmiar uczuć, brak emocji odnoszących się do historii.

2. Pustynia (Arabia, Afryka, Mongolia): „Osobiście uważam pustynię za »stan związków międzyludzkich«, co oznacza, że wspólnota tworzy społeczność powiązaną (jednostka=grupa) i historyczną. Susza, brak wody, wegetacji, nagie wydmy, góry... – życie w poszukiwaniu wody”. Ludzkie istnienie jest przeciwieństwem abstrakcyjnej „martwoty” dookoła. Stosunek do przyrody to stosunek wyzwania, na przykład piramidy jako aspekt mocy człowieka. Semickie plemiona pustynne wpłynęły na ludzkość swoją monoteistyczną religią: z boga plemiennego stworzyły uniwersalnego Boga osobowego oraz stan „ludzkości walczącej, podporządkowującej sobie naturę”, ponieważ Bóg stworzył świat, życie, człowieka, przyrodę, a więc i pustynię.

3. Preria, łąki, stepy: przemienne wilgoć i susza, dialektyczna synteza okresów mokrych i suchych: Europa. Lata raczej suche, zimy wilgotne. Europa Morza Śródziemnego: wodna droga komunikacji, żyzna ziemia, rolnictwo, poddanie przyrody (racjonalnemu) człowiekowi, jej podporządkowanie, jej charakter z zasady bukoliczny – coraz bardziej świadoma droga człowieka przez antyczne Grecję i Rzym w kierunku humanizacji natury, pokonania jej i zwrócenie się do rywalizacji między społecznościami (polis), walka o dominację. Rzym to jeszcze większa racjonalizacja, pojawienie się techniki (myślenia technologicznego). Północ Europy, bardziej zimna, wypracowała sposoby na ujarznienie kaprysów przyrody. Ta część kontynentu z braku „większego słońca” poddana jest melancholii (patrz: obrazy Rembrandta). „Ustalić porządek rozumu, podbić naturę przez rozum, oto fundamentalne podstawy, które poprowadziły melancholijny umysł w jego poszukiwaniu nieskończonych głębin...”.

W dalszej części poznamy różnice w obrębie typów monsunowych, ale na pewno nie znajdziemy nic o Europie Środkowej czy Wschodniej. Chiny – to raczej sam w sobie kontynent! Watsuji zalicza je do strefy monsunu, mimo iż są tu ogromne rzeki, niziny, góry i pustynie. Zauważa u Chińczyków skrytość, pozorną społeczną uległość, z trudem maskowaną waleczność (buntowniczość), niemani-

festowanie (a nawet brak) emocji („flegma chińska”): *mian cong fu bei, liang mian gui zui* (twarz posłuszna, we wnętrzościach / w środku opór).

Japonia – typ monsunowy, inaczej: „tajfunowy”, mimo iż Japonia podobna jest w tym typie do Indii, to jednak wymyka się analogii, ponieważ na tych wyspach silne, niespodziewane wiatry dochodzą z dwóch kierunków (od Azji i Pacyfiku). Występują tu dwie strefy: gorąca i wilgotna, a na północy o wiele chłodniejsza. Mamy więc kolejny dualizm: strefę ryżu i strefę zbóż. Prowadzi to filozofa do konceptu, że charakter japoński cechuje receptywność (rodzaj poddania sile zewnętrznej), umiejętność dostosowywania się do radykalnych zmian (nie tylko w pogodzie), co paradoksalnie wzmacnia stronę aktywną istnienia (mimo iż podejmowana jest zrywami, jest zmienna i nie trwa długo). Japończycy nie walczą z furją z przyrodą ani się jej nie poddają (zrezygnowani) bezmyślnie, godząc się „elegancko” z jej przejawami. Jeśli chodzi o stan emocji „monsunowo-tajfunowych”, to opisać je można jako skomplikowane (w każdym razie w tłumaczeniu z japońskiego na francuski, z francuskiego na polski): „*émotion recueillie (shimeyakana gekijō)* i *détachement combatif (shimeyaka na gekijō, sentōteki na tentan)*”, co można oddać w przybliżonym tłumaczeniu jako pełne/spokojne uczucie, które nagle staje się gwałtowne, waleczne... Historycznie to wartości takie, jak lojalność, oddanie rodzinie, znaczący symbol domu, wnętrza, swojskości, tego co uwewnętrznione, kult bogów-przodków; religia domowa, wspólnota, kult cesarza, państwa wreszcie.

Od geografii blisko nie tylko do niewinnej geopoetyki, lecz i do okrutnej geopolityki, która jest zaangażowaną wiedzą praktyczną o obiektywnych uzależnieniach państw od ich położenia na mapie świata: na dużej samowystarczalnej wyspie, pomiędzy agresywnymi imperiami (a innych nie ma), za górami i lasami czy na łątko zdobywanej równinie... klimat, środowisko, otoczenie, stan państwa, system władzy i tak dalej stąd wypływają...

Na tym zmęczony, ale i zaciekawiony przerywam niełatwą lekturę. Trudno mi ustosunkować się do całości wywodów, które są ryzykowne, jak wszystkie uogólnienia, typizacje, uniwersalizacje, ale zawsze w swoim rdzeniu utrzymują kontakt z rzeczywistością historyczną i społeczną. Tak czy owak to pobudzająca do niewesołej (ciężar genetyczno-plemiennego dziedzictwa) refleksji lektura. W drugiej połowie XIX wieku pozytywista francuski Hippolyte Taine też majstrował przy teorii, w której podnosił, że na dzieje ludzkości (a więc i na jego historyczne cywili-

zacje-kultury) wpływają silnie takie zewnętrzne czynniki, jak konkretne środowisko, otoczenie, pochodzenie (rasa). Rasę w połowie tegoż stulecia wywyższał inny Francuz, a mianowicie pisarz i dyplomata Arthur de Gobineau (1816–1882); cóż w hierarchii ras biała stała się najwyżej, a pośród tej – aryjska. Przechwycił to przekonanie Wagner i inni Germanie.

Pamiętam wielką księgę Eliasa Canettiego *Masa i władza*, w której autor przypisał narodom określone symbole masy: Anglicy to morze, Holendrzy – tama (odpie-
rająca morze), Niemcy – wojsko, czyli maszerujący las, Francuzi – rewolucja, Hiszpanie – matador, Żydzi – wypędzenie z Egiptu (wygnanie). Polakom przydałbym symbol (histeryczny resentyment) – rozbiórów, bo ta klęska chyba najbardziej na nas zaważyła (i jej konsekwencje wynikły z pomieszania poczucia wyższości z kompleksem niższości). Traumatyczny polski kompleks niezasłużonego poniżenia i opuszczonej ofiary (po likwidacji państwa) manifestuje się do dzisiaj w histerycznej podświadomości prawicowo-narodowej (z naddatkiem tragedii drugiej wojny światowej). Czy wyłącznie prawicowej?

STEFAN CHWIN

Dziennik 2024 (3)

Piątek, godzina 23.47. Warszawa, pisane w hotelu „Grand”. Ksiądz Jan

Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy do Warszawy na konferencję literacko-filozoficzną w katolickim uniwersytecie. Wykład miałem dzisiaj o godzinie dwunastej po południu, o wyobraźni filozoficznej, teologicznej i literackiej...

...a teraz, o trzeciej po południu, jesteśmy w podwarszawskim dworku z lat trzydziestych, który stoi sobie na samym skraju podwarszawskiego, liściastego lasu. Siedzimy w salonie na parterze przy dużym, czarnym stole, nad którego blatem pobłyskuje szkiełkami antyczny żyrandol, a gładki sufit śnieży się gipsowymi sztukateriami. Na stole biała serweta, trzy kieliszki, rżnięte z grubszego szkła. A dookoła na czterech ścianach obrazy w czarnych i złotych ramach, dobre, drogie, z Paryża, Lebenstein, Czapski, nieprzyzwoite, potwornawe, dawne i nowe. Wnętrze salonu przyciemnione, firany w oknach, rozsuwane drzwi do przedpokoju, po obu stronach półki z dobrymi książkami, w półmroku popołudniowym lśnią kryształowe szybki, dalej, pod samym oknem, naprzeciw nas, bordowa sofa z mahoniowym oparciem. A na sofie, w wiotkiej, czarnej sutannie, z koloratką pod szyją, siedzi ksiądz Jan.

Rumiany, okrągłogłowy, łysiejący, z blondynowatym meszkiem na ciemieniu. Białe ręce, nienawykłe do fizycznej pracy, czyściutkie paznokcie, wypolerowane, różowawe, przycięte krótko. Z miłym uśmiechem wita nas uprzejmymi słowami, że cieszy się z naszej obecności po długim niewidzeniu, bo nas tu przecie sam zaprosił na konferencję. Przy czarnym blacie siedzimy na krzesłach z adamaszkowym obiciem, a ksiądz Jan błyska ku nam jasnym okiem zza okularów w złotej oprawce, mięciutki, jakby porośnięty kocim futerkiem, wiotki w stawach łokciowych, kolanowych, w szyi i przegubach.

Potem wstaje, mruży do nas oko, podchodzi na palcach do szafy stojącej w kącie przy oknie, wyciąga rękę, otwiera. W szafie ciemne ubrania na wieszakach, dalej dwie sutanny, wełniana kurtka, płaszcz z guzikami. Ręka księdza Jana unosi wi-

szą sutannę, jakby podkasywała suknię z czarnej satyny, odsuwa fałdy na lewo, a za sutannami, za płaszczem, za kurtką, na głębokiej półce złoto-kolorowe nalepki na ciemnych butelkach wina.

I ksiądz Jan już wyjmuje z półki dwie, ogląda pod światło, rozpromienia się – Włoskie! – pokrzykuje – Dobrze! – pokazuje okrągłym palcem czerwono-złoty napis na nalepce. Wino przywiózł z Rzymu, gdzie był niedawno.

Ale jego radość – widzimy – cieniutka jak błonka naskórka po świeżym oparzeniu. Pod wesołością powitalnych gestów smutne, samotne ciało, co od dawna zaprzyjaźnione z cichą rozpaczą. Dwie butelki w uniesionych dłoniach wędrują na stół, korkociąg z drewnianą rączką, puknięcie wyciąganego korka i już wino czerwonym strumykiem spada do kieliszków. Ksiądz Jan patrzy na rubinowe błyski w szkle, przysuwa kieliszek do nosa, wącha: – Dobrze! – szeleści do nas z radością – dobre, rzymskie, z księdzem Kajetanem M-skim kupiliśmy na Stravodano, gdzie nas ksiądz D. gościł w domu sióstr nazaretanek.

I tak pijąc z nami włoskie wino z Kalabrii czy Toskanii, ksiądz Jan przymruża jasne rzęsy, wilgotnymi ustami smakując słodko-gorzkie aromaty. Ale bolesna samotność wylewa się z niego jak zranione światło z rozbitej lampy. Ksiądz Jan jest sam, zupełnie sam na Bożym świecie – chociaż w podwarszawskim dworku mieszka z młodym księdzem Mariuszem, który – właśnie widzimy – wchodzi z przyciemnionego przedpokoju do naszego jasnego salonu, młody, wysoki, czarnowłosy, krótko ostrzyżony, z wygoloną, pogodną twarzą, szczupły, żyłasty, wyprostowany, elastyczny, w wąskich czarnych dżinsach i czarnych półbutach z metalową klamerką, w czarnej marynarce sztruksowej, z koloratką pod szyją, w okularach z grubą, czarną oprawką, wyciąga do nas rękę, ściska energicznie, potrząsa.

Ksiądz Jan tymczasem nalewa nam wszystkim do kieliszków. Wstajemy. K. stoi przy mnie, w fioletowej garsonce z koronek, z kieliszkiem w palcach. – Twoje zdrowie, Janku! – mówi z uśmiechem. Ja w marynarce w czarno-białą kratkę, biała koszula rozpięta pod szyją. Odstawiamy kieliszki, znowu siadamy przy czarnym stole, rozmawiamy żartobliwie o dziełach sztuki, co wiszą na czterech ścianach. Ksiądz Jan – to widać – pochodzi z chłopów, jasne oczy patrzą na nas zza złotej oprawki okularów, a cały w każdym swoim ruchu jest spragniony serdecznej przyjaźni, łagodnej wesołości. Białe ręce obejmują nóżkę kieliszka, po której na paznokcie wskazującego palca spływa czerwona kropelka.

Bo ksiądz Jan robi wszystko, by nasze spotkanie było przyjacielskie i miłe. Dlatego nas zaprosił. Kiedyś był poetą bez sutanny, teraz jest poetą w sutannie. W podwarszawskim dworku pisze grube książki o filozofii, studiuje cudze ateizmy, komentuje Gilsona, tropi zawzięcie i gromi postmodernistów, ale w duchu swoim nieuważny, jakby rozmijający się z własnym istnieniem, częściowo tylko obecny pośród nas, mocno chce wierzyć, że otaczają go sami przyjaciele. Bo pod naskórkem serdeczności i żartu płaczliwość w nim zgoła nie filozoficzna, miękka, bezgłośna, woła ratunku, pomocy.

Znamy się jeszcze z kaszubskiej Wieżycy, gdzieśmy się spotykali jako młodzi literaci, ale trudno nie dostrzec, jak cieszy go miękka, ciepła wygoda przedwojennego dworku, w którym sobie teraz mieszka w paru pokojach ze służącą, która gotuje mu dobre obiady, froteruje trzeszczące, dębowe parkiety oraz myje wielką, przedwojenną wannę w starej, wykafelkowanej na niebiesko łazience, w której na wieszaku wiszą świeżutko uprane, białe ręczniki frotte.

O sztuce, o poezji, o malarstwie chce mówić z nami. O znajomych żartobliwie plotkuje, bez złośliwości, ciepło. Poezją i przyjaźnią chce żyć, swoje ciepłe gniazdo odgrodzić od zewnętrznych ciemności podłego świata, trwać w kojącym bezpieczeństwie starego domu z dziełami sztuki na ścianach, żeby podły świat dał mu odetchnąć choćby na chwilę. Bo jak tylko rozmowa nasza schodzi na sprawy polityczne, to ksiądz Jan od razu pochmurnieje, jakby był obrażony na wszystkich, że mu nagle niepotrzebnym gadaniem psują miły nastrój przyjaźni.

Podochocony, zaróżowiony, odważnie mówi, że wcale nie potępia, jeśli mężczyźni mieszkają ze sobą, o ile się naprawdę kochają. Tak mówi, tolerancyjny, wybaczący, uśmiechnięty, czupurny. Widać, że nie wygasła w nim wiejska zadziorność. Ale i jaśniej w nim prawdziwa duma, że doceniają go polscy hierarchowie jako kościelnego filozofa, kiedy mówi: – Byłem wczoraj u biskupa N., jutro spotykam się z biskupem X., biskup Y. mi powiedział, że... Schlebia mu to, że ma kolegów purpuratów i odwiedza ich w biskupich pałacach.

Ale poetą chce być sto razy bardziej niż księdzem! Co chwila to z niego wychodzi. W młodości zaprzyjaźniony z warszawskimi poetami, któregoś dnia postanowił, że będzie kapłanem. Na co oni podjechali pod dom, przed drzwiami rozwinęli płócienny transparent z wielkim napisem: „Janek R. zwariował!”. Tak go powitali. – I to jeszcze na ulicy! Przy ludziach! – wykrzykuje, śmiejąc się szczerze, gdy nam

o tym opowiada, bo z ducha był poetą zawsze i nadal pozostaje. Dumnie oświadcza, że Biblioteka Narodowa wzięła od niego wszystkie rękopisy. – A zapłacili chociaż? – pytam, na co on kręci z wolną głową – Gdzież tam! – śmieje się, jakby mu zupełnie na tym płaceniu nie zależało.

– A przynajmniej – pytam – ktoś do tych rękopisów zagląda? – Ksiądz Jan strząsa z siebie to niewygodne pytanie brzęknięciem kieliszka, w którym kołysze się czerwone wino. Co mu tam jakieś zagłądanie!

I nagle – cóż to? – schyla głowę, patrzy w czarny stół, ścisza głos: – Grzesznikiem jestem! – szepce – Wielkie są grzechy moje! Błagać muszę Boga o przebaczenie! Grzechy moje, ach, grzechy! – I tłumaczy nam ze smutkiem w swoich wesołych oczach: – Bo wiecie, ja bez winy chyba bym nie przeżył. Muszę, muszę, bo wielkie są grzechy moje, a wino rozwesela moją udręczoną duszę. – Trochę – czujemy – odstawia przed nami teatr swoich kapłańskich zmartwień, ale w żrenicach – widzimy – prawdziwy smutek i żal.

– Żebyście wiedzieli, co ja za straszne rzeczy podczas spowiedzi słyszę! – wzdycha boleśnie. – Jak tylko wracam ze spowiadania, to nie mogę po prostu dojść do siebie. Boże drogi, jakie straszne, jakie straszne nieszczęścia na ludzi spadają. – Milkniemy, bo powietrze w salonie gęstnieje od tych wszystkich ludzkich nieszczęść, których on wysłuchuje na spowiedzi, jakby do pokoju w starym dworcu podwarszawskim nagle przez otwarte okno napłynęła fala mrozu, ścinając szron na kieliskach z winem, co stoją na stole.

I o swoim spowiadaniu mówi rzeczy okropne. Że czasem rozgrzeszenia ludziom dać nie może, chociaż bardzo pragnie. Więc tylko wychodzi z konfesjonału i nieszczęśnika, co się właśnie wypowiadał, bierze czule w swoje księżowskie ramiona. – O, tak – stojąc przy stole, szeroko rozkłada ręce, a potem zwiera je mocno na piersiach, by nam pokazać, jak grzesznika przytula do siebie, a łzy tłumione wzbierają mu pod powiekami. I kiedy tak nam mówi o swoim spowiadaniu, widać, że nie tylko mocno lituje się nad każdym grzesznikiem, który przed nim duszę odsłania, ale i równie mocno lituje się nad sobą samym, że się tak nad innymi musi całym sercem litować. Cierpi mocno, ale też jakby smakuje własną rozpacz, zrodzoną z cudzych nieszczęść, bo mu ona swoją goryczą przysłania jego własną, zupełną samotność?

A potem przy stole pod antycznym żyrandolem zasiadamy z gośćmi, których ksiądz Jan zaprosił na godzinę szóstą, a którzy się właśnie zjawiają w drzwiach

i wchodzą do salonu, witając się z nami uprzejmie. Dwaj księża z naukowymi tytułami, profesorowie uniwersytetu, obok nich pani profesor z jagiellońskiego Krakowa, mądra, skromna, elegancka. Po paru zaś minutach dosiada do nas mocno potargany poeta Ernest B., który właśnie przyjechał taksówką z miasta. Ze sztywno uniesioną głową, łysiejący, z rudymi piegami na żółtej czaszce, w brązowej, mocno wymiętoszonej marynarce, kogutowaty, z ruchliwą, podskakującą grdyką, wtacza się do pokoju, zaczepny, nadęty, niby wesoły, niby pogodny, gada głośno, przekrzykuje wszystkich, przysuwa sobie krzesło do stołu, siada, łokcie mocno opiera na obrusie, a żal jakiś zadawniony się w nim aż gotuje, że w swojej starości nie znał takiej sławy poetyckiej, jaka mu się słusznie należy za zasługi dla Polski i sztuki.

Dawna zadra, widzimy, siedzi w nim mocno, jątrzy się w nim boleśnie po tym, jak o nim sto lat temu różne surowości powypisywał Barańczak. Poeta Ernest pije wódkę, bo wina wyraźnie nie lubi i ciągle wraca do tamtego dawnego Barańczaka. Że jego, Ernesta, jako poetę tak nieludzko załatwili ci poeci z Nowej Fali. – A co z nich zostało? – wargę górną unosi pogardliwie, a dolną, wilgotną cofa. – A nic z nich nie zostało. Bo kto ich tam dzisiaj czyta! Oni „Trybunę Ludu” parodiowali w swoich wierszach uparcie, a poezja prawdziwa to coś dużo więcej niż jakieś tam parodiowanie „Trybuny Ludu” – Z wysiloną dumą unosi głowę: – A na moje spotkanie autorskie w Milanówku, co je miałem w zeszłym miesiącu, przyszło trzysta osób! Trzysta osób! Rozumiecie? Tłum! Cała sala! Więc pamiętają o mnie jeszcze ludzie! Jeszcze pamiętają! – unosi zimny kieliszek z mgiełką na szkle, dumę swoją podpierając toastem. – A o tej Nowej Fali, kto dzisiaj pamięta? Pies z kulawą nogą! – Wypija kieliszeczek, lekko się chwiejąc na krześle. I naraz o bieżącej polityce zaczyna mówić głośno na cały salon.

Ksiądz Jan krzywi się boleśnie na to polityczne gadanie, które mu poetycko-przyjacielski nastrój nagle psuje. – O sztuce, o wierszach, o wzniosłych rzeczach, o pięknie mówić nam trzeba, Erneście, nie o polityce, na Boga żywego! – pokrzykuje. Na co ja protestuję: – Ależ my tutaj, Janku, przy tym stole w starym dworku z dwudziestolecia międzywojennego gadamy sobie o polityce jak ci bohaterowie z *Przedwiośnia* Żeromskiego, co wszyscy ich dobrze znamy. I nie ma w tym niczego dziwnego! Ot, po prostu siedzą sobie wokół starego stołu polscy inteligenci i gadają o rzeczach publicznych tak, jak gadali w wieku dziewiętnastym i dwudziestym. – Poeta Ernest zaś nie przestaje: – Teraz w Polsce nikt z nikim nie chce gadać. Tak to u nas dzisiaj w tej

naszej Polsce jest. Jedni na drugich bykiem tylko patrzą. A władza zawsze jakaś musi być. Taka czy inna. I z każdą trzeba się dogadać. Z tą czy z tamtą.

– Ale – włącza się do rozmowy K. – wcale nie musimy się dogadywać, bo możemy zostać w domu i żyć po swojemu. – Aż się poeta Ernest zaperza na takie słowa, jakby złowił szczupaka na wędkę: – O, właśnie! – mówi z cienką ironią do K. – A skąd to mieszkanie, gdzie pani może tak sobie żyć po swojemu, ja się pytam, pani ma? No, skąd, niech pani powie? Ci poeci z Nowej Fali z władzą nie chcieli gadać, tylko się ostro jej stawiali. Ale ja się pytam – poeta Ernest chwije się na krześle – skąd ten Barańczak miał te swoje mieszkanie? No skąd, niech pani powie? Tacy z nich byli niby bohaterowie, a mieszkania dostali od władzy, od nikogo innego tylko od władzy, bo tylko władza dawała mieszkania. A oni jeszcze się stawiali, chociaż gdyby ta władza przydziału im nie dała, to żadnych mieszkań by nie mieli. Kompromis to jest nasza mądrość polska, odwieczna, a tej mądrości nam dzisiaj brakuje! Ot co! Dlatego trzeba gadać z każdą władzą, kompromisowo, rozważnie, nawet jak nam ona mocno nie smakuje, bo jakaś władza zawsze musi być. Taka czy inna. I żadne upieranie się przy swoim przeciwko władzy, żadne dumne stawianie się władzy do niczego dobrego nie prowadzi. Z każdą władzą trzeba jakoś żyć.

Noc narasta, ciemno za oknami, siedzimy przy czarnym stole, pijemy kawę, jemy ciastka (bardzo dobre), które gospodyni wniosła właśnie do salonu na porcelanowym półmisku, czujemy zmęczenie w całym ciele po pracowitym, konferencyjnym dniu, więc wstajemy z krzeseł z adamaszkowymi obiciami, dziękujemy gospodarzowi i gościom za miłe przyjęcie, bo chcemy już wracać do naszego hotelu. Wychodzimy z salonu do przyciemnionego przedpokoju. Zakładamy płaszcze. Zapiamy guziki. Wiążemy szaliki. A poeta Ernest wytacza się za nami z rozświetlonego salonu, mówiąc niewyraźnie z cienia: – Ale lubicie mnie, prawda? No, powiedzcie, lubicie? Bo myślałem, że mnie nie lubicie. – Ksiądz Jan uprzejmie podpira go łokciem, uspokajająco głaszcząc po ramieniu. – Lubią, lubią, Erneście...

Wychodzimy ze starego dworku w jesienną noc. Nad nami czarne niebo podwarszawskie, jesienne, drzewa, gałęzie, suche liście, mżący deszczyk. Oglądamy się, widzimy, jak w jasnym prostokącie drzwi dworku podwarszawskiego stoją za nami ksiądz Jan i poeta Ernest. Objęci ramionami, chwieją się obaj w niedopiętych płaszczech, jak dwie polskie topole. I uśmiechają się do nas życzliwie, machają rękami, pozdrawiają na pożegnanie. – Ale lubicie nas – pokrzykują – prawda, że lubicie?

Schodzimy po schodkach na ulicę. – Lubimy, lubimy! – odkrzykujemy z ciemności, która nas nagle ogarnia, bo na ulicy przy dworku żadnych latarni. Noc, noc podwarszawska nadchodzi czarnymi chmurami znad lasu. Ale teraz już chcemy być daleko od tego miejsca, teraz już chcemy stąd odfrunąć możliwie daleko, chociaż w naszych sercach drży czułość dla całego Bożego świata, nic, tylko bolesna czułość dla całej naszej biednej planety, z dworkiem podwarszawskim, księdzem Janem i poetą Ernestem w jasnych drzwiach, bo sami jesteśmy zupełnie tacy jak ksiądz Jan i poeta Ernest, zupełnie tacy sami jak oni, nie do odróżnienia, choć chcemy myśleć, że jesteśmy zupełnie inni...

Niedziela, godzina 23.15. Toruń, hotel Copernicus, pokój na trzecim piętrze z widokiem na Wisłę. Nagroda Lindego

Wczoraj przyjechaliśmy do Torunia. Dzisiaj celebra w toruńskim ratuszu. Burmistrzowie Torunia i Getyngi, miast partnerskich, wręczyli mi uroczyste Nagrodę imienia Samuela Bogumiła Lindego. Z niemieckiej strony dostała ją Maria Luiza Scherer. Na wyróżnienie, którym zostałem uhonorowany, odpowiedziałem następującą mową w sali herbowej:

– Chociaż pojednanie polsko-niemieckie nigdy nie było najważniejszym celem mojego pisania, cieszę się, że wysoka Kapituła Nagrody im. Samuela Bogumiła Lindego zechciała uznać, że napisane przeze mnie książki sprawie pojednania między Polakami i Niemcami sprzyjały i nadal sprzyjają. Jako pisarza samo pojednanie nie interesowało mnie właściwie nigdy. Interesowała mnie kultura niemiecka, niemiecki ton życia duchowego, niemiecka tajemnica, która od wczesnych lat młodości, z niejasnych wciąż dla mnie przyczyn, przyciągała moją uwagę. Starłem się do niej odnosić bez uprzedzeń i obronnej napastliwości, których pełno było w moim otoczeniu.

Wiodła mnie gwiazda ciekawości i nic więcej, tylko gwiazda ciekawości, a także poczucie braku. Interesowały mnie Niemcy, ale Niemcy, których dzisiaj już nie ma. Niemcy romantycznego malarstwa Caspara Davida Friedricha, z jego mrocznym wezwaniem śmierci, dramatyczny głos Kleista, którego – jak się potem dowiedziałem – wielu Niemców nie lubi, dziwny ton opowieści Eichendorfa, tajemniczy ruch ręki Daniela Chodowieckiego, ruchomy cień Petera Schlemilha, którego nie można dostrzec na ścieżce, urzekająco-srebrna twarz Marleny Dietrich, dziki, bolesny głos

niemieckiego ekspresjonizmu, a nade wszystko niemiecka wyprawa w krainę ostatecznego zła, głos Alfreda Rosenberga, czarno-czerwona sceneria Parteitagów w Norymberdze – musiałem tam pojechać, żeby stanąć na kamiennej trybunie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym stał Hitler, żeby jego oczami spojrzeć na wypełniony tłumem, zupełnie pusty Zeppelinfeld, i pewnego dnia pojechałem tam. Gołą ręką dotknąłem jednego z najważniejszych miejsc świata.

Fascynowała mnie stara niemiecka obsesja piękna – żadna tam obsesja porządku, jak to się zwykle w Polsce mówi, tylko właśnie obsesja piękna, niemiecki ideał piękna, niemieckie żarłoczne pożądanie piękna, zdolne popchnąć człowieka do rzeczy ostatecznych. Pewnego dnia ujrzałem na nowo pruskie mury z czerwonej cegły, które mnie w Gdańsku otaczały, bramy ozdobione gotyckim pismem, stare cmentarze z germańskimi inskrypcjami, których nie lubili Polacy i których nie lubili moi rodzice. To było moje miejsce urodzenia, odrzucane przez moją rodzinę, która do Gdańska przybyła niedobrowolnie z Wilna i Warszawy, niosąc w sobie ranę wygnania i wrogość wobec samego słowa „Danzig”. W jakiejś chwili odkryłem, że jestem z tego prusko-ceglano-gotyckiego tworzywa ulepiony, choć o tym dotąd nie wiedziałem, duch miejsca skrycie pracował nade mną, formując mnie na swój obraz i podobieństwo. Potem – jadąc pociągiem z Gdańska do Warszawy – ujrzałem granicę mojego świata.

Nagle mój kraj kończył się jak nożem uciął w Działdowie, na dawnej granicy między Prusami a Kongresówką. Krajobraz zmieniał się, znikwały domy kolejowe w pruskim stylu, stare, neogotyckie dworce i wieże ciśnień podobne do krzyżackich baszt, perony z żeliwnymi podporami, tunele wyłożone kafelkami porcelanowej barwy, zielono-czerwone witraże w kolejowych poczekalniach z dębowymi ławami, zaczynała się Polska, kraj centralny, nie mój kraj rodzony, inność centralnopolskiej architektury i codziennego życia. Moją była architektura pruskich gimnazjów, ceglanych koszar z gotyckimi oknami, żelaznych wiaduktów nad torami, brukowanych podjazdów, mostów na Wiśle pod Tczewem-Dirschau, czarnych belkowań na wapiennych murach kamienic z modernistycznymi sztukateriami, niemiecka secesja, bawarskie fasady starego Wrzeszcza i Oliwy, echo dziewiętnastowiecznej niemieckości, która jeszcze nie zdążyła utracić wycucia formy, dobrze trzymała się w ornamentach, attykach, surowych liniach cegły, drewna, żeliwa i szkła.

Robiłem wszystko, by w moim pisaniu nie zbliżyć się do tego, co sprawiedliwie zostało nazwane kiczem pojednania. Nie wzruszały mnie uściski kanclerza Kohla i premiera Mazowieckiego w Krzyżowej, bo nie lubię widoku całujących się polityków bez względu na szlachetne powody pocałunków. Nigdy nie wierzyłem w pojednanie między narodami i państwami. Pojednanie jest możliwe tylko między osobami, a jego najlepszą formą jest małżeństwo mieszane, fizyczna miłość, z której rodzą się prawdziwe dzieci pojednania. Państwa są zawsze obłudne, podstępne i nieprzewidywalne. Pojedynczy ludzie potrafią być inni.

Ciekawiła mnie niemieckość, jej barwy i tonacje, których w polskiej kulturze nie odnajdywałem. Prowadziła mnie też gwiazda współczucia, mylna gwiazda, która czasem oślepia. Chciałem wierzyć – niesprawiedliwie – że Niemcy wygnani z Gdańska znaleźli się w podobnej, bolesnej sytuacji jak Polacy wygnani z Kresów Wschodnich, że i jedni, i drudzy byli ofiarami Jałty, ofiarami czarnych młynów historii, które niszczą narody i państwa, zwykli, niewinni ludzie, wypędzeni ze swoich miejsc urodzenia. Tymczasem ci zwykli, niewinni ludzie, mieszkańcy Freie Stadt Danzig, byli jednymi z najzagorzalszych zwolenników Hitlera, to dzięki nim zdobył władzę w Rzeszy. Napisałem *Hanemann*, czekałem na odzew, na podobny gest ze strony literatury niemieckiej, ale takiego gestu nie było. Ja napisałem pełną współczucia powieść, której bohaterem uczyniłem wypędzonego z Gdańska Niemca. Nie znam żadnej pełnej współczucia książki niemieckiego pisarza o wypędzonym z Kresów Wschodnich Polaku, który po wojnie zamieszkał w ponemieckim Gdańsku w domu po wypędzonych Niemcach, ale, kto wie, może gdzieś taka książka istnieje i została już przez kogoś napisana, a jeśli nie została, to może ktoś ją kiedyś jeszcze napisze.

Moje podróże do Niemiec współczesnych były serią zachwytów i rozczerowań. Szukałem tam moich Niemiec, Niemiec ze snów mojego dzieciństwa i mojej młodości, mrocznych Niemiec, budzących lęk niesamowitą odwagą wdawania się w rzeczy straszne, takie jak piękno i śmierć zadawana w imię piękna. Byłem rozdwojony. Jedną połową duszy cieszyłem się widokiem Niemiec nowoczesnych, demokratycznych, bo takich Niemiec nie musiałem się bać. Drugą połową odczuwałem dziwną czczość, widząc, jak bardzo zezwyczajnieli Niemcy pod wpływem amerykańskiej kultury i politycznej kontroli aliantów. Łaknąłem różnicy, wyraźnej, dobitnej różnicy między nami i nimi, ale różnice zacierały się. Ten sam Niemiec

demokratyczny, przyjemny w obcowaniu, miły, otwarty, sympatyczny, którego cenilem i szanowałem, był równocześnie niezbyt ciekawy dla artystycznego oka. Cieszyłem się widokiem normalnych, demokratycznych Niemiec, bo potrafiły wyzwolić się z odrażającego zła, które zatruiło historię świata, ale moje oko odczuwało brak tego, czego doznawałem w dzieciństwie, kiedy w półmroku przedwieczornej godziny schodziłem do podziemi mojego rodzinnego, poniemieckiego domu, by przy świecy osłoniętej dłonią wertować stare niemieckie księgi i geograficzne atlasy. Etyka rozmiąta się z estetyką. Potrzeba serca z potrzebą formy.

Czułem, że niemiecka kultura w drugiej połowie XX wieku utraciła charyzmat, nie promieniuje już, nie iskrzy, jak iskrzyła w XIX i w pierwszej połowie XX wieku, podobnie zresztą jak to się przydarzyło kulturze polskiej. Obie są dzisiaj kulturami peryferyjnymi. Nie one nadają ton duchowi Europy i świata. Niemieccy pisarze, których spotykam w niemieckich pubach, niewiele różnią się od polskich pisarzy. Nawet ubierają się podobnie i zajmują podobne miejsce w demokratycznym społeczeństwie. Z jednej strony dziękowałem Bogu, że zniknęły na zawsze z powierzchni ziemi tamte straszne, mroczne Niemcy, które znałem z opowieści Matki i Ojca, że zapadły się pod ziemię, że Niemcy są nareszcie jasne i normalne. Z drugiej skrycie ciągle pytałem siebie, czy to nie jest tylko uszmkowana maska, chwilowe przebranie niemieckiego ducha, bo tak naprawdę Niemcy są zawsze tacy sami i pozostaną tacy sami, bo mają demokrację tylko dlatego, że zostali do niej zmuszeni amerykańskimi bagnietami. W obecnych Niemcach ciekawy jest ich stosunek do Rosji, tajemnica, którą przysłaniają flagi Unii Europejskiej, zawikłane sprawy, patriarchalny stosunek do Europy Środkowo-Wschodniej, Rosja w oczach Niemców, wzajemna fascynacja, przyciąganie i odpychanie, pamięć o sowieckim gwałcie wojennym na milionach niemieckich kobiet, ukrywana i rozdrapywana w książkach i wspomnieniach, zadziwiający spłot niejednoznacznych emocji, coś groźnego, utajonego, niewypowiedzianego, wstydliwego.

Bardzo mnie ciekawi niemiecki duch i to, co będzie z nim dalej. Nie mam do niego klucza, ale przypatruję mu się uważnie z życzliwą ciekawością i lękiem, bo nie rozumiem wszystkiego. I czy Unia Europejska jest prawdziwą Unią Europejską. I kim są naprawdę Niemcy. I czy, kiedy coś się stanie, możemy na nich liczyć.

Wszystko to sprzyja pisaniu, bo pisanie nie rośnie wtedy, kiedy kierujemy się szlachetnymi intencjami, tylko kiedy napędza nas nieuprzedzona, chłonna cie-

kawość, wola poznania, zrozumienia, niejasna materia sprzecznych uczuć, które iskrzą w ciemności i prowadzą pióro tam, gdzie chcą. Prawdziwą wartością pisanie jest wolność pióra – to na niej powinno nam wszystkim zależeć, bo tylko ona sprzyja prawdziwemu pojednaniu. Niech więc przyznana mi dzisiaj zaszczytna nagroda będzie dla mnie zachętą do praktykowania pisarskiej wolności, której zawsze broniłem ze wszystkich sił także w tym, co pisałem o Niemcach i Niemcach w *Hanemannie*, w *Esther*, w *Krótkiej historii pewnego żartu*, w *Złotym pelikanie*, w *Dolinie Radości*, w *Pannie Ferbelin* i w moich dziennikach, które pisałem podczas podróży niemieckich, chłonąc niemieckie obrazy i głosy jak nienasycona gąbka, bo napięta ciekawość jest najlepszą drogą do tego, by czasem – jeśli Bóg pozwoli – piórem dotknąć choćby ułamka prawdy.

Raz jeszcze więc dziękując za zaszczytne wyróżnienie, zapewniam, że nadal będę śledzić przygody niemieckiego ducha z równą wiarą, że przychylna pisarska bezstronność, wolna od uprzedzeń, ale i sentymentalnych złudzeń, jest najlepszą drogą do zrozumienia innych, którego nam tak bardzo dzisiaj brakuje na Ziemi.

MAREK KĘDZIERSKI

Marginalia (7)

Zabieram panią na miodowy miesiąc – mówi Chamit, opiera dłonie nad jej biodrami, chwyta, podnosi i przenosi ją nad progiem drzwi wejściowych. Jak piórko. Lekkość na granicy nieważkości, za każdym razem mam takie wrażenie. Cały ten obraz szybuje w przestworza godne Chagalla. Albo porwania Sabinek Giambolognii. Chamit uprowadza ją z rue Segulier. Ale surrealizm tej sceny jest ulotny, trwa jedną chwilę. Od progu drzwi mieszkania w osiemnastowiecznej kamienicy zaczynają się drewniane schody. Trzyma go za szyję jak małą dziewczynkę, jak trzymałaby rodzica, pełna ufności. Nie pierwszy raz przechodzi z nią po tych schodach. Pięćdziesiąt kroków, dzielących mieszkanie na pierwszym piętrze od białego samochodu, które ledwie mieści się na ciasnym, brukowanym kocimi łbami dziedzińcu kamienicy. Czterdzieści trzy stopnie. Nie raz je liczyłem.

Ja przed nimi, ruszam pierwszy, ze złożonym wózkiem inwalidzkim w jednej ręce, pierwszy dobiegam do karetki, otwieram drugą ręką tylne drzwi, umieszczam za nimi wózek, zamykam te, a otwieram boczne, przesuwane drzwi, przed którymi Chamit już czeka, aby złożyć jej drobne ciało na tylnym siedzeniu, zabezpieczając je pasami bezpieczeństwa. Szum przesuwanych drzwi bocznych pojazdu zwieńczony zostaje charakterystycznym trzaśnięciem, a ja w tym czasie stoję już przy ciężkiej bramie i za moment, kiedy Chamit ruszy, tę bramę zamykam – cała operacja trwa sekundy, nie chcemy blokować ani dziedzińca, ani wąskiej uliczki, kończącej się kilkadziesiąt metrów dalej na nabrzeżu Sekwany, Quai des Grands Augustins.

W strumieniu aut Chamit robi wszystko, by gwałtownie nie hamować. – Val de Grace – pasażerka cichym głosem komentuje przesuwający się pejzaż.

– Chodził stąd do parku Montsouris po drugiej stronie.

On. Wiemy o kim mowa.

Gdy docieramy do celu, operacja zaczyna się według podobnego scenariusza, w odwrotnej kolejności. Wsiadam z auta, kiedy otwieram tylne drzwi, słyszę jak przesuwają się boczne, wyciągam wózek i zanim go rozłożę, Chamić, kierowca, który w misji u niej zamienia się też w pielęgniarza, stoi przede mną z Barbarą w objęciach, po to, by złożyć na nim jej kruche ciało, w bezpiecznych objęciach matowych ramion z tworzywa sztucznego. Gabinet lekarski jest na parterze, na szczęście, praktycznie na poziomie trotuaru, więc ona od razu wjeżdża do wnętrza na swoim tronie. Ona, Barbara Bray.

A F D B Z, nie, przepraszam, to jest T. A tu? Tu jest S, chyba, jeżeli się nie mylę.

Jeszcze raz? A F D Z B nie, to jest Z, to znaczy B, jeszcze raz?

I tak dalej. Doktor jest cierpliwy. Z pewną regularnością pacjentka te same litery widzi, a przynajmniej odczytuje, odmiennie. Podąża za wskaźnikiem okulisty raczej nieprzewidywalnie, powiedziałbym, myląc się przy literach dużego formatu, zaraz po tym, jak poprawnie odczytała dużo mniejsze. Nie widzę w tym metody.

Doktor jest wyrozumiały, w orientalny sposób, doktor Maurice Wang, lub Zheng, typowe nazwisko, wykazuje wobec swej pacjentki olbrzymią, jak powiedziałem, cierpliwość, wraca do wskazanych uprzednio liter, tych, które odczytała poprawnie, ale i tych, co do których się myliła. Ona poprawnie odczytuje te, które przed chwilą mylnie odczytała, ale co jakiś czas mylnie odczytuje te, które uprzednio podała poprawnie (może odgadła?). Nie bardzo mi się udaje odkryć w tym jakiś wzór.

Kiedy badanie, w moich oczach raczej niewskazujące na wyraźną konkluzję (ale przecież nie znam się na tym) zbliża się ku końcowi, Barbara zwraca się do Wanga, lub Zhenga, z wyraźną ulgą: – *Merci beaucoup, cher docteur* – i wyraźnie uspokojona, zaczyna szukać czegoś w swej dużej torbie, z niegdyś pięknej skóry.

– Co pan by powiedział – wciąż szuka, torba nie jest duża, ale dużo skrywa w swoim wnętrzu – co by pan powiedział – już chyba znalazła, taką ma minę.

– Co by pan powiedział o właścicielu tych okularów – pyta z psotnym, nieco szelmowskim uśmiechem na twarzy. Hmm, jak nazwać ten uśmiech, „szelmowski” trąci myszką, to nie jest powieść Łotzykowska, „łobuzerski” brzmi jak z Targówka, jeśli „szelmowski” to i „dziewczęcy”. Figlarny? Psotny? Nie, absolutnie nie psotny. Jak skrzat nieco. *Impish smile. Very British.*

– Chwileczkę! – doktor bierze od niej masywne okulary w grubych brązowych rogowych oprawkach, mierzy je profesjonalnym wzrokiem, przechodzi kilka kroków do swej maszyny, mruczy coś pod nosem, siada przed nią, maszyną, i przez dłuższy czas kilkakrotnie przenosi wzrok z badanego przedmiotu na ekran urządzenia. I wreszcie zrywa się na równe nogi i podbiega do Barbary.

– Droga pani, nie mam już ani jednego terminu na najbliższe kilka miesięcy, ale dla pani zrobię wyjątek. Proszę natychmiast wysłać do mnie tego pana – bo sądząc po okularach, to jest mężczyzna. Proszę mu powiedzieć, że to ciężki przypadek i powinien to potraktować poważnie, jeśli chce wykluczyć najgorsze, bo, sądząc po okularach, całe lata nie był już badany. A teraz mamy znacznie lepsze materiały. Widzę, że i astygmatyzm jest bardzo poważny. Szczerze mówiąc, nie można wykluczyć najgorszego. Żeby to się źle nie skończyło. W przyszły wtorek o jedenastej trzydzieści jestem do jego dyspozycji.

– Dziękuję, doktorze, to bardzo miłe z pana strony, czuję się niemal poruszona. Pana ludzki odruch. Dziękuję i przepraszam, nie chciałam absolutnie wprowadzać pana w błąd. Właściciel tych okularów niestety już nie żyje. Przyniosłam je tak, z ciekawości, co pan powie. Wie pan, czyje to okulary? (*Długa pauza*) Kto je nosił? Samuel Beckett...

– Ten, ten... – doktor Wang (Zheng?) szuka słowa – ...*l'homme de théâtre*? Noblista?

– Tak, to jego okulary. Przyjaźniliśmy się. Używał ich u mnie do czytania nut. Był świetnym pianistą. Grał u mnie najczęściej Händla. I Haydna. To nie były jego ostatnie okulary. Miał jeszcze kilka innych par, i kilka operacji oczu, które przyniosły pewną poprawę, ale generalnie miał bardzo złe oczy.

Już po wizycie. Barbara patrzy, zamyślona, na przesuwający się pejzaż miejski.

– Rzeczywiście, widział rzeczy w powiększeniu, zwłaszcza te najbliżej niego. Aha, a tu jest najlepsza cukiernia w moim sąsiedztwie. Dalloyau.

– Tak, wiem, proszę pani. Dała mi już pani w prezencie.

– Co to było? *L'opéra*?

– Nie, makaroniki.

Już na miejscu. Tym razem Chamit pokonuje dwadzieścia trzy stopnie, niosąc Barbarę na rękach.

– Nanda, czy coś mamy jeszcze dzisiaj w planie? Nie? To dobrze. Jestem zmęczona.

Jej adres to 15 rue Segulier. Przed półwieczem wprowadziła się do przestronnego mieszkania na górnym piętrze, pełnego światła. Po trzydziestu latach, kiedy wyprowadziły się jej dorosłe córki, wynajęła na pierwszym piętrze mały pojedynczy pokój. Z jednym oknem, dość dużym, lecz przecież większa część pokoju była przez większą część dnia, i chyba przez większość dni w roku, w półświecie. Albo, jeśli ktoś woli, w półmroku.

W budynku nie ma windy. Jeżeli wciąż mieszkałaby na górnym piętrze, Chamit, podobnie jak inne pomocne dusze, miałby więcej pracy, znosząc ją i wnosząc już nie po dwudziestu trzech, lecz setkach stopni. Doznała szerokiego wylewu w grudniu 2002 roku.

Barbara Bray. *Cum laude*. Absolwentka Cambridge. Producentka i redaktorka BBC od połowy lat pięćdziesiątych. Od 1962 roku przyjaciółka Becketta w Paryżu. Nad Tamizą parała się też krytyką teatralną i artystyczną, nad Sekwaną wyspecjalizowała się w przekładzie literackim, przyswoiła anglojęzycznej literaturze dzieła najwybitniejszych pisarzy francuskich. *Spiritus movens* anglojęzycznego teatru w Paryżu. Przez ostatnie siedem lat życia inwalidka, przykuta do łóżka i wózka. Podróże w wyobraźni.

*

Barbara była doświadczoną i nadzwyczaj spokojną chorą, Daria – początkującą praktykantką w swej nowej roli.

– Nigdy nie zajmowałam się chorymi, ale spróbuję.

Praca u niej będzie dla mnie wyróżnieniem. Musi być niezwykłą kobietą, z tego, co mi opowiadasz. Mam nadzieję, że sprostam – powiedziała, kiedy jej to zaproponowałem, dobrze wiedząc, że skończyło jej się stypendium w Bazylei. Daria: kilka tygodni z tak wspaniałą kobietą na pewno wiele mnie nauczy.

Dwa tygodnie non stop rzeczywiście wiele ją nauczyło. Odbyla spontaniczny przyspieszony kurs pielęgniarstwa z minimalną dawką teorii, którą symultanicznie trzeba

było wdrażać w praktykę. To należało do części obowiązkowej. Nadobowiązkowe były rozmowy. Od Barbary dowiedziała się wielu cennych rzeczy. Kultura generalna tej kobiety jest zdumiewająca, pisała Daria po drugiej spędzonej u Barbary dobie. Z maila wynikało, że wiedza i takt Barbary zdumiałyby każdego. W kwestiach poruszanych w rozmowach, Darii, po wysłuchaniu Barbary, radykalnie rozjaśniało się w głowie. Rozszerzały się jej horyzonty, jak to chyba ujęła, tak przynajmniej to zapamiętałem. Jeśli wierzyć jej słowom, i polegać na mojej pamięci, uwielbiała słuchać opowieści i komentarzy swojej tymczasowej podopiecznej, słuchała z wypiekami na twarzy, tak to sobie wyobrażam, no ale moja wyobraźnia działa może z lekką domieszką przesady. Dowiadywała się wciąż nowych rzeczy, choć przecież takich, o których wcześniej często zdarzało jej się rozmyślać. Choćby *haute vulgarisation* – to Barbara zwięźle nazwała to, co Darii, rzecz jasna, było znane, ale nie pod tą nazwą. Wychowani w innej tradycji językowej, nawet ci dobrze znający język francuski, kojarzą wulgaryzację na ogół negatywnie, nie kojarzą jej z popularyzacją, z kolei popularyzacja ma we francuskim raczej ujemne konotacje. Barbara w efektowny sposób demonstrowała swojej opiekunce słowem i czynem, słowem-czynem, swoje rozumienie takiej lub innej kwestii, o której Daria uprzednio myślała, ale dopiero Barbara potrafiła ją ująć, w błyskotliwym skrócie, w zwięzłym sformułowaniu, oszałamiająco lapidarnie, *auf den Punkt bringen*, jak się mówiło w Bazylei. Zwięźłość dodawała atrakcyjności sformułowaniu, a atrakcyjność przydawała wartości prawdzie ujęcia. Do tego jeszcze lekkość, którą unosił w kierunku nieba humor. Barbara potrafiła, jak nikt inny dotąd, w intelektualnym życiu Darii, z dużym humorem i w olbrzymim skrócie przedstawić istotę, charakter skądinąd złożonego zjawiska. A potem, ująwszy, jakże trafnie, niezwykle elegancko rozjaśnwszy i wyjaśnwszy, dotarłszy do sedna jakiejś skomplikowanej rzeczy, swym wspaniałym brytyjskim akcentem, dodatkowo wzbudzając entuzjazm słuchaczki. Barbara całą prawdę ujmowała w łupinie orzecha, słodkie intelektualnie w sercu Darii wywołując dreszcze. No, może przesadzam, myśląc o Darii bez mała dwadzieścia lat po fakcie. Dario, pamiętaj, mówiła Barbara, tak sobie wyobrażam, że skomplikowane zagadnienia można przedstawić na ogół w możliwie nieskomplikowany sposób, nieskomplikowany, ale w granicach możliwego, trzeba bowiem pamiętać, że tylko tak nieskomplikowanie, jak dopuszcza, jak pozwala na to, owa rzecz, owo zagadnienie, sformułowanie tego prostsze niż wymaga tego natura

owego zagadnienia, owej rzeczy natura, oznacza już uproszczenie. Od tego momentu zaczyna się bowiem równia pochyła, zamiast objaśniać, rozjaśniać, człowiek zaczyna upraszczać, a więc nie rozjaśniać, lecz zaciemniać, w jasnym pokoju mijając się z prawdą, która jest czasami nieprzejrzysta, mętnawa lub mętna, wręcz mroczna. Ująwszy w łupinę orzecha na przykład sprawę wpływu niektórych religii na utworzenie w ich ramach czy kontekście specyficznego paradygmatu kultury, Barbara milkła i spuszczała wzrok. Daria patrzyła na nią, na jej oczach następowała w Barbarze przemiana. Pograżała się w sobie. Czasami zdarzało się jej szlochać.

Podobnie jak wtedy, kiedy wychodzili od niej goście. Dopiero w okresie choroby i zmierzchu Barbara przyjmowała u siebie gości. Z dawnych epok, jak to, być może trafnie, ujęła Nanda, jej regularna opiekunka. Nagle dawali o sobie znać dawni przyjaciele i znajomi „akurat” przejeżdżający przez Paryż. Ze wszystkich zakątków świata. Część z nich dowiadywała się o chorobie Barbary wcześniej, więc chcieli ją zobaczyć. Wpaść na rue Segurier choć na chwilę. Część dowiadywała się dopiero z ostrożnych odpowiedzi Barbary na maile, w których pytali, co u niej słychać, po tylu latach, a dowiedziawszy się, że nie wychodzi już z domu, chcieli ją zobaczyć (*touch base*, wciąż padały te słowa – większość tych przejazdów w Paryżu to byli Anglosasi), uprzednio wymusiwszy na niej, że chętnie ich do siebie zaprosi. Przed chorobą nikt do niej nie wpadał, ze wszystkimi widywała się w kawiarniach, restauracjach, muzeach, teatrach, nie w domu. Było to typowe dla jej pokolenia, *nota bene* nie tylko w jej kręgach, intelektualno-artystycznych, jak sama je określała. Na palcach można było policzyć tych, którzy wcześniej, przed jej udarem, bywali na rue Segurier. Teraz zjawiali się u niej pierwszy raz w życiu i widok skromnego wnętrza stanowił dla nich co najmniej lekki szok, choć trzeba przyznać, że na ogół, jak to się mówi, nie dawali po sobie tego poznać. Myślę, że nie tylko szczupłe mieszkanie Barbary, ale i ona sama, wyraźnie umniejszona w wózku inwalidzkim, szokowały.

Sam się do tych wizyt przyczyniałem, przyprowadzając do Barbary Karla D. ze Sztokholmu, Ricka C. z Kalifornii, Stana G. z Florydy, Geneviève z Nicei, Park z Atlanty, Lutfiego z Istanbulu i Sztokholmu – i kogo jeszcze? Odwiedziny planowane były na ogół popołudniami, tak by dać czas Nandzie, lub Vanessie, drugiej z opiekunek, które Daria, sama jedna, musiała zastąpić (pierwsza pochodziła ze Sri Lanki i słabo mówiła po francusku, druga chyba z Réunion i lepiej знаła francuski niż angielski),

na perfekcyjne (w miarę) przygotowanie Barbary do wizyty. Gotowa przyjmować, starannie ubrana, w lekkim makijażu, maskującym część twarzy, której mimika po uderze potrafiła zaskoczyć, robiła wrażenie dystygowanej intelektualistki w pełni swego talentu. I to wrażenie od samego początku nadawało ton spotkaniu. W chwili, gdy zjawiali się goście, Barbara cofała się w czasie, co najmniej do czasu, gdy ostatni raz widziała swych gości. W wielu wypadkach wydawało mi się, że to były wieki. Jej błyskotliwość udzielała się gościom, wyobrażam sobie, jak za dawnych czasów. Błyskotliwie komentowała, całkowicie panując nad sytuacją, finezyjnie puentując każdy właściwie temat, zwłaszcza te o charakterze spekulatywnym.

Po wyjściu gości następowała w Barbarze przemiana. Zapadała się w fotelu, zapadała się w sobie. – Nie wiem, dlaczego jestem taka wyczerpana. – W ciągu minuty zamieniała się w mały kłębek żalości i żalu. Najgorzej było w nocy. Ale o tym nie wiedziałem.

Najgorzej było w nocy, nad ranem. Daria zastąpiła późnym latem opiekujące się Barbarą przez resztę roku na zmianę dniem i nocą Nandę i Vanessę. Młodej historyczce sztuki, ze świeżym doktoratem z Bazylei, ale już bez stypendium, podwójna dniówka przez dwa tygodnie podreperuje budżet, myślałem, a możliwość intelektualnej konwersacji powinna być atrakcyjna dla obu stron, myślałem, sugerując Barbarze pomoc Darii. Nie przyszło mi na myśl pomyśleć o tym, jaki wpływ może mieć dla kogoś bez doświadczenia w tym kierunku przebywanie z osobą przykutą do wózka i łóżka przez całą dobę przez cały tydzień, a tym bardziej przez dwa długie tygodnie.

Sporo ją to kosztowało. Przede wszystkim przykucie do małego mieszkania, pokoju z jednym oknem, kuchnią schowaną w szafie ściennej, aneksem w postaci łazienki, książkami na półkach, rudymmentarnym umeblowaniem, nie licząc pianina, na którym Sam grał Händla, równie radykalnie jak Barbara była przykuta do składanego nocą wózka inwalidzkiego. Krótkie wypady po zakupy, a nawet improwizowany niemal-jogging w Ogrodzie Luksemburskim w nieoczekiwanie wolne pół godziny nie łagodziły poczucie osaczenia. W nocy było ciężko. Nieprzyzwyczajona do tego, że ktoś ją budzi, a ona musi natychmiast przystępować do działania, Daria podchodziła do wąskiego łóżka Barbary, by odpowiedzieć na to, o co pyta ją chora, okazywało się jednak, że odpowiedzi Darii do Barbary nie docierają, bo pytała we śnie. W swoim śnie, w bezsenności Darii.

Czy mówi przez sen, czy mówi na jawie? Co mówi przez sen, a co mówi na jawie? Jak oddzielić te dwa głosy w jednym zawarte?

Nawet przy braku odpowiedzi na jej odpowiedź, Daria nauczyła się jednak wstać, podchodzić do Barbary, sprawdzać, czy jest dostatecznie okryta, lub czy nie zbyt odkryta, zlane potem. W pierwszym wypadku zadanie Darii było dosyć proste, przykrywała chorą i po kilku minutach, słysząc jej miarowy oddech, a nawet słysząc, jak coś mówi, ale w oczywisty sposób przez sen, sama mogła powrócić do snu, a przynajmniej próbować. W drugim wypadku, jeżeli jej podopieczna spała, cała mokra, Daria musiała ją obudzić, nie przenosząc jej na wózek, z wąskiego łóżka ściągnąć całą pościel i położyć je na nowo. Wyobrażam sobie, co czuła Daria w czasie tych gorączkowych nocnych interwencji, zwłaszcza na samym początku pobytu przy rue Seguier. W półmroku, żeby nie rozbudzić Barbary, i, z tego samego powodu, we w miarę absolutnej ciszy, walcząc z poszwami i prześcieradłami, zważając na to, by w zatłoczonym pokoju nie potrącić czegoś, ani nie zrzucić ustawionych koło łóżka chorej naczyń, zdarzało się Darii położyć zmoczoną pościel na pianinie marki Schimmel. Zmięte prześcieradła dotykały skrupulatnie ułożonego pliku nut. Na wierzchu charakterystyczna, zielono-zielonkawa okładka Edition Peters. Händel, Klaviersonatas Nos 4-7.

Da capo...

Przed udarem Barbara często wspominała o swojej matce, która w dobrym zdrowiu przeżyła całe stulecie. Jeszcze mi trochę zostało, żartowała z tym samym szelmowskim uśmiechem. Zmarła w marcu 2010 roku. W listopadzie 2024 roku obchodziłaby setne urodziny.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (11)

Mówisz głośno, ale ten, który stoi po drugiej stronie muru, twojego głosu nie słyszy.

Głosy z zewnątrz i słuchanie ich. A także te wewnętrzne i słuch wewnętrzny.

Czy głos w ciszy brzmiący w głowie jest jej przerwaniem czy dopełnieniem, a nawet ukoronowaniem?

Nie szept, ale głos bezgłośnie wybrzmiewający wewnątrz, w środku. Rodzący się z tej ciszy, kończący ją i uwznioślający, ściśle z nią zestrojony, tak jak ona z nim, wśród tego zgłębku, hałasu i rabanu.

Brzmi w niej, jest jej brzmieniem, owocnym działaniem, zakorzenieniem w sensie.

Jest dziełem ciszy, jej materializacją, otwarciem i spełnieniem.

Tak jak na początku. Słowo i światłość. Od razu, na początku, stworzenie i oświecenie. Słowo wydobyte czy wyłonię z wiekistej ciszy, jej bezładu, pustki i bezmiaru.

Tak jak przy narodzeniu człowieka. Z wnętrza, na zewnątrz. Jakieś kwilenie i krzyk. Z tamtego świata – na ten świat. Ta łączność, związek, jedność.

Od kogoś – ktoś i coś – od kogoś. Ciche słowa pełne mocy. Wyrażone. W tej pełni.

Człowiek – arcydzieło i w nim głos – Słowo – Bóg.

Zagłuszane, wyrwane, niszczone przez diabła i świat.

Jak wiązka światła w ciemności, na którą trzeba się otworzyć, wsłuchać się, przyniknąć.

Rodzi się we wnętrzu i – na zewnątrz.

Głos z ciszy, do środka.

I tam wzrost, w niewidzialności.

Spojrzenia kilku osób, które ciągle czują. Oko, które widzi.

Głos, który dyktuje. I ci wokół, w przytłaczającej większości, którzy ciągle dyktują swoje.

Nie odwracać wzroku od własnego dziedzictwa i patrzeć na to, co jest, nowe i powtarzające się.

Jest tylko jeden cel i żyjemy po to, żeby go osiągnąć. Po to idziemy naprzód, pokonując kolejne przeszkody i podejmując nowe wyzwania. Dla tych, co zgubili się, odeszli daleko lub ciągle są niedaleko, zamkniętych i otwartych, w drodze. Grzeszni, oczyszczeni i znowu grzeszni.

Będąc nim w sobie, do tego stopnia pusty i otwarty. Wypełniający się nim i nimi, w drodze do celu. Nie protagonista, najwyżej jego pomocnik. Nie tyle w jedności, co w harmonii z nim, w niej z nim zjednoczony, także w harmonii różnic i przeciwieństw, w jednym duchu. W więzi, w której łączą się różnice, w tej wyjątkowej harmonii, z której wynika wspólny głos, w tej nieraz skrajnej różnorodności, w obecności Ducha. Tak natchniony i wzmacniany, kąsany i atakowany. Z dobrą wolą nawet ze złem za rękę. Prowadzony, pocieszany i radowany, w nie byle jakich smutkach. Strzeżony, słuchający, po dobrej stronie, bez pustych słów. Garbus w marszu garbusów, idący razem.

Bardziej słuchający, niż mówiący. Pod presją i nie pod presją. W toku i w trakcie pauzy. Zatrzymany i uwolniony, zamknięty i znowu na wolności.

Nieustannie stwarzany, z dnia na dzień i wiele razy każdego dnia. Za sprawą ducha i Ducha, w świetle słów i Słowa.

Nie raz zło wypycha się na pierwszy plan, narzuca swoje, stara się powodować i kierować, maskując się, że jest z tobą dla ciebie, dla twojego dobra i dla dobra sprawy, a przecież jest na odwrót.

Jest blisko i krzyżuje z nami spojrzenia.

Na skrzyżowaniu dróg. I na skrzyżowaniu światów.

Otwarta brama na rzekę. I światło.

Nie idea, fatamorgana, ale rzeczywistość. Jak miłość, poza którą wszystko jest ciemnością.

To, co jest możliwe, nawet wtedy gdy wydaje się być niemożliwe.

Na wspak i na opak. W marzeniu, w wewnętrznym poruszeniu, przyjęciu. W entuzjazmie i pasji. W prośbie i spełnieniu, żebrząc i otrzymując.

Fosy i mury. Puste fosy i fragmenty murów obronnych.

Ogień i duch. Od rozproszenia, do jedności.

Co to za radość i szczęście działać z kimś w jedności.

Pragnąc, otwierając się i pokonując.

W nim znajdując siłę i światło do realizacji.

Miłość i jedność. Jedność i misja. Jedno z drugiego wynika.

Nie sam do siebie i z samym sobą, ale do niego i z nim. W jego słowach, w jego milczeniu, w naszym milczeniu i w moich słowach. Oczyszczony, przemieniony i odnowiony.

Współpracując z jego duchem i energią od niego, zjednoczony, chociaż nie tożsamy. Wiele czasu spędzający z nim w milczeniu. Wpatrzony w jego słowa i wypowiadający je na głos. Z bijącym sercem, blisko niego. Nie na swoich siłach polegając i nie na swojej mocy.

Ubogi, mały i wiedzący, że tak jest.

Potrzebujący go i robiący mu miejsce.

Czekający na niego i oddający mu swój czas.

Mówiący nie i potem zmieniający zdanie.

Przez niego stwarzany, przecież nie bez swojej woli.

Dzięki niemu nie sam, w pokoju, z sensem.

Nie bezmyślnie tracąc czas.

Z łagodną siłą przeciw niszczącej mocy.

Omijając pułapki, sidła i wilcze doły.

Będąc nie swoim wizerunkiem. W moim i nie moim życiu.

Wychodząc poza siebie, w dwóch formach obecności, rytmie jednoczącego toku. W drodze powrotnej, zostawiając znaki. W porozumieniu, z rozmachem, w ofensywie. Mając te same uczucia, doceniając różnice i z odwagą.

Z różnymi odcieniami i natężeniem, w zależności od ustawienia i nastawienia. W ciemności, w świetle, w cieniu i w światłocieniu. W tym, co może być i w kreacji, w śnie, który staje się jawą i na jawie, która jest jak sen.

Jasny jak słońce i ledwo tłący się knotek, podsycany, gasnący, nie zostawiony samemu sobie.

W towarzystwie, w trosce i zagmatwaniu, w pragnieniach i zaniechaniach, z ogniem w środku i jak wydrążony.

Wydobywając, co najlepsze, umierając i podnosząc się do życia, w rozkwicie i w zaniku, w stu wykrętach i w ryzykownej szarzy.

Nie kalkulując, bez ozdobników i pozorów, zostawiając na boku to, co nieważne.

Wierny marzeniom, idący za nimi i żebrzący o łaskę.

Na drodze realnej, na drodze mistycznej.

Skulony jak płód w łonie i z wielką energią.

Słowo przyjęte, wcielone i przekazane innym. W pragnieniu, które z jednej pustki przenika do drugiej, z jednego naczynia – do drugiego. I tak przekazane staje się przekąźnikiem dla innych, jest w ruchu, przez przyciąganie. Z jednego ja do drugiego, odrywając się i łącząc, nie zważając na mury i granice. Nie w zwykłym powtarzaniu, ale w żywym twórczym czynie, robiąc to, co głoszą, wewnątrz i na zewnątrz, nie tylko wargami, ale sercem. W słabości nie raz upadając, ale podnosząc się i kontynuując dzieło, z dystansem i bez dystansu, ale przecież nie na dwa fronty.

Nie zamaskowany, z podniesioną przyłbicą. Przygotowujący się.

Nie w pozorach, z obawy przed innymi. Umiejący zatrzymać się i stać w miejscu. Potrafiący trwać w ciszy i wsłuchiwać się w siebie. I potrafiący słuchać innych, tak jak i odwracać się od nich. Bez tego nie byłby sobą.

Oliwając siebie, żeby był dobry przepływ. Nie improwizując, ale przygotowując się, z dnia na dzień, z godziny na godzinę do tych chwil, kiedy płynie to przez niego i zmierza jak rzeka do morza.

Wierzy, że się nie skończy, przerwie nagle w nieoczekiwanym miejscu, że jest dane po to, żeby skończył, ciągnął dalej i rozwijał. W uniżeniu i ze współczuciem.

Zawsze, ciągle, wciąż. Bardziej, więcej, bliżej – wzwyż.

Jak w dzieży, mieszając się z innymi.

Nie równie, nie tak samo, tak jak powinno być.

Słuchaj serca. I idź!

Nie słysząc tego, co chce się usłyszeć, ale słuchając naprawdę.

Jeżeli nie ma milczenia, to nie ma porozumienia.

Gwałtowne repliki i kwestie wypowiedziane po zastanowieniu i rozważeniu tego, co się usłyszało.

Jeżeli nie zrozumiesz tego, co ktoś mówi, przez niego, najlepiej przez jego wnętrze, to nie zrozumiesz tego, co mówi.

Co innego słuchać, a co innego słyszeć.

Przyswoić to, co mówi, zostawić w sobie, być z tym i wysłuchiwać w swoim wnętrzu, wsłuchiwać się w to.

Rozróżniaj dobre i lepsze, lepsze i najlepsze, najlepsze i niewyobrażalne.

Wyjdź poza samego siebie, prawdziwie, i wtedy słuchaj, i idź.

Nie w swoich pieleszach, ale w nieznanie, przekraczając granice, nie w miejscu, ale w drodze, za światłem.

Lęki, błędy powodują bezruch.

Idziesz po śladach innych, ich drogą, ale zostawiasz ślady, na swojej drodze.

Oświecony przez światło i oświecony przez słowa i Słowo, które jest jak światło.

Z pasją w sercu, miłością, bez której nie wyjdiesz z labiryntu.

Z wysoka i trzymając się tego.

Nie więzić słów i ducha w swojej małości, nie trzymać ich w zamknięciu. Nie bać się, bo najlepsze jest przed tobą.

Nie być głuchym na słowa, słyszeć i nie słyszeć.

To, w czym się chowamy i co wydaje się bezpieczne, jest mydlaną bańką. To, co kiedyś pominęliśmy, nagle staje się węzłowe.

Miej w sobie ogień, a nie tylko żar lub popioły.

Próbuj, powtarzaj, chwytaj rytm i iskry miłości.

On jest z tobą, jest w tobie, bądź dobrym miejscem, żeby był z tobą, żeby był w tobie.

Bądź otwarty, otwórz uszy, otwórz język, otwórz się! Otwarcie jest na początku i na końcu, żeby można było iść dalej. Nie sam, w radości i bliskości, w wielkiej otwartej przestrzeni.

W tym przyciąganiu, które staje się jednością. Coraz mniej niekompletny, coraz bardziej wpasowany, złączony coraz mocniej. Szukający i szukany, tym bardziej możliwe, do znalezienia.

Współdzielenie i współdziałanie. Współpraca.

W głos wchodzą, oprócz tych, które on wprowadza, inne głosy, jawnie i niejawnie, działają na powierzchni i w środku, w sposób odkryty i zakryty, stały i zmienny, z mocą i w słabości, ku dobremu i ku złemu.

Upodabnianie się do niego tak, żeby znaleźć się w nim i być w nim, ku temu wyteżam siły.

Kto jest tak blisko mnie? Każdego dnia, od tylu lat.

Słucham jego głosu i idę jego drogami, tymi, które mi wyznacza.

Jestem mu wierny, a jeżeli odchodzę, to wracam.

Słyszę jego głos i nie jestem niemy.

Zacząłem mówić, ku zdumieniu innych. Z kim miałbym być, jeżeli nie z nim? Po co rozpraszać, skoro można zbierać, razem. To dar, być jego dziełem. Kochać światło i żyć w nim, nie w ciemności.

Tak jak mówi, mówić. Sam i nie sam, z nim i bez niego. Dawać owoce, które są jak pokarm. Mieć życie w sobie, od niego.

Sam z siebie nic. Mówię to, co słyszę. Przepuszczam przez siebie i zmieniam jak najmniej. Współpracuję z nim, w łączności i w jedności.

Jego słowa są we mnie, dobrze to przepracowałem.

Omijam ich zasadzki i stoję przeciw nim. Sam mój widok jest dla nich przykry. Widzę ich drogi i fałsz, dlatego jestem przeciwnikiem. Atakują i chcą zniszczyć mnie i to, co robię. Wściekli i zaślepieni. Nie pojmują, w matni i w sidłach.

Niszczą i wymazują, sami są zniszczeni i wymazywani.

Jakie są ich serca i sumienia? Naśladują, w jedności, ale nie tego, kogo powinni, nie z tym, z którym trzeba.

Co jest w głębi ich serc i dusz? Co jest w nich wypisane?

Nie słyszą dźwięków rogu, fletu, lutni, harfy, psalterium, dud i innych instrumentów? Nie dobiegają do nich?

Nigdy nie zajrzeli w otchłań? Nie było to im dane choć jeden raz?

Od kogo wyszli? Przecież nie sami od siebie. Kto jest ich pośrednikiem? Czy są już opętani?

Każdego rana nasłuchuję, wsłuchuję się w ciszę, w nic, żeby usłyszeć głos i gdy go słyszę, otwieram się i nie cofam.

Odrzucam wszystko, żeby mógł być we mnie.

Mówi: Na pewno nie ja. I tak się nie staje. Nawet nie znam miary tej sprawiedliwości, według której jestem sądzony.

Raz po raz powtarza słowa i zdania, ale nie zawsze je rozumie.

Raz jest na zewnątrz, raz wewnątrz, raz tu, raz tam.

Wystawiony na próbę. Wielkość tej próby jest zależna od moich możliwości. Proszę o pomoc i osłonę i otrzymuję je. Idę z nim, pytam go, a on nie odpowiada i idziemy dalej.

Ponieważ nie odstępujesz ode mnie i jesteś mi wierny, dam ci wiele słów i tchnę w nie mojego ducha.

Przez środek fosy, po ziemi, mając mur po prawej i lewej stronie.

Nie runąłem w głębinę, która rozwarła się pode mną. Zostałem uratowany. I wybawiony.

Fundamenty i osadzone na nich kamienie i mury.

Żałobny lament i weselna radość. Wieczór, noc i ranek.

Przyszedeł i jest blisko, chociaż jego myśli nie są moimi myślami, a jego drogi – moimi.

Jego słowa, we mnie, nie wracają bezowocne. Trzymaj się go, chodź w blasku jego światła! Staraj się być godnym tej łaski i tej służby. Nowe serce, nowy duch i związane z tym działanie.

Pragnienie, mocne pragnienie i rozpyływanie się. Dawanie, nie odbieranie, odnawianie i przywracanie, wzmacnianie i czynienie, skruszanie i pełnia spełnienia.

Zrodzeni do życia i jednocześnie do śmierci, złączeni w jednym i drugim, w jedno, z jednego do drugiego, w nierozzerwalnym splocie.

Nie dla siebie, dla niego, w tej wymianie, w ruchu.

Kończąc i zaczynając, zaczynając i kończąc, i z każdą chwilą tak się wzmacniając, umacniając się, aż do wyzucia się, do jedności.

Odrzucony. Zjawia się i buduje. Na mocnym fundamencie, najmocniejszym.

Bez lęku, podążający, idący za nim.

Rozkazuje i powstają, w duchu. Nie w moich słowach i myślach, ale w łączności, w jedności. Z szeroko otwartym sercem i słabnącą duszą, wśród szyderców i odstępców napełnionych wzdumą i nienawiścią.

Powalony w proch i przywrócony do życia. W błyskach zrozumień, rozważający.

Niespokojny, upadły i podźwigany, do dalszych działań.

Widzący cuda i trwający w ich blasku.

Wołający i wysłuchiwany. Zdany na kłamstwa i podstępne języki, jak w kokonie.

Krzepiony i każdego dnia uczony. Widzący swoje błędy i wyzuwający się z nich, nie swoimi siłami.

Unoszony w górę i widzący. Ulice i zaułki Starego Miasta. Jego świątynie, wieże, mury i fragmenty warowni. I znowu – w nich. Prowadzony. Nie w ich ułudach i kłamstwach, ale przeciw nim. Jawnie, otwarcie i wyraźnie. W wewnętrznej jasności. Zjednoczony na nowo. To, co w górze, i to, co na dole. Tak jak jest, naprawdę.

Odbudowujący dom. I obracający się w proch, gdy opuszcza go duch.

Wspierany. Na bezdrożach i na prostej drodze, nie w ciemnościach.

Strzeżony, w każdej chwili, gdy wychodzi i gdy wraca, chroniony od zła, wyćwiczony w rozwadze.

Pocieszany, w więzi jedności.

Przeniknięty i prześwietlony, z każdym swoim słowem, które od niego wychodzi. Zawsze i wszędzie, w jego obecności. W ciemności, która jest jak światło, i w nocy, która jest jak dzień jasny. Stworzony i ukształtowany, przecież nie przez siebie, we wnętrzu.

Widoczny i opisany, według, w tym bezliku słów, myśli, olśnień, doświadczony.

Nie jak tamci, którzy czczą nie wiadomo co i chlubią się nie wiadomo czym. Kogo czczą? Kim się chlubią? Komu oddają hołd?

A przecież mają to za darmo, z łaski, całą tą wielką moc. W słowie i mądrości.

W tajemniczym głosie w sumieniu, w głosach w sercu, w głowie i w duchu.

W straconych dniach, w słabości i niemocy. Wśród murów, gruzów i kamieni. Nie opuszczony. Odbudowywany i odbudowujący. Odmieniany i przychodzący. Wchodzący jak w przepaść. I idący dalej. Upadający i podnoszący się, nie swoimi siłami.

Zbudowany przez ducha i mówiący jego głosem. Wierny mu i dziękujący za obecność. Pochodzący od niego, będący jego działem. Na jego wzór. W mieście gęsto i ściśle zabudowanym. Na brzegu rzeki z bystrym, radosnym nurtem. I z wzniosłą katedrą wśród innych wież. Z otwartymi na przestrzał bramami. Na światło.

Widziany w każdej godzinie. Odnawiany i ratowany, chroniony i umacniany. Na skraju otchłani i dostający nowe życie.

Na krążanku nad sadzawką. Nad strumieniem, nad martwą rzeką i nad rzeką. W głuchej ciszy i wśród śpiewu ptaków. Nasycony i nienasycony. Przedziwnie stworzony, nie raz sam siebie zaskakujący. Strzegący słowa.

Uwolniony z pułapki i znowu w nią wpadający. Postępujący według i znowu nie tak jak trzeba.

Pod topolami, milczący. I nagle olśnienie i zaczynający mówić, ze świadomością co i jak. Atakowany przez złoczyńców i strzeżony od nich. Widząc, jak sami nie są w stanie niczego zrobić i jak szamoczą się w swoich siódlach, strąceni i przetrąceni, na zniszczenie.

Codziennie słysząc głos, który prowadzi. W świetle, które przenika do środka i jest jak droga. Rozprasza mrok wewnątrz i na zewnątrz, zapuszcza korzenie i wydaje owoce.

Odnowiony i nowy, kierowany i skierowany, winny i czysty, w radości, przywrócony i wzmocniony, pomagający innym.

Skruszony i odbudowany.

Rozznający co i jak, widzący i słyszący. Czujący, chodzący i idący do celu.

Oślaniany pomocą i tarczą. W jedności. Z dwóch stworzony w jednego. W jednym ciele, w sobie, już bez tego co złe.

Poznający i poznawany. Kształtowany i w kształcie. Czyniony i uczyniony. Na krętych drogach i prostych.

Uczestnik cierpień i pocieszeń. Ogarnięty przez smutki i radości. Odchodzący i wracający. Gubiący i odnajdujący. W tym kołowym. W oboim żywiole. Raz na górze, raz na dole.

W swoim dziedzictwie i przeznaczeniu. Szczodrze zabezpieczony. Napominany nawet nocą. I znowu, w radości.

Idąc brzegiem rzeki lub czując ją z oddalenia.

Zbudzony i budzący światło.

Nastrojony, choć rozbijają każdego dnia, uderzają z siłą i nienawiścią, że jestem tym, kim jestem, odpłacają.

Ale chronię się i znajduję schronienie, ono zawsze jest otwarte.

Tak umacniam powołanie i wybór. W tym, który do mnie się upodobnia, identyfikuje się ze mną, jako pośrednik.

Oświeca i jest darem jak światło. A tamci kopią doły, dobijają i skazują na zatrąę.

Śmieszne, daremne ludziki, w swoich żałosnych powodzeniach, majakach i urojeniach.

On we mnie pomagający wiernie upodobnić się do niego. Innej drogi nie ma.

Głód słuchania, spotykania się z jego słowem, przemieniania siebie i swojego życia, mówienie i myślenie nim, przeobrażanie.

W głosie i ciszy, która też jest jak głos. W czasie i przestrzeni. W obecności.

Z odnośnikami i bez odnośników, w natchnieniu i bez natchnienia, po swojemu i nie po swojemu, w oczekiwaniu i w akcji.

Nie po to, żeby coś osiągnąć, ale żeby się spotkać. W wolności, powtarzaniu i wpisywaniu się. Wolno, raz po raz zatrzymując się, przerywając, wnikając, wsłuchując się i ruszając dalej.

Na głos, szeptem i w milczeniu.

Wsiewając w siebie, żeby obumarło.

I wtedy śpiew, z dzikiej gałązki coś szlachetnego. Rozmyślanie. Wyjście poza siebie i zakorzenianie się.

Działanie na zewnątrz i wewnątrz. Przyswojenie, rozdrabnianie i rozszerzanie. Z iskry – ogień. Odczuwanie, mówienie, milczenie.

Jakby złamanie siebie, otworzenie się i scalenie nie swoją mocą, która ogarnia.

Nie na końcu, ale szybciej, w środku, przez złamanie, pęknięcie – wnika i nasycą, łączy, sprawia jedno.

I w tej słabości – siła, w końcu – początek, w niewypowiedzeniu – wypowiedzenie, z zewnętrznego – wewnętrzne.

Obecny w tym, co jest łaską, zjednoczeniem. I w tej jedności mówiący: Idź za mną!

W sieci paradoksów, w najjaśniejszym świetle, jakie może być.

Zysk jest z jednego i drugiego. Z radości i smutku, słodkiego i gorzkiego, obecności i nieobecności. Z lotu i pełzania po ziemi. Z upadku i podnoszenia się.

Czytasz i jesteś na zewnątrz, zaczynasz o tym myśleć i w ten sposób wprowadzasz w siebie, do swojego wnętrza i jeżeli jest intensywne pragnienie w tym być głębiej, rozpoznać wnikliwiej i jesteś w tym i zaczyna to ciebie wypełniać, przełamywać i wypełniać, dopełniać i stanowić o tobie, i stanowić ciebie, stwarzać coś, co było nie do pojęcia i nie do pomyślenia, krok po kroku, stopień po stopniu, w przenikaniu i zastępowaniu, przeobrażaniu się i przemianie.

Stajesz się w bieli coraz bardziej intensywną bielą, w świetle coraz jaśniejszym światłem, lśnieniem, bielą i światłem stopionymi w jedno, w jedną istność, która jest nie do przemożenia.

Samo czytanie jest jak oglądanie zakorkowanej butelki wina przez szkło. Trzeba ją otworzyć, wypić, żeby poczuć jego aromaty i smaki i żeby rozpląnęło się we wnętrzu, przeniknęło w nie i na swój sposób oddziało.

Jest jak dar, łaska, przejęte przez ciebie, kontynuowane, wtopione w twoje działanie, w twój tok, w twoje życie.

Pragnienie w głowie i w sercu. I spełnienie – wewnątrz i wypełnianie – na zewnątrz. Bez tego jest jałowe, błędne, na próżno. Bezowocne: nie ma ziarna, nie ma jego obumarcia, nie ma winogron, nie ma tłoczni i wina, nie ma więc jego działania.

Ale to trzeba przejść, krok po kroku, stopień po stopniu, przełamać się i unieść ponad samego siebie.

Jeżeli jednak są złe wybory, to wpada się w otchłań. Zło ciągnie mocno w swoją stronę. Trzeba mieć rozeznanie i silną wolną wolę.

To wcale nie jest łatwe i proste. Nie raz będzie się na tej drodze upadać, ale gdy jest światło, nigdy nie ma się dosyć.

Chce wielu, ale wykonują nieliczni, a jeszcze mniej wykonuje najlepiej.

Odciągają tak zwane przyjemności, słabość, próżność, łatwość, pozory.

A przecież wszystko jest dane od początku. Jednak diabeł działa, bardzo skutecznie i sprytnie, hałaśliwie i intensywnie. Rozbija i wrzuca do gnoju.

Wysiłek musi być ciągły, nawet gdyby miały to być tylko krople, w największej suszy i spiekocie.

Żyjesz w ciemności i nurtują cię myśli, które w nią wpychają. Wyjdź na zewnątrz i spójrz na siebie. I wróć do poprzedniej pracy, tego, co robiłeś. Będziesz uratowany.

Więcej milcz niż mów. Więcej czytaj niż pisz. Bądź wypełniony dobrem i dbaj o to, żeby dotrzeć z nim do brzegu.

Trzeba wiedzieć, co chce się zrobić, kiedy zaczyna się pracę.

I uważać, żeby nie wmieszało się w to zło, bo zakazi do szczytu.

We wszystkim, co się ćwiczy, zdobywa się sprawność i łatwość, tylko w jednym nie. Rozróżniaj nawet pobudki, w nich mogą być załączki zła.

Bez pokus nie byłoby zwycięstwa.

Zaprzyj się samego siebie i stań się nim. Zobacz, ile śmieci jest w twoich myślach, ile nieuwagi w twojej uwadze i uporządkuj to. W pustych myślach może tkwić zło.

Nie kształtuj się w formach, duch tchnie, jak i kędy chce.

Nie materializuj duchowego, ale uduchowiaj materialne, w miarę możliwości.

Nie snuj siebie, snuj siebie z nim, snuj jego.

Nie o zgodność z twoją myślą chodzi, ale o zgodność z jego myślą.

Złe demony niekiedy dzielą się na dwie grupy: dobre i złe i mają jako dobre, przeciągając w efekcie w zło.

LESZEK SZARUGA

Świat, w którym żyłem (14)

30.

Jednym z głównych haseł, którymi operują konserwatyści, jest konieczność obrony tożsamości, która pojmowana jest tutaj jako zasadniczo trwałe i niezmienny wzór osobowości, odporny na wpływy zewnętrzne i tym samym gwarantujący ocalenie wyznawanego systemu wartości.

Oto w roku 1854 Wincenty Pol ukończył i opublikował rapsod rycerski *Mohort* poświęcony poległemu w wojnie polsko-rosyjskiej roku 1792 żołnierzowi Mohortowi osłaniającemu odwrót brygady Józefa Wielhorskiego, późniejszego oficera armii austriackiej. Dwa lata później Karol Baliński w wierszu *Śpiewakowi Mohorta bratnie słowo* napisał, wskazując na krzyż: „Bo tylko pod tym przenajświętszym znakiem / Polska jest Polską i Polak Polakiem”. Z czasem słowa te, przeinaczone, przypisano – pewnie dla dodania im wagi – Mickiewiczowi w wersji do dziś powtarzanej: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem / Polska jest Polską a Polak Polakiem”. W zasadzie po dzień dzisiejszy ten dystych stanowi jeden z fundamentalnych tekstów polskiego konserwatyzmu, zaś spory toczony po roku 1989 o wpisanie „wartości chrześcijańskich” nie tylko do preambuły polskiej konstytucji, ale i domaganie się podobnego zapisu w projekcie konstytucji Unii Europejskiej, zdają się być potwierdzeniem tego stanowiska. Gdy jednak odwołać się do Mickiewicza, wówczas rzecz się trochę komplikuje. W III części *Dziadów* pada bowiem kwestia następująca: „Chrześcijaninem jestem i Polakiem, / Witam cię krzyża i Pogoni znakiem”. Gdy jednak sięgnąć do rękopisu, znajdujemy tam inną nieco, zarzuconą wersję: „Chrześcijaninem jestem i Polakiem, / Witam cię Orła i Booza znakiem”.

Jeśli porównać teksty, wówczas trudno nie dostrzec, że dystych Balińskiego późniejszy jest od dwuwiersza Mickiewicza, choć być może do niego jednak nawiązuje, z pewnością jednak trudno w nim, jak u autora *Dziadów*, odnaleźć choćby dalekie echa „znaku Booza”, czyli znaku czeladnika masonskiego.

Poeta i eseista Jarosław Marek Rymkiewicz w rozmowie z Adamem Poprawą zapisaną w książce *Mickiewicz, czyli wszystko* właśnie w narracji autora *Pana Tadeusza* znajdował zapis wzoru polskiej tożsamości narodowej. Spytany w tym kontekście o Kochanowskiego stwierdzał, że Kochanowski to „inna Polska”, i w tym stwierdzeniu jest sporo racji: Polska Kochanowskiego to kraj wolny, suwerenny, posiadający polityczną podmiotowość i, choć na swój sposób dla Zachodu egzotyczny, należący do wspólnoty łacińskiej dość wyraziście różnej od bizantyjskiego Wschodu.

Pisząc w roku 1947 szkic *Literatura europejska*, Ernst Curtius podkreślał, co warto w tym miejscu powtórzyć: „Możemy ujrzyć literaturę europejską jako całość tylko wtedy, gdy zdobędziemy sobie prawo obywatelstwa we wszystkich epokach, od Homera po Goethego. [...] Obywatelstwo w krainie literatury europejskiej uzyskuje się za cenę przebywania przez wiele lat w każdej z jej prowincji, i do tego wielokrotnie je zmieniając. Jest się Europejczykiem, stawszy się *civis Romanus*”. Z pewnością Kochanowski do tej wspólnoty należał. Czy jednak Mickiewicz także? Inaczej zaś stawiając problem: czy autor *Trenów* oraz autor *Ballad i romansów* są w równej mierze obywatelami Rzymu i mieszczą się w tożsamościowym stereotypie Polaka-katolika?

Nie jest to kwestia zupełnie nowa – sprawa „europejskości” Polski, czyli jej przynależności do świata Zachodu i jednoczesnego wobec tego Zachodu zdystansowania pojawia się na dobrą sprawę w okresie oświecenia, w Polsce w zasadzie nieprzyswojonego, traktowanego nawet w historii literatury po macoszemu i odbieranego często jako okres załamania czy „zepsucia” ładu zapewniającego życie zgodne z wcześniej przyjętym systemem wartości. Jest rzeczą charakterystyczną, że polska literatura oświeceniowa w programach szkolnych pozostaje niemal na marginesie, na co zwrócił uwagę Grzegorz Zając w artykule *Oświeconych nie trzeba oświecać* opublikowanym w 2019 roku na łamach „Roczników Humanistycznych”: „Doszło do takiej sytuacji, że w podstawie programowej z języka polskiego [...] wśród tekstów, które mają być »poznane w całości«, niezależnie od tego czy mamy do czynienia z podstawowym, czy rozszerzonym zakresem nauczania, nie znajdziemy ani jednego utworu powstałego w interesującym nas tutaj okresie”. Przy tym wydawać się to może zjawiskiem o tyle paradoksalnym, że literaturę tą w dobie oświecenia tworzyli liczni autorzy będący zarazem duchownymi katolic-

kimi, co, wydawać by się mogło, winno stanowić ważny argument za tym, by ich pisarstwo w kraju odwołującym się nieustannie do „wartości chrześcijańskich”, upowszechniać – choćby tylko pierwszą powieść polską *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki* czy heroikomiczne eposy *Monachomachia* oraz *Antymonachomachia* biskupa Ignacego Krasickiego. A wreszcie – co wydaje się sprawą dość istotną – właśnie oświeceniowe idee legły u podstaw pierwszej europejskiej ustawy zasadniczej, jaką była polska Konstytucja 3 maja.

Niemniej właśnie oświecenie stało się dla konserwatystów źródłem zła i „zepsucia” Zachodu, a przeciwstawianie się wpływom owej „zgnilizny” – interesujące, że pojęcie „zgniłego Zachodu” forsowane przez propagandę komunistyczną jest w chwili obecnej upowszechniane przez polską pravicę, stanowiąc jeden z podstawowych argumentów za koniecznością renegocjacji traktatów unijnych – jest jednym z głównych motywów ich aktywności, zwłaszcza w sferach kultury, edukacji i obyczajowości. Dość dobitnie wyraził rzecz Rymkiewicz w wywiadzie dla pisma „Arcana”: „Wystarczy więc dwoisty wysiłek duchowy – tego, który wymyśla bohatera Polaków, a potem tego bohatera, który podejmie wezwanie skierowane do niego z przeszłości, żeby polskość nie dała się zniszczyć – wbrew wysiłkom potęg europejskich, które chciałyby, żeby Polski nie było. Dlaczego? To już one lepiej wiedzą, niż my. Może dlatego, że Polska jest gwoździem wbitym do trumny, w której zostanie pochowana ich gnijąca cywilizacja. Polacy, chcąc bronić swojej cywilizacji, muszą opowiedzieć się przeciwko cywilizacji europejskiej”.

Warto w tym kontekście przypomnieć słowa generała Franciszka Morawskiego z roku 1846, który w *Odpowiedzi na list szlachcica polskiego do Metternicha* pisał, przeciwstawiając drogę rozwojową Polski praktyce ustrojowej Rosji, że „Polska do wyższej wolności dążyła: Moskale tego właśnie mocarza nazywali Wielkim, który ich najbardziej ujarzmił. My czerpaliśmy wszystkie wyobrażenia Zachodu, oni z przeciwnej strony; naszą pierwotną dzikość złagodził chrystianizm i uzdolnił do przyjęcia cywilizacji; na ich dzikość, fałsz, srogość, absolutność rządu, podłość ludu i wszelkiego rodzaju zepsucie żadnego nie miał wpływu”. Dziś owo „zepsucie” obrońcy polskiej tożsamości przypisują wszakże owemu Zachodowi, sugerując jakby, że przyczyną tego jest odwrót od „chrystianizmu” i odwołują się jednocześnie do doświadczeń formacji określanej mianem sarmatyzmu, za sprawą której ów odwrót stał się w Polsce niemożliwy, co pozwoliło w ich mniemaniu na oca-

lenie konstytuującego polskość systemu wartości. Jej znamienity przedstawiciel, Wespazjan Kochowski, w *Psalmidii polskiej*, występując przeciwko odstępcom od wiary katolickiej reprezentującym zachodnią reformację pisał:

„Mięsza pycha rozum, który bez Chrystusa zbawienia szuka; a błędne owce powszechną wzgardziwszy owczarnią, w parowach błędów marnie parszywieją.

Oświeć Panie rozum ich, aby tego uporu poprzestali; zawołaj przenikającym głosem: Szawle, czemu mię prześladujesz?

Czemu dla uporu ludzkiego giniecie, zgodną prawowiernego kościoła nauką, słodkim macierzyńskich piersi pokarmem, zapamiętali gardząc.

Za wymysłami tych hersztów idziecie, którzy złamawszy przysięgę Bogu, w tak niebezpieczną duszę waszą, sami zgubieni, zawodzą tonią.

Nie masz tam zakonu ani ofiary, według prawidła apostolskiego; a kto temi ścieżkami idzie, ten niechybnie zginie.

Obróćcie oko do prawego Jeruzalem błędna Samaria; do Jeruzalem, które w sobie ma dom boży, bezkrwawą ofiarę, i ofiarujących kapłanów, od głowy Chrystusa niepochybną idących sukcesją.

Spytaj się na koniec, skąd brał moc ten prorok na opowiadanie piątej ewangelii? Albo jako wykłęty z cerkwi bożej, mógł sobie przywłaszczyć charakter kaznodziejski?

A zatem, uważysz, które objawienie wiary od Boga jest, a porzuciwszy nowowiernictwo, pójdź za tą, którą starowieczność utwierdza.

Starowieczność bowiem i nieodmienność są próbą nieomylną prawdy tego kościoła, przeciwko któremu bramy piekielne nie przemogą”.

„Starowieczność”, a tym bardziej „nieodmienność” przeciwstawione tu „nowowiernictwu” oznaczają utwierdzenie tożsamości, wierność tradycji i tym samym gwarancję trwania w historii.

*

Religia katolicka, nie zaś narodowość, określa w tym ujęciu rdzeń tożsamości, co w czasie ugruntowania w Europie po pokoju westfalskim zasady *cuius regio, eius religio* oznaczało odrzucenie możliwości przemian, jakie stwarzała reformacja. Zapewne to właśnie stanowisko było powodem wypędzenia z kraju braci polskich, formacji z punktu widzenia katolicyzmu heretyckiej, w której ośrodkach wypracowany został rozległy program reform państwa i którego najpełniejszym wyrazem jest dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego *De Republica emendanda*,

o którym pisząc, Urszula Augustyniak w szkicu *Pro Respublica emendanda* podkreśla: „*Novum* o fundamentalnym znaczeniu dla funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości stanowi postulat Modrzewskiego wprowadzenia jednolitego prawa w całej Rzeczpospolitej, skodyfikowanego przez fachowców w oparciu o wzory prawa rzymskiego [...]. Dotyczyło to nie tyle konkretnych zapisów, ile zasad. Podstawową zasadą miała być powszechność obowiązywania prawa wobec wszystkich obywateli, bez względu na stan”. Warto też podkreślić, że w tej koncepcji wobec prawa równi są w tej samej mierze monarcha, szlachcic co chłop. Koncepcja ta wzbudziła wówczas ostre sprzeciwy, jak choćby wpływowego francuskiego prawnika i pogromcy demonów oraz czarownic Jeana Bodina uznającego równość wobec prawa za niedorzeczność, choć mąż ten skądinąd wysoko sobie dzieło Modrzewskiego cenił.

Prace polskich arian, szczególnie po ich banicji i utworzeniu silnie oddziałującego ośrodka w Niderlandach odegrały dość istotną rolę w kształtowaniu nowożytnych postaw w zorientowanych reformatorsko środowiskach intelektualnych na Zachodzie. W szczególności dotyczy to postulatu tolerancji religijnej określonego przez zwalczających go po równi katolików i protestantów pogardliwym mianem „dogmatu socyniańskiego”. Jego propagatorami byli bez wątpienia Modrzewski oraz Samuel Przypkowski, którego pisma zdają się mieć wpływ na powstanie *Listu o tolerancji* Johna Locke’a. Omawiając w szkicu *Racjonalizm w polskiej myśli ariańskiej i jego oddziaływanie na Zachodzie* rolę, jaką odegrali bracia polscy w ówczesnej Europie, w szczególności zaś w Anglii, gdzie ich pisma czytane były zarówno przez Johna Milтона, jak i Izaaka Newtona, pisał Zbigniew Ogonowski: „Inną ważną osobistością brytyjską, na której wpływy polskiego arianizmu zaznaczyły się dość wyraźnie, był John Locke, utrzymujący nawet osobiste kontakty z wygnańcami z Polski. Locke’a nazywano »Socynem swego wieku«. Z pewnością niesłusznie, nigdy bowiem socynianinem nie był. Jednakże jego stanowisko religijne, poglądy na tolerancję, sposób argumentowania w jej obronie, wreszcie niektóre argumenty, którymi posługuje się dla uzasadnienia swego sensualistycznego stanowiska, świadczą o dobrej znajomości literatury socyniańskiej. *Nota bene* – w spuściźnie po Locke’u odnaleziono bibliotekę zaopatrzoną bogato w druki ariańskie. Prócz kompletu *Bibliotheca Fratrum Polonorum* Locke posiadał pojedyncze traktaty Przypkowskiego, Volkeliusa, Szlichtynga, Wiszowatego i in-

nych ariańskich myślicieli. Co więcej odkryto nawet konspekty dokonywane z dzieł socyniańskich własną ręką filozofa”.

Nie piszę o tym wszystkim przypadkowo. Przez ostatnie lata szkolnej edukacji uczęszczałem do warszawskiego liceum imienia Andrzeja Frycza Modrzewskiego i dość silnie wryła mi się wówczas w pamięć sentencja tego patrona stanowiąca, że „człowiek nie urodził się sobie”. Wówczas też, po raz pierwszy zetknąwszy się z nieznanym mi dotąd epizodem ojczywej historii, próbowałem się czegoś o polskich arianach dowiedzieć, lecz nie dość intensywnie, by nazwać to studiowaniem przedmiotu. Niemniej wciąż temat ów przy różnych okazjach powracał, zaś w momencie, w którym już wiedziałem, że pisanie będzie tą drogą, którą pójdę – i przy jednoczesnym zapale do zajmowania się sprawami publicznymi, przede wszystkim politycznymi – pojawiła się myśl o tym, że jednym z zadań, jakie przed sobą powinienem postawić, jest napisanie powieści, w której los braci polskich stanowiłby motyw przewodni. Nie miałem jednak, niestety, dość czasu i pilności – tej ostatniej zwłaszcza – by przedsięwziąć niezbędne dla tego projektu badania wymagające skrycia się przed biegiem wydarzeń w bibliotekach i archiwach, by zrealizować projekt temu światu przydatny, a że rzeczywiście mógłby on przynajmniej niektórym spośród czytelników przynieść jakieś korzyści, w to nie wątpię. Nadal zresztą uważam, że ta karta naszej historii – przecząca zresztą dumnie powtarzanej tezie o nieskazitelnej polskiej tolerancji – powinna zostać na nowo odczytana i treści z niej wydobyte upowszechnione. Sądzę albowiem, że bez tej wiedzy o sobie samych nie do końca możemy sensownie się wypowiadać o systemie wartości, do którego się odwołujemy, a tym samym określić swą własną tożsamość. Jedno jest dla mnie jasne: arianie polscy dobrze przysłużyli się rozwojowi Zachodu – by wspomnieć tylko *List o tolerancji* Locke’a – sami Polacy wszakże z tego bogactwa skorzystali, jeśli w ogóle cokolwiek, to niewiele. Dotyczy to zwłaszcza kwestii „wartości chrześcijańskich”, co podkreślone zostało już w pierwszych zdaniach otwierających *List* Locke’a:

„Skoro mię pytasz, męzu przezacny, jakie jest moje zdanie o wzajemnej między chrześcijanami tolerancji, przeto odpowiem ci krótko, że uważam ją za bardzo istotny problem prawdziwego kościoła. Z czegokolwiek bowiem zwykli się chlubić – jedni ze starodawności miejsc i tytułów, drudzy z odnowy nauk i obyczajów a wszyscy z prawowiernej religii, jako że każdy we własnym mniemaniu jest

prawowierny – wszystkie te i podobne rzeczy mogą być znamionami raczej ludzi walczących o władzę i panowanie, aniżeli Chrystusowego kościoła; toteż kto by nawet posiadał je razem, a brak by mu było miłości, łagodności i życzliwości dla wszystkich w ogóle ludzi, nie wyłączając nie uznających wiary chrześcijańskiej, ten nie jest jeszcze chrześcijaninem”.

Ów opublikowany w roku 1689 tekst można uznać za wstęp podejmowanych przez Milтона i Locke’a prób ugruntowania roli prawa naturalnego rozwiniętej niemal sto lat później w amerykańskiej Deklaracji niepodległości z roku 1776 oraz francuskiej Deklaracji praw człowieka i obywatela – tym bardziej warto podkreślić i wyeksponować rolę, jaką w tych dążeniach odegrali Modrzewski i pozostali polscy arianie. Narratorem tej historii mogłem być uczynić w mej niezrealizowanej powieści postać poruszającą się w czasie, przenikającą z epoki w epokę i relacjonującą toczące się wokół tych kwestii spory i zdarzenia aż po dziś dzień, łącznie z kłopotami, jakie z wcielaniem tych idei mają dziś kraje, które przez niemal dwieście ostatnich lat wyłączone były z historii i w których politycy obowiązujące reguły i zasady prawa krępujące ich poczynania uznają za powód „prawnego impossibilizmu” władz wykonawczych. Przy czym jednym z interesujących epizodów tej opowieści chciałbym uczynić opowieść o autorce dobitnego stwierdzenia wypowiedzianego w dobie rewolucji francuskiej: „Skoro kobieta może zgodnie z prawem zawisnąć na szubienicy, winna również mieć prawo stanąć na mównicy”.

Dziś, rzecz jasna, gdy kara śmierci w naszym kręgu cywilizacyjnym należy do rzadkości, należałoby to zdanie jakoś przeformułować, nie ulega wszelako wątpliwości, że treść jego pozostaje w pełni aktualna, zaś doświadczenia kobiet domagających się prawa głosu nie tylko wyborczego – w Szwajcarii przyznanego dopiero w roku 1971, a w kantonie Appenzell Innerrhoden dopiero w 1990 – lecz także prawa wyboru w innych dziedzinach życia wciąż zdają się dowodnie potwierdzać, iż powody, dla których wypowiedziane zostały cytowane słowa, pozostają w mocy: równouprawnienie płci, mimo poczynionych w tej dziedzinie udoskonaleń, ciągle jest niespełnionym postulatem, a nie rzeczywistością nawet w krajach „wysoko rozwiniętej demokracji”.

Wciąż też pozostaje godna uwagi i namysłu refleksja meksykańskiego noblisty Octavio Paza, który, przywołując doświadczenia buntu młodzieży w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, pisał: „Ta rewolta kulturalna lat sześćdziesiątych,

stanowiąca namiętną negację wartości panujących na Zachodzie, była dzieckiem krytyki, ale nie była ruchem krytycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Chęć przez to powiedzieć, że w protestach, deklaracjach i manifestach buntowników nie pojawiły się idee i koncepcje, których nie znaleźlibyśmy już u filozofów i poetów ostatnich pokoleń. Nowatorstwo tego buntu nie było typu intelektualnego, lecz moralnego; młodzi nie odkryli nowych idei: wyartykułowali z pasją te, które odziedziczyli. W latach siedemdziesiątych bunt wygasł i krytyka zanikła. Wyjątek stanowi feminizm. Ten ruch rozpoczął się jednak dużo wcześniej i będzie trwał jeszcze przez wiele dziesiątków lat. Ten proces czeka żywot znacznie dłuższy, chociaż jego impet w ostatnich latach nieco osłabł, mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, którego przeznaczeniem jest trwać i zmieniać historię”.

Intuicja Paza zdaje się nadal zachowywać swą trafność, zaś rozwój feminizmu – bardzo wielokierunkowy, dynamiczny, często wewnątrznie nawet ostro działający – widać także w ponawianiu czytania przeszłości, jak choćby w świetnej pracy brytyjskiej badaczki Juli M.H. Smith analizującej historię kulturową Europy lat 500–1000. Pogłębione badania pomagają wydobyć z mroku to, co ukryte zostało pod dominującymi narracjami – czasem pomaga w tym posługiwanie się niekonwencjonalną metodą, jaką daje zmiana perspektywy, czasami użycie nowych narzędzi badawczych: bez „wynałazku” psychoanalizy nie można by było czytać na nowo dawnej literatury tak, jak to możliwe jest dzisiaj, zaś bez feminizmu historia pozostawałaby zapewne do dziś wyłączną domeną patriarchalnych opowieści. Tak przecież właśnie wciąż czytane są dzieje oświecenia i rewolucji francuskiej – z pola widzenia usunięto uznane za nieistotne „epizody”, taki choćby jak ogłoszenie w roku 1791, niejako w odpowiedzi na uznaną za przełomową Deklarację praw człowieka i obywatela, mniej znanej *Déclaration des droits de la femme et de la citoyenne* pióra Olimpji de Gouges, pisarki może nie wybitnej, lecz w tamtym czasie nawet dość popularnej – także za sprawą prowadzenia przez nią w Paryżu salonu literackiego – autorki utworów scenicznych czy ogłoszonej w 1788 roku powieści *Księżę filozoficzny* stanowiącej manifest przeciwko niewolnictwu i rasizmowi.

Cóż – z dzisiejszego punktu widzenia trudno ogłoszenie Deklaracji praw kobiety i obywatelki traktować nadal jako wydarzenie epizodyczne. Z pewnością w tamtym czasie i wiele dziesięcioleci później usunięte zostało w cień, niejako „przykryte” przez spadkobierców Robespierre’a, o którym ośmieliła się powie-

dzieć: „Robespierre zawsze wydawał mi się zarozumiały, pozbawiony geniuszu i serca. Zawsze uważałam go za gotowego poświęcić cały naród, byleby tylko zostać dyktatorem”. Nic dziwnego, że za taką publicystykę, na owe czasy, zwłaszcza spod pióra kobiecego, uznawaną z pewnością za zuchwałą, nie powinna była w swoim czasie oczekiwać nagrody, a już najmniej udostępnienia jej mównicy. Co prawda kara, która ją spotkała, nie zaprowadziła jej na szubienicę, ale 7 listopada 1793 została zgilotynowana.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (74)

Bez tytułu i daty (LXIII)

Obfitość, różnokształtność Miłosza – i surowość, powściągliwość Herberta.

W życiu towarzyskim Juliana Strykowskiemu Paweł Hertz zajmował ważne miejsce. Pisarze telefonowali do siebie, odwiedzali się, czytali swoje utwory, radzili się, wymieniali opinie o bieżących sprawach. Strykowski cenił Herta jako tłumacza i edytora, doceniał jego inteligencję i zmysł krytyczny, ale poglądów – nie podzielał. Być może Hertz, przekorny, prowokował Strykowskiego, co często skutkowało rzuceniem słuchawki. Kontakty dwu wybitnych pisarzy cechowało wysokie napięcie i coś, co nazwałbym iskrzeniem. Píše Strykowski w nieopublikowanym w formie książkowej dzienniku: „Z jednej strony judzi przeciw »Twórczości«, a z drugiej składa wizyty świąteczne w Stawisku. On potrafi wszystko pogodzić, jeśli ma jakiś cel na oku. Cel uświęca środki. On mnie fascynuje złem. Złem, którego nie ukrywa. Fascynuje mnie odwagą bycia złym. Jestem pod jego wpływem, choć zdaję sobie sprawę z przewrotności jego sądów, którym nie umiem przeciwstawić nic prócz złe utajonej wściekłości. Łapię się na tym, że często powtarzam jego paradoksalnie brzmiące zdania, wywołujące sprzeciw (o co mi zresztą idzie) i demaskujące mnie w oczach znajomych jako »zwolennika« P.H. Ale gdzie przebiega linia przekonania i przekory z mojej strony, coraz trudniej ustalić. A bardzo pragnę, żeby życie zadawało kłam tym poglądom i przepowiedniom tego potwora” (Julian Strykowski, *Dziennik 1971*, opracował Ireneusz Piekarski, „Twórczość” 2024, nr 4).

Mam pięć lub sześć lat. Za stodołą, żeby nikt mnie nie widział, bawię się w przechodzenie pod brzuchem krowy. Może to była Stara Czarna, matka dłużej i lepiej mi znanej Czarnej. Moja „zabawa” jest ryzykowna: zniecierpliwiona czy rozdrażniona krowa mogła mnie kopnąć lub ubóść. Ale nie zrobiła mi krzywdy. Przechodzę więc

pod jej brzuchem, schylam się i przesuwam na kolanach. Krowa cierpliwie stoi, nic złego się nie dzieje. Kiedy indziej, też za stodołą, dojdę do miseczki mleko dla kotów.

Latem 1985 roku odwiedziłem Teresę Ferenc i Zbigniewa Jankowskiego, na ten czas datuje się początek naszej serdecznej znajomości, której spoiwem była poezja. Teresa i Zbyszek mieszkali w domu na wysokim piętrze na ulicy Kolberga w Sopocie, z okna, a może z balkonu ich mieszkania widziałem Bałtyk. Blisko domu (zdaje mi się, że po drugiej stronie ulicy) zaczynał się las, spacerowałem w nim ze Zbyszkciem i bokserem, domownikiem rodziny poetów. Urodzony w 1931 roku, Zbyszek zmarł 6 lipca 2024, zostawił wiele ważnych, żarliwych tomów wierszy. Teresa zmarła dwa lata przed nim.

Od dwudziestu dwu lat mam sąsiada kasztanowca, gdy przechodzę pod jego konarami, milcząco go pozdrawiam. Wiosną nie mogę się doczekać, by zakwitł, jesienią wkładam do kieszeni kurtki kilka nowych kasztanów. To moje na cały rok talizmany. Ale tej wiosny kasztanowiec nie zakwitł, ciężko zachorował. Śmiertelnie zachorował. Tu i ówdzie na gałęziach tkwi jak wydający ostatnie tchnienie zielony płomyk liścia. Kasztanowiec już prawie usechł, zostanie wycięty, o czym mówi umieszczona na pniu informacja. Zastąpi go ktoś? Może go zastąpić?

Wychylałam się z okna na drugim piętrze na znajome podwórko we Wrzeszczu, a tu inaczej niż co roku. Nie ma bezdomnych z rowerem czy wózkiem załadowanym pełnymi torbami, nie ma ich psa, wesołości, rozmowy. I nie ma kawek, mew i gołębi penetrujących kontenery z odpadami i śmieciami. Cicho, spokojnie i – pusto. Nie podoba mi się ten stan rzeczy, ale przyjmuję go z pokorą jako fakt, na który nie mam wpływu. Na pożegnanie Wrzeszcza usłyszałam chrzęst gniecionych puszek, dwaj panowie wyjmowali je z pojemników na śmieci i zginiatali pod obcasem.

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (20)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Jak ukrzyżowany, leżała ta żaba,
Rozpłaszczona, na gorącym asfalcie
Wiejskiej drogi. Z otwartą gębą,

Wygięta ku niebu, podpieczona przez słońce,
Przypominała z oddali podeszwę –
Taki płaz z archaicznej epoki,
Który wpadł pod koła, podczas skoku.

Żadnego zmartwychwstania, poza larwami
Much, które się wyklują nazajutrz.

Przez jaki otwór ulatnia się sen?

Durs Grünbein, *Na prowincji 4 (Kampania)*

„Przyspieszenie rozwoju nauk ścisłych i technologii, a także ich matematyzacja, sprawiły, że zarówno zasięg, jak i prawdziwość języka naturalnego uległy ograniczeniu. Nie tylko, jak nauczał Galileusz, natura mówi matematyką, gdyż w stopniu, którego nie mógł przewidzieć, ta mowa matematyki stała się fantastycznie skomplikowana i wymagająca. Jej język jest już bowiem dostępny dzisiaj jedynie mandarynatowi praktyków. W konsekwencji, powszechne relacje języka do zjawisk, do naszego codziennego kontekstu, stały się praktycznie infantylne. Są zbiorem bezwładnych metafor (»wschód słońca«), przestarzałych fikcji tudzież poręcznych fałszerstw. Nasze stoły i nasze krzesła nie mają nic wspólnego z ich atomową, subatomową, złożoną, a także mobilną rzeczywistością. Nasza *wulgata* zamieszkuje prefabrykowane klisze, zaś nasz »czas« i nasza »przestrzeń« to archaiczne, już niemal alegoryczne banały,

oderwane od relatywistycznych algorytmów. Z perspektywy nauk teoretycznych i ścisłych, posługujemy się dziś w mowie czymś w rodzaju neandertalskiego bełkotu.

Ale i w obrębie kodów semantycznych samych nauk kryzys równie silnie się zaostrza. Specjalizacja, budowa i doskonalanie konkretnych instrumentów matematycznych, takich jak rachunek tensorowy, czy teoria miary, rozwijają się teraz z taką prędkością, że skuteczna komunikacja pomiędzy gałęziami badań naukowych i reprezentacja, a nawet pokrewieństwo, stają się coraz to bardziej skomplikowane i problematyczne. Każda sekcja fizyki jądrowej, modelowania kwantowego, biogenetyki, chemii molekularnej, generuje własne nazewnictwo i właściwe sobie konwencje algebraiczne. To, co czyste, oraz to, co stosowane, podlega coraz to większym podziałom. Rozgałęzienia rozrastają się tudzież oddalają od centralnego pnia, od owej uniwersalnej matematyki, o jakiej marzył Leibniz, i jaka była dostępna Newtonowi. Co fascynujące, istnieją również przesłanki, wskazujące na to, iż pewne przypuszczenia w fizyce, w fizyce kosmologii, zwłaszcza teorii strun, wykraczają poza jakiegokolwiek adekwatności, nie mówiąc już o weryfikowalnych sformułowaniach matematycznych, i funkcjonują na granicy niewyraźnego, podobne odległym galaktykom. To pewnik, że zwykłe słownictwo, wspólne gramatyki, przestały mówić o świecie w taki sposób, jak naukowiec lub inżynier ten świat pojmują i przy nim manipulują. Topologie, liczby nieskończone, nanosekundowe kalibracje – są, po prostu, nieprzetłumaczalne.

Jednak to nie tylko rewolucje naukowe oraz technologiczne zredukowały naszą *lingua franca* do prowincjonalności. Osunięcie się Europy i Rosji w barbarzyństwo w latach 1914–1945 jest w równym stopniu za ten stan rzeczy odpowiedzialne. To skala masakr w okopach, śmiertelność z powodu głodu i chorób zmieniły status śmierci, albowiem, jak ujął to Stalin – »śmierć milionów to statystyka«. Zmiana ta spłotła się w sposób organiczny ze zdolnościami samego języka do przyjmowania oraz racjonalnej interpretacji faktów. Tam, gdzie trzydzieści tysięcy ludzi zginęło w ciągu jednego dnia nad Sommą, gdzie niezliczone miliony zostały zabite albo zagłodzone na śmierć z powodów ideologicznych, ani wyobraźnia, ani zasoby odziedziczonej mowy, które są generatywnymi, porządkującymi instrumentami wyobraźni, nie mogły sobie poradzić. Stąd zwierzęce krzyki i nonsensowne wokalizy *dada* w 1915 roku. Ale i ten kolaps znacznie przewyższył kolejne obniżenie się

progu człowieczeństwa – dzięki powrotowi do bestialstwa podczas Shoah i w masowym piekle Gułagu. Dysponujemy wielkimi świadectwami ludzkiego zwyrodnienia, jakie złożyli Primo Levi, Robert Antelme czy Wałław Szałamow, kronikarz świata śmierci na Kołymie, ale, ogólnie rzecz ujmując, relacje dokumentalne, fikcja, poezja, za wyjątkiem Celana, ani analizy społeczno-historyczne, nie były w stanie przekazać istoty tego, co nieludzkie, a więc tego, co niewypowiadalne w sensie ścisłym (włoski filozof Agamben stwierdził, że każdy akt werbalizacji pamięci jest fałszem samym w sobie). Prawdy o torturach, masowej eksterminacji, sadystycznym upokorzeniu, metodycznym pozbawianiu ludzkiego umysłu i ciała jakiegokolwiek rozpoznawalnej tożsamości – te miliony kobiet, mężczyzn i dzieci zredukowanych do »chodzących trupów« – wymykają się zrozumiałej artykulacji, nie wspominając już o samej logice rozumienia. Nie ma tutaj żadnego »dlaczego«, przechwalają się rzeźnicy. Więc wyłącznie cisza może aspirować do utraconej godności znaczenia. Milczenie tych, którzy nie są w stanie mówić, tak zwanych mużulmanów w obozach koncentracyjnych.

Dehumanizacja języka, jego rozpad w ideologiczną histerię, fałsz i jazgot były najbardziej widoczne w nazistowskich Niemczech i zostały dogłębnie przeanalizowane. Podobnie jak rzeźnicza retoryka faszyzmu czy stalinizmu. Zjawisko to ma jednak znacznie bardziej ogólny charakter. Pozorny triumf przedsiębiorczego liberalizmu, utożsamianie ludzkiego postępu i doskonałości z materialną akumulacją, wirtualna wszechwładza środków masowego przekazu, przyniosły nam wulgaryzację, obłudę słów i składni, »amerykanizację« dyskursu (choć ten epitet może być zniesławiającym skrótem myślowym), z którego wiele języków może się już nie otrząsnąć. To, że stalinizm nazywał zniewolenie wolnością, jest rażącą, ale też nie bardziej poniżającą nieprzyzwoitością niż nazywanie amerykańskich testów bomb wodorowych operacją *Sunshine*. Skarbnica słów, z której Szekspir, Milton czy Joyce czerpali tysiące razy, według statystycznych badań rozmów telefonicznych czy wiadomości elektronicznych, zarejestrowanych i wysłanych przeciętnego dnia w Ameryce Północnej, została zredukowana do około sześćdziesięciu pięciu. Żadna reklama nie zaryzykuje klauzuli zależnej. Zdania podrzędne, te cudowne nośniki alternatywnych możliwości życiowych, które są funkcjami nadziei, znikają nawet z języka francuskiego, niegdyś ich dumnej ostoi.

Oczywiście, tworzone są nowe terminy. Również pewne sposoby i techniki, związane z rozrywką masową, takie jak *rock'n'roll* czy *rap*, mogą też być werbalnie kuszące. Ale detergentowe konsekwencje technokracji, która oszalała na punkcie konsumpcji, i to nawet w Chinach, mają zasięg planetarny. Codzienny dyskurs niezliczonej ilości mężczyzn i kobiet, ludzi młodych, ogłuszający bełkot mediów, to minimalistyczny żargon. To wszystko, co tutaj próbuję powiedzieć, zostało wyrażone w sposób lapidarny w apelu Celana o »język na północ od przyszłości«. Chociaż on sam, który doprowadził język do krawędzi niewypowiadalnego, jeśli chodzi o precyzję wypowiedzi, czuł, że może być już za późno. *Sprache, Logos*, rozpadła się w *prozę*, która z kolei zgniła w *Gerede*, bełkocie”.

George Steiner, *Poezja myśli od hellenizmu do Celana (nowe kierunki)*

Przytaczam tu *passus* z książki, którą Steiner zadedykował Dursowi Grünbeinowi – „poecie i kartezyjczykowi”, co w moim przekonaniu było (i jest) wielkim wyróżnieniem, choć wiersz tego niemieckiego poety, urodzonego w 1961 w Dreźnie, niewątpliwie w świecie literackim zmierzającego po największe nagrody, niczym nieposkromiony Franz Beckenbauer, *Kaiser*, w kierunku światła bramki przeciwnika, po gola, przypieczętowanego oczekiwany tryumf, nie znalazł we mnie czytelnika. Zapewne też, zapatrzonny w siebie, takiego czytelnika wcale nie szukał. Zresztą, z jakiego powodu miałby? Wiersz Grünbeina, tak to widzę, jest areną, na której intelekt pożera emocje – również, jeśli nie przede wszystkim, te najsłabsze. Ale to nie wszystko. Pojęcia nie mam, skąd się to bierze, ale nie mogę się pozbyć przykrego wrażenia podczas lektury, choć się staram, że te skądinąd oryginalne wiersze i poematy, pisane przez „kartezyjańskiego nurka” (*Der cartesische Taucher. Drei Meditationen*), zdradzają niepokojące podobieństwo do plastynatów, jakimi niedawno zasłynął inny artysta z Niemiec, Gunther von Hagens. Kto wie, może ten niepokój i to podobieństwo stanowią o ich wartości? Żadnej też nie widać po inkryminowanym poecie uwiarygodniającej go słabości. Wystarczy przejrzeć listę publikacji i zatrzymać się nad ich tytułami, mocno osadzonymi na gruncie tradycji, z jakiej wyrastają – greckiej i rzymskiej, wyrytymi jakby już zawczasu w granicie... Powiem tak: Durs Grünbein nie rozbiera ciała wiersza, ażeby w jego tkankach odnaleźć ślad po duszy, która zdążyła się ulotnić, przeciwnie, szuka dowodów – nie tyle jednak na jej nieistnienie, co na niemożliwość jej istnienia poza błędnym ro-

zumowaniem i zafałszowaną kabałą (ciała). I czyni to bez mrugnięcia okiem. I bez poczucia humoru. Jakby poza granicami niezłośliwej ironii... Jego wiersz nie pragnie się od świata niczego dowiedzieć, ani nauczyć. Chce wymusić na tym świecie (jedynym i pewnym, choć fragmentarycznym) potwierdzenie dla tego, co *już wie*, lub czego zdążył się dowiedzieć, kiedy siedział w skupieniu w czytelnicy (starodruków). Takie też odniosłem wrażenie, kiedy przysłuchiwałem się przed laty, jak prezentował siebie podczas spotkań autorskich. Pierwszy raz, kiedy czytał we Fryburgu (niemieckim), wraz z Adamem Zagajewskim, i drugi raz, w Krakowie, kiedy występował po Wiśławie Szymborskiej. Za każdym razem czytał długo. I to bardzo długo... i było tak, że im więcej wybrzmiewało w murach sali napisanych przez niego wierszy, tym mniej było w nich poezji; im więcej wypadało z nich obrazów, aluzji i skojarzeń, tym mniej były one plastyczne, lekkie i zrozumiałe, czego nie można było rzec o wierszach czytanych przez Szymborską i Zagajewskiego. Ale znowu – może jest to jakaś nasza (polska) słabość, że w języku (polskim) brak miejsca na patetyczne i manieryczne manifestacje, w tym wypadku: woli mocy? Może gra tu również jakąś rolę nasza nietolerancja dla poezji bez sentymentów, za to – z jawnymi pretensjami do wielkości, która jest możliwa? Jakkolwiek by nie było, tej mocy brakuje też poetom piszącym po niemiecku. I to poetom niewątpliwie przegranym, jeśli hipotetycznie doszłoby do pojedynku na słabości i uczucia z Grünbeinem – takim, jak Paul Celan, Hans Magnus Enzensberger, Reiner Kunze. Wydaje mi się, że ci ostatni woleliby pójść po radę do Mickiewicza niż przedstawić do oceny utwory tajnemu radcy, Johannowi Wolfgangowi Goethemu. Zatem, czy sprowadzałoby się to, co jest istotne, i to istotne nie tylko w poezji, do wyboru pomiędzy *Dziadami*, a *Nocą Walpurgii*? Oto jest pytanie...

ŚCIANY MOWY, we wnętrzu –
nawinięte na ciebie, samego,
wrzaskiem przebijasz się do ostatniej.

Płoną mgły.

Skwar zawiesza się w tobie.

Paul Celan, *Ściany mowy*

Jeśli będzie piekło, to bez dwóch zdań na pewno też na końcu języka: w formie części mowy. Jak przeczytała Wisława Szymborska przy Dursie Grünbeinie w Krakowie – „łowimy uchem szelest dartych testamentów”... Im więcej o tym myślę, tym mniej dedykacja Steinera wydaje mi się oczywista.

ANDRZEJ ZAWADA

Dziennik lektur (2)

styczeń–czerwiec 2022, fragmenty

23 lutego

Jurij Andruchowycz mówi dzisiaj „Gazecie Wyborczej”, że spodziewa się, jak większość Ukraińców, wojny bezwzględnej, nastawionej na wyniszczenie. Ten pierwszy laureat literackiej nagrody Angelus, którą otrzymał w 2006, kiedy jury przewodniczyła rosyjska dysydentka Natalia Gorbaniewska, jest gotów walczyć. Jako mężczyzna po sześćdziesiątce raczej nie założy munduru, lecz pójdzie do partyzantki. On także słyszał o listach „osób przeznaczonych do likwidacji” i nie zamierza czekać, aż po niego przyjdą.

„Możemy być postawieni przed najważniejszym wyborem – życie albo śmierć. Albo przed jeszcze bardziej dramatycznym – wyborem rodzaju śmierci!” (rozmawiał Michał Nogaś).

Pokolenie urodzone wkrótce po wojnie odziedziczyło wiedzę i po części traumę swoich rodziców i dziadków, którzy przeszli przez piekło wojny, więc potrafi rozpoznawać symptomy nieuchronnej katastrofy i odczuwać lęk. Im dalej na zachód, tym słabsza wyobraźnia i większa niewiedza – to naturalna prawidłowość. Dlatego skutecznością ostrzeżeń przypominamy Kasandrę. Tutaj, na styku Europy i Azji, poligonie wszystkich wojen, również próbujemy zachować wiarę i złudzenia, lecz pamięć dziedziczna jest w tych wysiłkach przeciw nam.

Możliwe, że taki gen dziedzicznej pamięci ma również amerykański sekretarz stanu Antony Blinken – powiedział wczoraj, że rosyjski atak na Ukrainę to „największe zagrożenie dla bezpieczeństwa w Europie od drugiej wojny światowej”.

Nie bardzo mogę w tej sytuacji skupić się na czytaniu *Długu metafizycznego*. W czasach pokoju lektura tej książki wzmacniałaby równowagę i jasność widzenia, teraz dobitnie utwierdza obawy.

24 lutego

Dziś rano o 5:45 rosyjskie rakiety i samoloty zbombardowały lotniska większych miast Ukrainy i zaatakowały bazy wojskowe. Jurij Andruchowycz wiedział, co nastąpi za chwilę i jaki będzie miało przebieg. Powtarza się metoda zastosowana pierwszego września 1939: o tej samej porze, przed świtem, Hitler rozpoczął dywanowe naloty na Wieluń i inne miejsca. Mieszkańcy zaprzęgli furmanki, spakowali rodziny i zapchali drogi, szukając ratunku w stolicy. Kijowianie dzisiaj zakorkowali miasto, kierując swoje auta na zachód. Piszę to wieczorem, jest 22:22. Zaszokowany świat cywilizowany wprowadza sankcje ekonomiczne i polityczne. Ukraina walczy. Wojska rosyjskie zdobyły nieczynną elektrownię w Czarnobylu. Nie wiemy, czy zalane betonem reaktory zostały zbombardowane. Trwają walki, władze w Kijowie ostrzegają przed kolejnymi ostrzałami i nalotami.

Polacy rzucili się kupować benzynę, pod stacjami długie kolejki. Kupują też butle z gazem. Eksperci straszą, że pojawi się kilka milionów uchodźców i nastąpi katastrofa humanitarna.

26 lutego

Trzeci dzień wojny na Ukrainie. Kijów otoczony przez Rosjan, Ukraińcy bronią się heroicznie, straty po obu stronach są na pewno duże. Ukraińska armia skutecznie spowalnia posuwanie się rosyjskich kolumn pancernych, które atakują jednocześnie ze wschodu, południa i północy, czyli z Białorusi, która *de facto* jest już rosyjska. Rakiety agresora trafiają w budynki mieszkalne, giną cywile. Putin jest szaleńcem – na co wszyscy przymykaliśmy oczy – zamierza całkowicie zniszczyć Ukrainę, nienawidzi demokracji i Zachodu. Mówi, że jest gotów użyć broni atomowej. Amerykanie zwiększają wojska na tak zwanej wschodniej flance NATO.

Na przejściu w Medyce po ukraińskiej stronie czekają tysiące uchodźców, do wczoraj przekroczyło ich sto pięćdziesiąt tysięcy, może nawet dwieście. Polskie organizacje charytatywne radzą sobie dobrze. Wrocław przyjął pierwsze pociągi ze Lwowa.

Od początku roku czytam kolejne analizy bliskiego końca świata czynione przez Ireneusza Kanię w *Długu metafizycznym* i jeszcze niedawno do głowy by mi nie przyszło, że za kilka dni nasz ogląd rzeczywistości przez jedną noc stanie się z teoretycznego przesyconą lękiem „obserwacją uczestniczącą”.

2 marca

Każdy dzień zaczynam od niecierpliwego przeglądania wiadomości w komórce, z głupią nadzieją, że w może nocy nastąpił jakiś przełom, „cud” za przeproszeniem, i walki na Ukrainie nagle ustały. Naiwna jest natura człowieka.

W tekście *Nie wzruszają mnie łzy rosyjskich żołnierzy...* Krzysztof Siwczyk analizuje podobne emocje, trzymając je na napiętej smyczy. Wnikliwie objaśnia psychikę dzisiejszej Ukrainy, pokazując, jak po „Majdanie” przebiegało jej społeczne i narodowe dojrzewanie. Przywołując wspomnienie spotkań z pisarzami – Andrijem Bondarem, Jurijem Andruchowyczem, Serhijem Żadanem – ilustruje charakter obecnego ukraińskiego ducha, jego wiarę i determinację. Szkic kończy myśl, jaka od 24 lutego przewierca również mój mózg: „Patrząc na miazgę wojennej maszyny przemocy i rzeź Ukrainy, śmiem twierdzić, że Zachód – choć zjednoczony – nie zrobił jeszcze nic. Broń – obym się mylił – to tym razem za mało” („Gazeta Wyborcza”, 1.03.2022).

Dla rzetelości tych notatek muszę też wspomnieć, że nie wszyscy rozumieją Ukrainę i współczują jej obywatelom. Jedna z sąsiadek zirytowała nas, mówiąc, że Ukraińcy nie powinni uciekać do Polski i oczekiwać pomocy, bo przecież nic strasznego się tam nie dzieje, a nas tylko obciążą.

Kiedy człowiek zaczyna odczuwać zagrożenie, jeszcze nie realne, ale już umiejętnie zapowiadane, łatwo kieruje swą niechęć ku „obcym”. Ten mechanizm może zadziałać nie tylko lokalnie, na poziomie wiosek czy gminy. Boję się myśleć, jakim stalibyśmy się pobożowiskiem, gdyby pękła jedność Zachodu i międzynarodowa solidarność.

5 marca

Wojna staje się coraz bardziej zawzięta, Rosjanie bombardują dzielnice mieszkaniowe i strzelają do cywilów, giną więc wszyscy, również dzieci. Prezydent Ukrainy apeluje do NATO, aby kontrolowało niebo nad Ukrainą. Sojusz się wzbrania, byłby to początek wojny w Europie. Dziś czytam, że siedemdziesiąt cztery procent Amerykanów chce, aby spełnić życzenie Zeleńskiego. Mogą ponosić ich takie wojownicze emocje – zniszczenie, cierpienie i śmierć dzieją się na odległych kontynentach.

O pracy nawet nie myślę, tematy, zagadnienia, pomysły wydają się miałkie. Podczas drugiej wojny pisarze prowadzili dzienniki, robili zapiski i starali się tak je za-

bezpieczyć, żeby przetrwały. Postępowali w ten sposób nie tylko literaci, wszyscy, którzy czuli potrzebę utrwalania zdarzeń i przeżyć. Teraz nie mamy tej wiary ani nadziei – elektroniczne świadectwa znikną razem z nami.

...muszę być gotów na ziemię bezgramatyczną,
Z ostem, pokrzywą, łopuchem, belladonną,
Nad którymi wietrzyk, senny obłok, cisza.

10 marca

Minister edukacji i nauki odwołał profesora Przemysława Wiszewskiego ze stanowiska rektora Uniwersytetu Wrocławskiego. [...]

Pierwszy rektorem odwołanym z powodów politycznych był profesor Alfred Jahn, który przyjął mnie na studia i którego pokochaliśmy podczas strajku w marcu 1968. Następnym rektorem wyrzuciła władza stanu wojennego w roku 1982: urzędującego rektora profesora Józefa Łukaszewicza i wybranego przez Kolegium Elektorów elekta profesora Andrzeja Wiktora, którego nie dopuszczono do urzędu. Rząd gładko wPiSuje się w tę tradycję. Zgadnij, Koteczku, jaką?

To uwaga *pro domo sua* – jednak czasem czuję, że to dotyczy nie tylko mnie.

Całkowicie przypadkiem wspomnę jeszcze o informacji z wczoraj: w Rosji sześciuset rektorów uniwersytetów szczerze poparło działania Władymira Putina.

14 marca

Mając w pamięci pointę felietonu-eseju Krzysztofa Siwczyka o odmienności „duszy rosyjskiej” – „Rosjanie nie przyjmą winy ani kary do wiadomości” – uzmysławiam sobie, że tę samą opinię upowszechniał w latach dwudziestych ubiegłego wieku słynny czeski producent butów i praktykujący filozof społeczny Tomáš Bata. Pracownikom swoich fabryk zalecał, w czasie dwugodzinnej przerwy na odpoczynek: „nieuleganie beczynności (więc najlepiej czytać, z jednym wszak zastrzeżeniem: NIE CZYTAJCIE ROSYJSKICH POWIEŚCI – głosi hasło, wymyślone przez Batę, na murze filcowni. Dlaczego? Odpowiedź Baty – na murze gumiarńi: ROSYJSKIE POWIEŚCI ZABIJAJĄ RADOŚĆ ŻYCIA)”.

Gottland, znakomitą książkę Mariusza Szczygła, z której wziąłem powyższy cytat, czytałem w 2007 roku, weszła wówczas do finału nagrody Angelus. Opo-

wieść o Bacie bardzo mnie wtedy zainteresowała – znam to nazwisko od dzieciństwa, oznaczało sklep obuwniczy, oczywiście państwowy czy spółdzielczy, który mieścił się niedaleko naszego mieszkania; mówiło się o tym sklepie „u Baty”.

Ostatnio wróciłem do *Gottlandu* – ta smutna lektura o tragicznym losie Czechosłowacji po sierpniu 1968 roku współbrzmi z powtarzalnością losu słowiańskich krajów leżących w sąsiedztwie ponurej i, jak widać, niezmiennie okrutnej Rosji.

21 marca

Ukraina walczy, ludzie uciekają przed nagłą śmiercią, giną pod bombami, nie-
wyobraźalnie cierpią; stali się igraszką obłąkanego umysłu.

Podczas koncertu charytatywnego, przygotowanego wczoraj dla duchowego i materialnego wsparcia walczącej Ukrainy, Maja Komorowska odczytała wiersz Adama Zagajewskiego *Spróbuj opiewać okaleczony świat*. Doskonały wiersz, esencja poezji. Jednak pomyślałem, że może bardziej odpowiedni w sytuacji tej ludobójczej zbrodni byłby wiersz Wisławy Szymborskiej *Jacyś ludzie*. Jest boleśnie sugestywny, przejmujący. Opowiada o wygnańcach, uchodźcach, a tych mamy dziś już ponad dwa miliony, przeważają kobiety z dziećmi. Zostawili za sobą „jakieś swoje wszystko”. I udało się powiedzieć w tym wierszu też o nas – o naszej bezsilności obserwatorów. Znaleźć wyrazy dla naszego złożonego stanu emocjonalnego, w którym współczucie i chęć pomocy przyprawione jest tłumioną ulgą skazańca, któremu opóźniono egzekucję.

Adam umarł rok temu, 21 marca, a jego piękny wiersz wydaje się mniej odpowiedni teraz, jest bardziej na potem, kiedy wojna się skończy, pozostaną ruiny, tułaczka i żałoba. Dziś bezdomni uchodźcy jeszcze nie wspominają ciszy, łagodności i piękna, kiedy „w białym pokoju poruszyła się franka”. Może kiedyś wzruszy ich „okaleczony świat”, zapłaczą nad *Kosem*, który jest wierszem wspomniałym. Na razie tułacze się boją – o dzieci, o męża na froncie, o starych rodziców, którzy zostali bez wody i pożywienia w bombardowanych wsiach i miastach. Boją się, czy znajdzie się dla nich schronienie, miejsce do spania, jedzenie i czy ich dzieci odzyskają dzieciństwo.

Myślę o Adamie, którego podziwiałem i lubiłem. Cicho wtóruję kosowi, razem z nim „żegnam tych, co odeszli, oplakuję” pewnego poetę, który żył w Krakowie – „nie mogłeś go znać”.

6 kwietnia

W „Wyborczej” nekrolog Janusza Stycznia, poety. „Odszedł do domu Pana” – napisano. Unoszącego się do nieba wyobrażam go sobie łatwo. Postać z prozy Schulza, trochę z obrazów Chagalla. Istniał jakby obok rzeczywistości, albo raczej polatywał nad nią. Nadrealista w mowie, piśmie i uczynkach. Lubiłem go, choć nie zawsze miałem pewność, o czym rozmawiamy – czułem się zbyt dosłowny.

Urodził się we wsi o poetyckiej nazwie: Biadoliny Szlacheckie. Był starszy ode mnie o dziewięć lat, poznałem go w latach studiów, gdy występował publicznie jako członek grupy poetyckiej „Ugrupowanie 66”. Uniwersytecka „Agora”, z którą sympatyzowałem, pozostawała z „Ugrupowaniem” w sporze niby programowym, choć trudno powiedzieć, na czym mógł polegać; prócz sympatii albo antypatii do Tymoteusza Karpowicza i jego roli w naszym wrocławskim powieście. Wszyscy wtedy chcieliśmy mieć grupowe programy, co było dość naiwne, podobnie jak nasze wiersze.

24 kwietnia

Dzienniki, impresje, leksykony, recenzje; snucie planów na książki, których nikt nie czyta – tym się zajmuję. Tymczasem obok dzieje się zbrodnicza wojna, giną ludzie, znikają miasta i całe wsie, porywa się dzieci. Trzeba notować, utrzymywać konkrety, tworzyć raporty w nadziei, że pozostaną i będą podtrzymywać pamięć, warunek człowieczeństwa.

Sándor Márai podczas największego natężenia hitlerowskich represji na Węgrzech, kiedy Anglicy zaczęli inwazję we Francji, w 1943 roku, nie miał wątpliwości, że: „Pisarz to nie człowiek, który siada w pokoju i postanawia być pisarzem; pisarz jest włóknom nerwowym w duchowym organizmie narodu i jeśli cały organizm zostaje zaatakowany przez chorobę, włókno nerwowe nie otrzymuje od reszty organizmu niezbędnego ukrwienia i przestaje funkcjonować” (*Dziennik 1943–1948*, przekład i opracowanie Teresy Worowskiej).

Ten wątek wiąże się nie tylko z wojną w Ukrainie. Choroba atakująca organizm zbiorowy Polaków zaczęła niszczyć go o wiele wcześniej.

Napisałem ostatnie zdanie i uświadomiłem sobie, że Ryszard Krynicki wydał w 1975 roku książkę poetycką pod takim tytułem: *Organizm zbiorowy*. Zbiór został brutalnie okrojony przez cenzurę, a wiersze, które go tworzyły, powstawały

wcześniej przez kilka lat, czytałem je drugim obiegu. Zdumiewa mnie i zachwyca przenikliwość poetów.

5 maja

Przeczytałem kilkanaście pierwszych książek z puli nagrody Angelus, najlepsza dotąd wydaje mi się *Sroka na szubienicy* Alhierda Bacharewicza. Powieść polityczna, z wątkiem kryminalnym i opowieścią o dojrzewaniu dziewczyny, jej dorastaniu i poznawaniu życia. Znakomita narracja, oryginalna kompozycja, równoczesność planów czasowych; realizm (opis kraju rządzonego przez dyktaturę, WOK-i, opozycja jako „faszyści”, sytuacja emigranta) wymieszany z nadrealizmem i poetyckością. Moja kandydatura do finału.

11 maja

W kafeterii budynku Instytutów Informatyki oraz Dziennikarstwa spotkałem się wczoraj ze Zbigniewem Rokitą, autorem książki *Kajś*, opowieści o Górnym Śląsku. Zamierza pisać teraz o Dolnym Śląsku i zaczyna serię rozmów, które mają mu posłużyć za uzupełniające tworzywo, a zarazem z perspektywy różnych doświadczeń nasświetlić kwestię społeczno-kulturowej tożsamości tego eksperymentalnego tworu. Opowieść pod tytułem *Kajś* nastawiła mnie przychylnie do autora, a jego pytania świadczyły o niestereotypowym spojrzeniu na temat. Spodziewam się ciekawego i oryginalnego eseju.

22 maja

W „Wyborczej” długi, drobiazgowy i zastanawiający esej Olka Fiuta o brutalnie antyukrańskim wierszu Josifa Brodskiego. To może być istotny i pomocny element, który warto uwzględnić w naszym widzeniu Rosji i jej związków z Ukrainą. Istotny dla tych, którzy próbują zrozumieć rzeczywiste powody tej wojny, z pewnością tkwiące w historii i zbiorowej psychice.

30 maja

Co najmniej siedem milionów uchodźców znajduje się w Unii Europejskiej, wielu ludzi zginęło i umarło w bombardowanych miastach, nie tylko z ran, również z chorób, braku pomocy i leków; na zawał z niepokoju o swoich bliskich.

Podbić, zgwałcić i zniewolić – to jest niezmienny cel Rosji, co najmniej od czasów najazdów tatarskich – a jeżeli natrafi na opór, to zabić, unicestwić, zostawić za sobą spaloną ziemię.

3 czerwca

Próbuję czytać chwaloną przez Oksanę Zabuzko kolejną powieść ukraińską (Wołodymyr Łys, *Stulecie Jakowa*), jednak nuży konwencja chłopskiego lamentu czy – w najlepszym razie – chłopskiej epopei. Literatura naszych wschodnich sąsiadów i przyjaciół ma naturalną potrzebę utrwalenia traumatycznych doświadczeń egzystencjalnych i historycznych, więc takiego pisania nie lekceważę. Jednak dla polskiego czytelnika niektóre poetyki są już anachroniczne i na tym polega nie-szczęście podbitych od stuleci narodów, które z powodu swej przeszłości – i teraźniejszości – muszą mieć również taką literaturę.

6 czerwca

Równolegle czytam przyjemną książkę, która nie ma szans na nagrodę – za nadto jest „niszowa”. To *Jadąc* Eustachego Ryłskiego. Eseje o muzyce, autobiograficzne opowieści, w nich rozrzucone spostrzegawcze uwagi o dzisiejszej kulturze i mentalności, obsesjach i obawach. Wysmakowane, z pozorami nonszalancji i eleganckiej niedbałości. Mógłbym rozszyfrować miejscowości ukryte za inicjałami J., G. albo S., lecz tego nie zrobię, skoro nie życzył sobie tego autor. Może niepotrzebnie skierowałyby uwagę na realia, wyolbrzymiając ich znaczenie? Małe miasteczka marzą o wzmiankach w literaturze, więc nie można wykluczyć, że kiedyś ktoś te inicjały uzupełni.

21 czerwca

Nie ma już nikogo, kto mógłby mi pomóc w zrozumieniu wojny. Nie wystarcza wiedza odziedziczona; siedemdziesiąt trzy lata żyłem w pokoju i uwierzyłem, że ludzkość zmadrzała, przynajmniej w Europie. Otworzyłem więc dziennik Sándora Márai’ego i przeglądam zapiski z 1943 roku. Szukam objaśnienia, dopatruję się analogii: „Nie sposób sobie zupełnie wyobrazić, co się stanie ze światem, z europejską formą życia, z nami. Już nawet się nad tym nie zastanawiam, nie planuję

niczego. Zrozumiałem, że sens tej wojny jest następujący: spotężniałe tłumy poszukują innych form życia" (*Dziennik 1943–1948*).

Niejednokrotnie myślałem o tym, jak druga wojna światowa zmieniła życie moich rodziców – a przeorała je zasadniczo, na wszystkim zaciążyło jej okrucieństwo. Również na egzystencji następnego pokolenia; wojenną traumę dziedziczą zwłaszcza pierwsze roczniki powojenne.

Wojna, jaką Rosja niszczy Ukrainę, będzie równie destrukcyjna – jest to już widoczne. Jej skutki to na razie zapowiedzi, Europa próbuje nadal żyć „normalnie”, jak przedtem, ale to nie będzie możliwe.

Czytam dalej w notatniku węgierskiego myśliciela: „wojna coraz mniej zrozumiała, coraz dziksza, coraz więcej determinacji. Niemcy nie poradzą światu, ale jeszcze ciągle mają dość siły, by uczynić wojnę straszliwszą. I czemuż nie mieliby użyć tej siły, akurat oni, ci osobiwi nihiliści?”.

Widzicie różnice między rokiem 1943 a 2022? Tylko jedną: w miejsce rzeczownika „Niemcy” należy wstawić „Rosjanie”. A „nihiliści” to określenie najłagodniejsze z możliwych.

I jeszcze jedno zdanie, kluczowe dla uświadomienia sobie naszego położenia: „nikt nie przeżywa własnego losu, lecz jakiś bezosobowy, obcy los, jesteśmy jak dane statystyczne”.

„Wielka liczba” – przypomina Wisława Szymborska.

Herbert znany i nieznany

Z okazji setnej rocznicy urodzin Zbigniewa Herberta Wydawnictwo a5 przygotowało specjalną, wręcz pomnikową edycję wyboru z dzieła poety: *Kanon. Tryptyk*. Wydanie jest, jak zwykle w tym wydawnictwie, bardzo starannie przygotowane. Doskonałym pomysłem było posłużenie się przez Joannę Rusinek, autorkę pięknego graficznie opracowania całej publikacji, rysunkami Zbigniewa Herberta. Poza tym, że dowodzą prawdziwego talentu plastycznego, jakim obdarzony był poeta, czego się zazwyczaj nie dostrzega – nadają całości akcent bardziej prywatny. Zamieniają trzy tomy, umieszczone w tekturowej kasce, w niemal osobiste zapiski. Tom pierwszy jest reedycją 89 wierszy wybranych i wydanych przez Herberta w 1997 roku. Tom drugi to *Król mrówek. Prywatna mitologia*, którą, jak informuje nota tytułowa: „Zrekonstruować próbował i posłowiem opatrzył Ryszard Krynicki”. Tom ten, zgodnie z *Notą* zawiera – poza utworami prozą z poprzedniego wydania z 2001 roku – dotychczas niepublikowane dwa bruliony tekstu *Giganci*. Krynicki dodaje, że tom ozdobił w formie przerywników rysunkami wybranymi ze szkicowników z greckich podróży Herberta. Co więcej, a co szczególnie cenne, przytacza w motcie pierwotną wersję wiersza *Czar-*

nofigurowe dzieło Eksekiasa. Wreszcie tom trzeci pod tytułem *Cena sztuki i inne eseje* stanowi wybór tekstów eseistycznych z tomów *Barbarzyńca w ogrodzie* (*Lascaux, U Dorów, Il Duomo, Piero della Francesca*), *Martwa natura z wędzidłem* (*Cena sztuki, Martwa natura z wędzidłem*) oraz *Labirynt nad morzem* (*Labirynt nad morzem, Próba opisanja krajobrazu greckiego*). W *Labiryncie nad morzem*, jak wyjaśnia Paweł Próchniak, autor opracowania całego *Tryptyku*, podstawą wydania były pierwodruki w czasopismach oraz maszynopisy z odręcznymi poprawkami autora. Dokonując drobnych poprawek w tekstach, krytyk dodaje: „Ponadto respektuję znaczną część rozstrzygnięć poczynionych w pieczołowicie i pod pewnymi względami nieocenionej edycji trylogii eseistycznej Herberta, która ukazała się staraniem Fundacji Zeszytów Literackich”.

Dokonywanie wyboru tekstów jakiegokolwiek autora, a zwłaszcza autora tak wybitnego, jak Zbigniew Herbert, jest z zasady zadaniem niewdzięcznym, trudnym i karkołomnym. Niewdzięcznym, bowiem czytelnik może zadać dosyć zasadnicze pytanie: w jakim celu dokonywać takiego wyboru, skoro z rocznicowej okazji można było wznowić poszczególne tomy? Tym bardziej, że zawarte w nich teksty ułożone zostały zgodnie z zamysłem autora, a wiadomo jak starannie Herbert komponował

edycji swoich wierszy i esejów. Jest zadaniem trudnym, ponieważ skazuje dokonującego wyboru na przyjęcie wyrażonego kryterium selekcji tekstów, zgodnie z którym powinno się pozostawić utwory najbardziej wartościowe, a co najważniejsze – wybór nie powinien zniekształcić dotychczas utrwalonego wizerunku autora. Jest to wreszcie zadanie karkołomne, bo od razu narażone na zarzuty w rodzaju: dlaczego jest ten utwór, a brak innego, który jest równie ważny czy równie charakterystyczny; co ostatecznie zdecydowało o tym pominięciu; czy wybór respektuje hierarchię ustaloną przez autora i tym podobne. Mając, jak sądzę, na względzie wszystkie te wyzwania, Paweł Próchniak próbuje się bronić dosyć zręcznie, pisząc w końcowej *Nocie*: „Pod koniec życia Zbigniew Herbert wybrał ze swojego dzieła poetyckiego 89 wierszy, które powierzył Wydawnictwu a5. Ten gest wskazania wierszy najważniejszych był inspiracją dla tryptyku obejmującego mały kanon pisarstwa autora *Struny świata*. [...] Nie jest to wybór oczywisty. I tak właśnie powinno być, bo literatura pozostaje żywa, dopóki ma w sobie potencjał nieoczywistości i nie zmienia się pod naszym spojrzeniem w garść komunałów”.

Nieoczywisty kanon? Zawiera się w tym sformułowaniu jawna sprzeczność, bo kanon zwykle stanowi wybór z pewnego punktu widzenia „oczywisty”, ponieważ układany jest zazwyczaj z dystansu czasu, uwolniony od bieżących ocen i dyskusji, sprawdzony w długotrwałym odbiorze, który oczyszcza go z doraźnych, nieraz

błędnych ocen oraz uwikłania w aktualne gry życia literackiego. Nierzadko stworzony zostaje wbrew intencjom autora. Ileż to razy było, że dzieła, które uznaje się powszechnie za kanon jakiegoś pisarza, były w jego własnej ocenie czymś dla niego marginalnym, tworzonym głównie dla osobistej satysfakcji, z pobudek prywatnych bądź dla pieniędzy!

Warto przypomnieć w tym miejscu, co pisał kiedyś niedawno zmarły, nieoceniony Jerzy Jarzębski w szkicu *Konflikty wokół kanonu* w swojej książce *Proza: wykroje i wzory* (2016).

Jak dowodził, kanon to „po pierwsze, zespół niejako ponadczasowych Dzieł Wyborowych tworzących szkielet gmachu kultury uniwersalnej, po drugie – grupa dzieł najbardziej w danym momencie historii i na danym obszarze kulturowym popularnych, wreszcie – te spośród dzieł, których używa się w procesie edukacyjnym, umieszcza na listach lektur bądź w szkołach, bądź na uniwersytetach”.

Gdyby trzymać się przywołanych kryteriów, *Tryptyk* nie spełnia żadnego z tych warunków! Może z wyjątkiem trzeciego, skoro niektóre eseje i wiersze Herberta istotnie służą dydaktyce. Gdyby zapytać o utwory należące do „zespołu Dzieł Wyborowych tworzących szkielet gmachu kultury uniwersalnej”, należałoby zapewne sprawdzić, które z utworów Herberta najczęściej przekładano na obce języki. Innymi słowy, jaka hierarchia jego dzieł wyłania się z recepcji za granicą – a był przecież tłumaczony na wiele języków, szczególną popularnością ciesząc się

w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. *Tryptyk* nie wytrzymuje także krytyki z punktu widzenia drugiego kryterium. Owszem, zawiera cały szereg wierszy i esejów Herberta popularnych, czytanych chętnie, a nawet śpiewanych, ale zarazem brak w nim wierszy z tomu *Epilog burzy*, który ukazał się już po wyborze 89 wierszy. Miłośnicy poety mogliby też zapytać, dlaczego występuje tak wielka dysproporcja w wyborze esejów z trzech ich tomów. Co skłoniło Pawła Próchniaka do zrezygnowania z esejów *Tulipanów gorzki zapach* oraz *Temat niebohaterski*, a także uroczych *Apokryfów z Martwej natury z wędzidłem*? Czy się kierował, pozostawiając z tomu *Labirynt nad morzem* jedynie tytułowy esej oraz *Próbę opisaną krajobrazu greckiego*, pomijając *Sprawę Samos* oraz *Lekcję łaciny*, esaje dla Herberta z pewnością ważne. Pominięcie *Obrony Templariuszy* oraz *Sprawy Samos* ma tym większe znaczenie, że te esaje, obok *Martwej natury z wędzidłem*, są studiami o przemocy, stanowiącymi swego rodzaju przeciwwagę dla esejów sławiących sztukę.

Trudno zatem obronić tezę, że to „kanon Herberta”, nawet gdyby przyjąć, że jest to kanon „mały”. Bliższe prawdy jest chyba stwierdzenie, że *Tryptyk* stanowi subiektywny wybór Pawła Próchniaka, a do niego, oczywiście, krytyk miał pełne prawo, choć z jego decyzjami można i warto dyskutować. Powstaje jednak pewien problem. W cytowanym komentarzu Próchniak sugeruje wyraźnie, że to Herbertowski „gest wskazania

wierszy najważniejszych był inspiracją dla tryptyku”. Powstaje pytanie: czy ów gest poety naprawdę uzasadnia wszystkie dokonane w trylogii wybory? I czy można go było powtórzyć?

Jak pisze Ryszard Krynicki, poeta zamiast zaakceptować w marcu 1997 roku przygotowaną przez Wydawnictwo a5 korektę swoich *Wierszy wybranych*, zdecydował się „wydać antologię osobistą”, tematyczną, ułożoną nie chronologicznie, lecz według pięciu najważniejszych wątków jego poezji, które w nowo sporządzonym spisie treści roboczo nazwał: (I) *Bóg i Ojczyzna*, (II) *Antyczne*, (III) *Portrety*, (IV) *Ogólne, religijne* oraz (V) *Przedmioty*. Już sam dobór tematów wydaje się zaskakujący! Ten „klasyk” zaczyna swój tom częścią roboczo zatytułowaną *Bóg i Ojczyzna*? Ponadto wystarczy rzut oka na spis utworów w tomie 89 wierszy, by stwierdzić, jak dalece podział stał się umowny. Nie to jednak wydaje mi się rozstrzygające. Istotniejszy jest sam zamysł poety, by pod koniec życia pozostawić czytelnikom portret własny, odmienny od dotychczasowego, utrwalonego przez krytykę. Można by zatem zasadnie zapytać, na ile ten autoportret został zgodnie z intencjami Herberta w całym *Tryptyku* powtórzony, utrwalony czy ewentualnie uzupełniony. I czy w ogóle taki zabieg jest możliwy.

Mnie jednak zainteresowało coś zupełnie innego, a mianowicie, jaki wizerunek Zbigniewa Herberta zostaje w *Tryptyku* przekazany jego czytelnikom. A skoro autor *Pana Cogito* z takim upodobaniem

występował w rozmaitych przebraniach, próbując podjąć podobną grę, by odgadnąć, czego o autorze oraz jego ojczyźnie może na podstawie lektury *Tryptyku* dowiedzieć się odbiorca zagraniczny, na przykład zachodni sławista, który dotychczas przeczytał kilka wierszy Herberta w przekładzie na swój język, a teraz pragnie lepiej poznać twórczość tego poety, przygotowując się do prowadzenia zajęć na jego temat. Zakładam, że tenże sławista na tyle opanował polszczyznę, że potrafi czytać wiersze w oryginale oraz zdolny jest smakować niuanse znaczeniowe tekstów poetyckich. Zna przy tym, choć dosyć pobieżnie, biografię Zbigniewa Herberta oraz historię Europy. Zainteresował się również utworami innych polskich poetów i pisarzy dwudziestego wieku.

Bierze zatem ów sławista do ręki 89 wierszy i od razu się zdumiewa. Jeśli wierzyć świadectwu zapisanemu w wierszach, druga wojna światowa zaczęła się dla autora 89 wierszy nie od agresji wojsk hitlerowskich, lecz od inwazji Związku Sowieckiego! Czy nie dlatego usunął ze swojego wyboru *Pożegnanie wrzeźnia*? Cały początek tomu nade wszystko nazywa strach przed Związkiem Sowieckim. Dobrze zrozumiały u mieszkańca przedwojennego Lwowa. Niektóre słowa brzmią przy tym złowroźnie w kontekście obecnej wojny w Ukrainie. Na przykład w wierszu *Posłaniec* rozpaczliwie oczekiwany jest „upragniony zwiastun zwycięstwa lub zagłady”. I jak powiada poeta:

Na koniec przybył ów goniec w masce
z krwi błota lamentu
Wydawał niezrozumiałe okrzyki poka-
zywał ręką na Wschód
To było gorsze niż śmierć bo ani litości
ni trwogi

Zapowiedź wkrótce się spełni, o czym wprost mówi wiersz zatytułowany *17 września*, przywołujący datę wkroczenia Armii Czerwonej. Sławista zauważa, że o ile w *Posłańcu* kreowana sceneria wzoruje się na teatrze greckim (mowa o chórze, „który skandował ciemne prorocтва i kłótwy”), o tyle w wierszu *17 września* przypominane zostają dzieje Polski, w których tragicznym, natrętnym motywem powracają nieuchronna przegrana i daremne bohaterstwo: „plecaki pełne kłęski rude pola chwały”. Potwierdzenie trafności tego spostrzeżenia odnajduje w wierszu *Raport z oblężonego miasta*, w którym kostium jest wprawdzie antyczny, ale ocena zdarzeń historycznych pozostaje w zgodzie z romantyczną martyrologią, wedle której Polacy od stuleci, osamotnieni, niewinnie cierpią z powodu wrogich napaści. Dlatego wiersz zawiera zabarwione gorzką ironią aluzje do wydarzeń historycznych, w tym także nie tak w czasie odległych: do zdrady alian-tów po drugiej wojnie światowej oraz do stosunku Zachodu wobec stanu wojennego w grudniu 1981 roku (utwór powstał w 1982). Tutaj sławista zgłasza zastrzeżenie: Polska nie zawsze była ofiarą agresji swoich sąsiadów! Przecież jako potężne europejskie mocarstwo skolonizowała kiedyś tereny obecnej Ukrainy, na których

znajduje się Lwów, miejsce urodzenia Herberta! Poza tym polskie cierpiętnictwo zaczyna sławistę nieco drażnić. Historyczne doświadczenia Polaków nie były aż tak bardzo, jak oni utrzymują, wyjątkowe – nawet w Europie! Wystarczy wspomnieć, jakich okrucieństw doznali Słowianie południowi, którzy przez pół wieku cierpieli niewolę imperium osmańskiego i wykrwawiali się w licznych powstaniach.

Tymczasem według autora *89 wierszy* zależność od Rosji, a potem od Związku Sowieckiego jawi się dla tej części Europy jako prawdziwe przekleństwo. Stąd takie wiersze jak *Guziki*, utwór poświęcony ofiarom zbrodni w Katyniu, czy *Węgrom*, wiersz oddający hołd walczącym w powstaniu w 1956 roku. Dla bohatera Herberta w znacznym stopniu podobnym do autora kluczowe znaczenie ma, zauważa sławista, pamięć o okresie przedwojennym, doświadczenie sowieckiej inwazji na Lwów oraz konfrontacja z komunistycznym reżimem. Przy czym czasy przed drugą wojną to obrazy wyidealizowanego dzieciństwa, agresja i dominacja ZSRR wpisują się w obrazy inwazji barbarzyństwa, zaś walka z komunizmem przyjmuje postać demonstrowania niezłomnej moralnej postawy. Sławista zna trochę literaturę i kulturę rosyjską, jest zatem zaskoczony prawie całkowitym brakiem odwołań się do niej w wierszach Herberta. W oczach poety Rosja staje się synonimem kulturowego zacofania, despotii i nihilizmu. Jej ucieleśnienie stanowi Armia Czerwona szyderczo opisana w *Potędze smaku*, a także podbijające Italię germańskie ple-

miona Longobardów, którzy „zlatują w dolinę / Krzycząc swoje przeciągłe *nothing nothing nothing* (*Longobardowie*). Czy nie jest to aby, zapytuje siebie sławista, zbyt duże uproszczenie? Czy Rosja ma wyłącznie takie oblicze?

Od razu uderza go stała obecność oraz częstotliwość odwołań do starożytności. Nader rzadka obecnie erudycja w tym zakresie budzi w sławistcie niekłamany podziw. Zauważa, że dostarcza ona poecie albo klucza do rozumienia ludzkich dziejów – w których, jak niegdyś, tak i obecnie rządzą okrucieństwo i przemoc – albo staje się formą kamuflażu, gdy poeta, jak choćby w wierszu *Powrót prokonsula*, diagnozuje postawy mieszkańców kraju komunistycznego, lub w kostiumie Pana Cogito wyzywa na pojedynek potwora totalitaryzmu. Skąd jednak wyłącznie kamuflaż? Sławista czytał trochę wierszy poetów Nowej Fali i na ich podstawie wyrobił już sobie zdanie, jak w przybliżeniu wyglądało codzienne życie w PRL. Tymczasem autor *89 wierszy* na tę codzienność wydaje się całkowicie impregnowany. W wierszu *Do Ryszarda Krynickiego* – list z powagą deklaruje:

Na chude barki wzięliśmy sprawy
publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy
cierpienia
lecz przeciwników – przynasz –
mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżyć świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany
gazet

Brzmi to trochę dziwnie, skoro właśnie Krynicki, mając na względzie „sprawy publiczne”, demaskował kłamstwo systemu poprzez parodię propagandowego „bełkotu z trybuny” i z „czarnej piany gazet”. Ponadto Herbert podkreśla wyniośle w *Potędze smaku*, że pozostaje odporny na pokusy „nowej wiary”, o której sławista czytał w *Zniewolonym umyśle* Czesława Miłosza. W tym miejscu budzi się w sławicie pewna wątpliwość: taka odporność jest z pewnością chwalebna i godna podziwu, ale czy nie sprawia zarazem, że autor 89 wierszy należał do pisarzy niepostrzegających zrozumieć i docenić ważnego fenomenu w życiu politycznym i społecznym, który stał się udziałem ludzi niemal z całego świata, i który przetrwał w zmodyfikowanej wersji na Kubie, w Korei Północnej i w Chinach?

W każdym razie bohater Herberta na pewnej chwili najwyraźniej uznaje się za duchowego przywódcę narodu. Z tej pozycji przemawia *Do Jehudy Amichaja* i taką postawę przyjmuje szczególnie w *Przesłaniu Pana Cogito*. Wygłasza owo przesłanie z rażącym ucho sławisty nadmiernym patosem, który mocno kontrastuje z wierszami zabarwionymi subtelnymi odcieniami ironii. Poeta, jako ofiara totalitaryzmu, stawia czytelnikowi wysokie moralne wymagania i domaga się kary dla politycznych złoczyńców. Poucza: „powtarzaj stare zaklęcia ludzkości [...] bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz”, godząc się za to zapłacić cenę „chłosty śmiechu zabójstwa na śmietniku”. Domaga się heroizmu w obliczu

nieuniknionej przegranej. Za wzór uznaje „Gilgamesza Hektora Rolanda / obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów”. Sławistę obok dobrze mu znanych odwołań do kultury europejskiej uderza coś innego: czytelne aluzje do Pasji Chrystusa. Ale jeśli przemawiający w wierszu przestrzega: „niech nie opuszcza ciebie siostra Pogarda / dla szpicliów katów tchórz” i radzi: „nie przebacza zaiste nie w twej mocy / przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie” – to gdzie tu miejsce na chrześcijańską miłość bliźniego i miłosierdzie? Bohater Herberta najwyraźniej w nie zwątpił. Dlatego Sąd Ostateczny kojarzy mu się z selekcją do gazu, a Chrystus występuje wyłącznie jako bezbronny człowiek, który poniósł okrutną śmierć za swoje do końca heroicznie broniące przekonania. Zastanawiające – taki wizerunek Zbawcy w kraju uznającym się za najbardziej katolicki?

Byłby zatem ów mało dotychczas znany sławicie polski poeta jedynie świadkiem swojego czasu zwróconym ku przeszłości, która na trwale zraniła jego pamięć i wyobraźnię? Byłby, jak podkreśla w wierszach *Mona Liza* czy w *Przesłaniu Pana Cogito*, wyłącznie posłańcem swojego, wymordowanego pokolenia, broniącego w jego imieniu zagrożonej upadkiem śródziemnomorskiej tradycji? Strażnikiem gasnącej kulturowej pamięci? A jego wiersze byłyby tekstami o charakterze już tylko historycznym, zabytkiem minionej epoki? Niekoniecznie. Bystrze zauważa sławista, że poeta zachęca również do choćby chwilowego oderwania

się od politycznego życia oraz praktykowania filozoficznej medytacji – nawet w spotkaniu z kamieniem. A to zawsze jest godne zalecenia. Pozostaje ponadto przenikliwym diagnostą kryzysu naszej cywilizacji, która zasypała swoje życiodajne źródła, stając się tym samym bezbronną wobec współczesnych zagrożeń. Nie tylko ze strony Rosji. Stąd niektóre wiersze brzmią dla sławisty niezwykle aktualnie. Zwłaszcza *Pieśń o bębnie*, którego głuchy łomot na nowo towarzyszy potężniejącym tłumom nacjonalistycznych i populistycznych barbarzyńców.

Zaciekawiony lekturą poezji Herberta sławista sięga po następny tom *Tryptyku, Króla mrówek*. Odnajduje w nim zaskoczeniem całkiem inne tony. Gorzka ironia i patos ustępują miejsca wybaczącemu humorowi. Pojawiają się ponadto bohaterowie opowieści mitologicznych poza niektórymi sławicie nieznani – Antajos, Triptolemos, Kleomedes. Musi ich imion cierpliwie szukać w Wikipedii. Ale opowiadane historie, ozdabiane celnymi, wartymi zapamiętania maksymami, wydają mu się zarazem zabawne, tragiczne i pouczające. Jak choćby o Cerberze, który z piekielnego potwora przedzierzga się w potulnego, budzącego litość psa. Może zatem, zastanawia się sławista, warto na nowo podjąć podróż, która wiedzie przez wspólne Europejczykom kulturowe znaki w znacznym stopniu zatarte przez czas i nowoczesność? Może ma sens wziąć udział w tej przygodzie, pouczającej oraz skłaniającej do aktualizacji tradycji poprzez odnoszenie jej do teraźniejszości,

lecz bez zbędnego patosu i namaszczonego, nudnego „kultywowania” kulturowego dziedzictwa? Zgodnie z tym, co powiada Herbert w swoich notatkach do *Noty autobiograficznej*: „Mitologia, jakiej uczono go w szkole, napawała go odrazą, była bowiem triumfem antropomorficznej bestii [...], nienawidził zwycięzców i jego przymierze z pokonanymi wydawało mu się odziedziczone”, zaś „cała jego sympatia kierowała się ku / zmęczonym bohaterom”.

Wreszcie trzeci tom, *Cena sztuki*. Jeszcze jedna, jak konstatuje sławista, forma ucieczki Herberta od zamętu historycznego czasu i szukania od niego wytchnienia. I jeszcze jedno wcielenie autora. Tym razem pełnego pasji podróżnika oraz wyrafinowanego znawcy malarstwa i architektury. Nazwał się „barbarzyńcą w ogrodzie”, a jawi się jako prawdziwy bywalec w ogrodzie europejskiej kultury! Może ją nawet bardziej, po przejściu przez totalitarną otchłań, rozumie i ceni niż mieszkańcy Zachodu? Sławista z ciekawością towarzyszy autorowi w jego wędrówkach po Francji i Włoszech, Holandii, Grecji i Kreta. Pierwsza podróż wydaje mu się wyprawą do kolebki europejskiej cywilizacji, druga – do malarstwa kultywującego esencję rzeczy, trzecia – do źródeł mitów. Uderza go, że Zbigniew Herbert nie tylko znakomicie posługuje się wiedzą źródłową, ale potrafi również docierać do zabytków bezpośrednio, poprzez zmysł nie tylko wzroku, ale i dotyku i węchu. Umie również podczas podróży czerpać przyjemność z codziennych rozkoszy życia oraz doznawać, jak

w Sienie, „dojmującego uczucia zastygłej wieczności”. Jakże znakomita lekcja uwolnienia się od powierzchowności i nudy zbiorowych wycieczek!

Sławista odkłada *Tryptyk* z zadowoleniem. Poznał jednego z najwybitniejszych, ale także chyba najbardziej intrygujących pisarzy dwudziestego wieku. Przyda mu się ta lektura. Może zachęcony sięgnie po dzieła innych twórców z tej części Europy i będzie je pilnie studiował?

Aleksander Fiut

Zbigniew Herbert, *Kanon. Tryptyk: 89 wierszy*, wybór i układ Autora; *Król mrówek. Prywatna mitologia*, zrekonstruować próbował, przypisami i posłowiem opatrzył Ryszard Krynicki; *Cena sztuki i inne eseje*, wybrał, opracował i notą opatrzył Paweł Próchniak, Wydawnictwo a5, Kraków 2024

Trzy czwarte do pełni

Zaiste świetnym posunięciem wydawniczym było nazwanie ostatniej książki poetyckiej Adama Zagajewskiego *Trzy czwarte*. Bez względu na ostatecznie niedocieczony tytuł tej książki – wszak gdyby poeta żył, mógł wariantywnie go zmienić – pobrzmiewa w nim nie tylko nieodkryty charakter dzieła, ale również dalece głębsza otwartość na oścież innego wymiaru tej liryki. Mianowicie w ostatnich latach, ale też w ostatnich książkach, wydawał mi się Zagajewski poetą coraz większego wątplenia, zaskakującej probablistyki, pod jaką podprowadzał – wydawałoby się –

swoją ustabilizowaną dykcję poetycką. Dykcja ta stabilizowała się wokół nieprzejaznych komentarzy krytycznych, zarzucających poecie nadmierną ufnosć w styl wysoki, czy, jak inaczej to się ujmuje w krytycznoliterackiej taksonomii okreśów twórczość, w styl późny. U Adama Zagajewskiego ten styl krystalizował się wyjątkowo długo, właściwie od momentu paryskiej emigracji, gdy zaczął pisać inaczej niż w czasach wzmożonej aktywności Nowej Fali. Z dzisiejszej perspektywy przemiany te wydają mi się oczywiste. Ciężenie wierszy Zagajewskiego ku większej czytelności zbiegło się z „europeizacją” jego pozycji literackiej, by finalnie doprowadzić do spektakularnego transferu tej liryki za ocean, gdzie stał się kolejnym, ważnym głosem tak zwanej polskiej szkoły poezji, której prominentnymi przedstawicielami w kulturze anglosaskiej i amerykańskiej byli już Czesław Miłosz i Zbigniew Herbert. Zagajewski dopełniał swoją czytelną frazę doświadczenie poezji wschodnioeuropejskiej opalizujące wokół różnych dramatów historii XX wieku, które w Ameryce stanowiło faktycznie świeży dopust i źródło inspiracji dla autorów i autorek wyrosłych w zupełnie innych realiach literackich i życiowych. Pojęcie „wolności” chociażby musiało znaczyć coś zupełnie innego dla Zagajewskiego i – dajmy na to – Johna Ashbery’ego. Przypominam o tych oczywistościach tylko z jednego względu. Mianowicie jestem przekonany, że w ewolucji poetyckiej Zagajewskiego nie było kalkulacji na światową karierę. Czytelność

ideowa i uproszczenie języka poetyckiego zdaje mi się dziś efektem docelowym po latach praktyki jednak wiersza awangardyzującego, czy jak kto woli, lingwizującego. Paradoksalnie docelowa prostota niektórych „późnych” wierszy poety okazuje się faktycznym sprawdzianem wytrzymałości dla konkretnych idei czy problemów, które Zagajewski sygnalizuje, dociążając swoje wiersze pojęciami tak ryzykownymi jak wzmiankowana „wolność”. O niej zresztą w *Trzech czwartych* mówi się sporo, zwykle w tonacji dalekiej od pewności. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że niektóre wiersze pozbierane w tej książce powstały w okresie reżimu pisowskiego, stąd rozumiała aktywizacja tematu „wolnościowego”, co ciekawe rozgrywanego właśnie w duchu ambiwalencji, niepewności i probabilistyki. Ludzie żadnej wolności nie chcą, boją się jej, zdecydowanie w swojej masie lubują się w podążaniu za przewodnikiem, przyzwyczajeni – zwłaszcza niektórzy z pokolenia Zagajewskiego – do małej stabilizacji na tym najlepszym ze światów. To zaiste ciekawe i symptomatyczne, jak bardzo trwałym pozostaje pojęcie owej stabilizacji, czego rzekomym sprawdzianem okazało się długie osiem lat z Kaczyńskim, jako pasterzem polskiego stada. Strasznie imponowała mi postawa Adama Zagajewskiego w tym okresie. Pokazał pazura, jako jeden z pierwszych poetów krzychał o potrzebie buntu, dał świadectwo swojej „nowofalowości” w okresie całkowitej śpiączki społecznej. Zresztą całe jego literackie pokolenie ewidentnie okazało się

czujne, podczas gdy społeczna większość ładnie układała się z reżimem. Generalnie większość starych wierszy Zagajewskiego z *Komunikatu* i *Sklepów mięsnych* świetnie sprawdziła się podczas powtórek z ideologicznej rozrywki w wersji PiS. Te stare kawałki chyba lepiej i aktywniej opisywały rzeczywistości niż wiersze nowe, które teraz są dla nas faktycznie zamkniętą historią zebraną w *Trzech czwartych*. Nie chcę wyróżniać dla siebie żadnego z tych tekstów. Ze wszystkimi zdążyłem się jakoś zaprzyjaźnić, czy to w publikacjach czasopiśmienniczych, czy nawet w odautorskiej, premierowej lekturze autora. Jest w nich cały „późny Adam” z umiłowaniem miejskiej architektury Krakowa, ze skłonnością do melancholijnego spojrzenia wstecz na genealogię własnej rodziny, z zaskakującymi odniesieniami do własnej literackiej przeszłości i przyszłości, wreszcie ze świetnie realizowaną strategią kontynuacji istotnej z punktu widzenia całej jego twórczości książki *Prawdziwe życie*. Kiedy ta bardzo spełniona artystycznie książka ujrzała światło dzienne, miałem okazję skomentować ją krytycznie. Adam zareagował, napisał do mnie, że moje widzenie tej książki bardzo mu się podoba. To było strasznie ujmujące, bo przecież nie byłem jakoś nadmiernie entuzjastyczny, po prostu bardzo mi się ta książka podobała. Adamowi „podszedł” zwłaszcza ten fragment: „Jednak nowe wiersze Zagajewskiego są polem otwartym i zaproszeniem do szczególnego rodzaju współodczuwania rzeczywistości, w którym odnaleźć się mogą czytelnicy

pokoleniowo odlegli od autora *Plót*na. Postuluje bowiem Adam Zagajewski i broni, jak mówi, »życia fantazyjnego«. Rozumiem w tym postulatcie przede wszystkim impuls jednostkowego świadectwa złożoności słów i rzeczy tego świata. Adam Zagajewski nie jest poetą na tyle niedoświadczonym, żeby zaufać przejrzystości języka i suchą stopą przejść ponad jego złożoną i podstępłą naturą. W fenomenalnym, a przecież niepozornym i lekkim, wierszu *Boogie-woogie*, fantazyjnie, bo radykalnie prosto i celnie, pisze: „Wołasz z sąsiedniego pokoju / Pytasz jak się pisze boogie-woogie / I od razu myślę jakie to szczęście / że nie wybuchła wojna / i wielki pożar nie strawił / pamiętek historycznych w naszym mieście / i naszych ciał i mieszkań // Rzeka nie wezbrała / i nie aresztowano nikogo / spośród naszych przyjaciół / Chodzi tylko o boogie-woogie / Oddycham z ulgą / odpowiadam pisze się tak jak się mówi / po prostu boogie-woogie”. Możliwość życia fantazyjnego i możliwość życia w wolności, w której głos osoby najbliższej, dobiegający z sąsiedniego pokoju, nie musi oznaczać od razu jakiejś katastrofalnej nowiny, pokolenie Adama Zagajewskiego potrafi docenić. Wszak to pokolenie boleśnie doświadczane realną przemocą i politycznymi szykanami. Kiedy wrócił już z Niemiec, z których do mnie pisał, mieliśmy okazję się spotkać i trochę obgadać kwestię wolności w czasach smuty, którą właśnie jako społeczeństwo zaliczaliśmy. Potem już się nie spotkaliśmy. Dochodziły mnie tylko niepokojące wieści o jego sta-

nie zdrowia. *Trzy czwarte* traktuję jako dokończenie tamtej rozmowy, a może otwarcie jej na nową opcję: na wątpliwą wiarę w lepszy stan rzeczy. Chociaż wszystko wokół stanowi o faktycznie innym obrocie spraw. „Myślałem, że sprawy mają się dobrze, / ale byłem w błędzie”, pisał mój idol młodości poetyckiej John Ashbery. Nie potrafię sobie wyobrazić dwóch bardziej odległych sobie poetów niż Zagajewski i Ashbery. A jednak spotkali się i bardzo polubili. Autor *Autoportretu w wypukłym lustrze* z estymą wyrażał się o Zagajewskim. I jest w tej estymie *clou* mojego podejścia do twórczości Adama. Przez wiele lat nie miałem do niej wstępu, całe moje pokolenie w Zagajewskim widziało raczej adwersarza niż poetyckiego przyjaciela. A jednak Adam chyba obdarzył mnie sympatią. W ostatnich latach jego życia współpracowaliśmy również instytucjonalnie przy Festiwalu Miłosza. To był świetny czas. Okazało się, że Adam jest bardzo na bieżąco z polską poezją pisaną przez ludzi zdecydowanie od niego młodszych. Wszystko mnie w nim zaskakiwało: poczucie humoru, dystans do siebie. Ale też powaga, z jaką traktował nie tyle swoje wiersze, ile sam proces ich pisania, ten dziwny stan, w którym pisał ciągami. Ten ostatni ciąg trwał tylko trzy czwarte do pełni poetyckiego spełnienia, bo przecież jego prawie spełnioną zapowiedzią jest ta książka. „Śmierć nie jest wydarzeniem w życiu. Jej się nie przeżywa”, pisał inny, bardzo bliski mi poeta. Adam nie zniżał się do poziomu śmierci, szukał wciąż fenomenów, które

pobudzały jego „życie fantazyjne”. I jak widać po *Trzech czwartych* robił to do końca, był „niepodległym nicości” z książki jego przyjaciela Ryszarda Krynickiego.

Krzysztof Siwczyk

Adam Zagajewski, *Trzy czwarte*, Wydawnictwo a5, Kraków 2024

Trzeci sierpnia, czwartek

Jak pisać o bólu, który przeszywa każdą cząstkę człowieka po śmierci najbliższej osoby? Jak wyrazić w tekście kultury, w dziele sztuki, w przekazie artystycznym tę dotkliwą pustkę, gdy odchodzi ktoś, kogo kochaliśmy przez całe nasze życie? Jakie formy przybierają treści tęsknoty, samotności, smutku, żalu, rozpacz, utrwalone w kompozycjach muzycznych, na płótnach obrazów, w filmach, na deskach scenicznych, na kartach opowiadań, powieści, wierszy, a próbujące oddać koszmarnie emocje pory umierania tej, z którą się było od zawsze?

To pytania, które pojawiły się w moich myślach po lekturze wstrząsającego i wzruszającego tomu poezji Krzysztofa Lisowskiego *Trzeba czasu*. Jest to bowiem książka o żonie autora, Annie, która przegrała walkę z chorobą, a z którą krakowski pisarz spędził prawie czterdzieści osiem lat. W zapisie pod wierszem tytułowym czytamy: „5 sierpnia 2023 (dwa dni po Twoim odejściu)”, wiemy zatem, kiedy nastąpiła śmierć bohaterki tych liryków. Prawie wszystkie teksty z tego tomiku są

datowane, więc czytelnik może śledzić dramatyczne wydarzenia utraty zdrowia pani Ani, od 30 lipca 2020 roku. Ostatni zapis kalendarza to 20 stycznia 2024 – pod wierszem *Odkrycie*, zamieszczonym jako czwarty od końca.

Trudno jest czytać taki zbiór liryków, lekturze wciąż towarzyszy nie tylko głęboki smutek i współczucie parze małżonków, ale też gniew – na niesprawiedliwość losu, na to, że pani Lisowska musiała cierpieć, że umarła, pozostawiła bliskich nieutulonych w żalu. Czytelnik odczuwa niepokromioną złość – z powodu złego urządzenia tego padółu łez, na którym ludzie odczuwają ból, męczą się w chorobie i tak krótko żyją. Ten aspekt temporalny jest tu niezwykle istotny – bo przecież to on rządzi ludzką egzystencją, wyznacza rytm naszych dni i nocy, kieruje godzinami i porami roku. On też posłużył jako tytuł – ale sygnatura ma być metaforą pocieszenia, oddalenia żalu, zagojenia blizn po utracie najbliższej osoby, żony. Trzeba czasu – tak się wszak powiada, gdy chcemy uspokoić się myślą, że kiedyś, w przyszłości już tak nie będzie bolało po śmierci ukochanej, bo wszak czas goi rany, „czas nas uczy pogody”. Potrzeba zatem upływu lat, by pustka po odejściu człowieka nie była już tak bardzo dotkliwa. Na tylnej stronie książeczki zamieszczono trzy ciekawe komentarze *Z listów od Przyjaciół / przy komponowaniu tego zbioru*, spośród których jakże trafne są słowa Piotra Szewca: „Jakże to szczególny Twój tom, piękny i straszny, gorzki i rozdzierający, ale i wy-

pełniony oceanem Waszej miłości, szczęścia w szczęściu i wierności w nieszczęściu... Na pewno trudno go było ułożyć". O, tak, z pewnością niełatwo było skonstruować taki zbiór, a i sprawia opór lektura tych utworów – bo czujemy emocje poety, jesteśmy z nim całym sercem, nasza empatia podąża śladem tragedii Krzysztofa Lisowskiego.

Piotr Szewc zwrócił uwagę na ważną kwestię – ton miłosny tych szczególnych notatek autora *Zaginionej we śnie*. Tak, to główny temat tego tomu, piękny związek dwojga „ludzieńków”, miłowanie aż do śmierci, do kresu, bycie na dobre i na złe, obecność w zdrowiu i chorobie. Zbiór jest rozczulającym dowodem na istnienie tego szczególnego uczucia – które sprawia, że dwie osoby myślą o sobie i o sobie dbają, troszczą się nawzajem. Dwie wielkie sprawy ludzkiego żywota, dwa wielkie tematy ludzkiej kultury – miłość i śmierć, znalazły niezwykle spełnienie w książce krakowskiego artysty. A właściwie trzy – bo tym ostatnim jest tytułowy czas.

A zatem: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wierzchołki trójkąta egzystencji człowieka, punkty na linii świadomości temporalnej, doświadczenie czasowości przez podmiot dywidualny. Odczuć przepływ czasu, wspominać dzieciństwo i młodość, dać się ponieść wspomnieniom przeżytych wspólnych chwil – to wszystko zapisane przez Lisowskiego w sposób trafny, sugestywny, niezwykle, przejmujący i artystycznie udany. Jak w liryku *Będziesz ze mną dopóki*:

tego wieczoru pomyślał –
przepelnia mnie słodka
przeszłość Twoja i moja
ukryłem ją głęboko pod skórą
mogę przekraczać najlepiej strzeżone
granice
a nikt jej nie znajdzie

jesteś i będziesz ze mną dopóki
niepamięć nas nie rozłączy
noc zimnych godzin
ogień i szkło gwiazd
utrata utraty

5–13 grudnia 2023

Bowiem to także tom wierszy o pamięci, o zachowywaniu w myślach obrazów przeszłości, o wspomnianiu wspólnych chwil, jak w liryku *Po zmroku*:

Po zmroku jesteś wszędzie
Ale teraz może tam
Na dużym tarasie
Pałacyku przy via Garibaldi
W Trapani na Sycylii

Robisz to co zwykle
Podlewasz spragnione rośliny
Zapomniane przez gospodarzy

Wypiliśmy wino
Zjedliśmy kolację
Poczytałaś wcześniej *Il Gattopardo*
Lampedusy

Wszystko to było tamtego lata
I wielkie małżeńskie łóżce
Z muslinowymi zasłonami

I nasze nagie stopy
Radosne czułe
Obok siebie

26–27 października 2023

Trzeba czasu zatem, by utrata już tak nie krwawiła, by z tej rany nie sączyła się ropa, a *exsudatum* pomagało w zagojeniu. Poezja pomaga w terapii, literatura daje – choćby kroplę – ukojenia. Czytelnik wierzy autora *Próby obywatelstwa* odczuwa wzruszenie, kiedy czyta:

Gdzie jesteś Anulko Ogrodniczko
Twój nieplewiony ogródek
Pogrąża się w mroku

25 września 2023
(Ogrodniczka)

Trzeba czasu to tom wierszy pełen smutku, tęsknoty, żalu, ale i miłości, przyjaźni, wspomnienie piękna życia we dwoje, zapis losu dwojga ludzi, którym choroba i śmierć przerwała wspólną przygodę wędrówki przez ziemski chronotyp oraz przestrzeń – tę bliższą i dalszą. To książeczka o nagle wybuchłej, bolesnej i złej samotności. Opowieść Krzysztofa Lisowskiego o zimnym, okrutnym świecie choroby i śmierci na długo zapada w pamięć.

Paweł Tański

Krzysztof Lisowski, *Trzeba czasu*, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2024

Jama cudzego życia

Połowa lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku: Krzysztof Iwaszkiewicz, student warszawskiej Akademii Medycznej przywiózł z wakacji w Europie wśród innych książek trzy szare tomy i wykrzykuje nad nimi z zachwytu: cudo, cacko, arcydzieło! – bierz i czytaj. Rzeczywiście, przewrót i zwrot, chociaż nie tak wielki jak u niego, bo ja, student toruńskiej polonistyki, byłem z Gombrowiczem wstępnie zaznajomiony, także przez Jerzego Andrzejewskiego.

Dziś to już inna lektura. Widzę wyraźnie, jak na pierwszym planie siebie wywyższa, a innych pomniejsza, upraszcza, wypacza. Co to? Agitka, propaganda, PR? Nie wie, że przecież można to odkręcić w drugą stronę, skierować przeciw niemu i olbrzyma nieco, a nawet znacznie pomniejszyć?

„Geniusze! – wykrzykuje – Do cholery z tymi geniuszami!” Odrzuca największych w literaturze powszechnej i polskiej, a jakże, bo to on jest geniuszem, nad nimi, nie od parady i nie do cholery.

Jednak to za łatwe, nazbyt jednostronne, napompowane, sztuczne, wymyślone, raz po raz jednostajne, a fragmentami fałszywe i niemądre.

Wychwalać innych? – nie. Siebie wychwalać? – tak, tak, tak, ochoczo, z wigorem, bez umiaru i bez ustanku. Na piedestale, wyniosłe, jakby z przymusem, narzucając się, chełpiąc, aż do znudzenia.

Jednocześnie destruktor i konstruktor. Przeciw innym i za sobą, upozowany na

wolnego ptaka „niewolnik efektu”. A przecież podkreśla, że „Literatura jest damą surowych obyczajów i nie należy podszczypywać jej po kątach”, jest „wynikiem ostrego, twardego rozwoju jej twórcy [...] i musi dążyć do zaostrenia życia duchowego, nie zaś do takiej pokątnej tolerancji”.

Jak on sam ma się do tego? We mnie w każdym razie nie wzbudza to zaufania. Coś zataja, zakrywa, zamazuje i przerabia. Imituje głębię i wzniosłość, czy emituje kompleksy? Pokazuje linie poziomu i możliwości, jakie rzeczywiście ma?

W czym sęk? Jaka tu jest praca ducha? I jaki rozwój? Jasne to czy niejasne w tym pisaniu?

Jest w nim, jak określa Miłosz, jakaś „nihilistyczne pułapka”. I nijak nie da się powiedzieć tego, co on mówi o Miłoszu, że jest „pierwszorzędną siłą”, pisarzem o „jasno określonym”, wysokim zadaniu i należy do tych „nielicznych, których słowa mają znaczenie”.

Gdy czyta się go dłużej, to ma się ochotę nim zaatakować jego i zobaczyć, jakie widowisko z tego wyniknie. Drażni go łatwość publicystyki literackiej, ale przecież czym jest fragmentami i to przecież nie krótkimi ten *Dziennik*? Wyskakuje z niego felietonista, pouczacz i komedian. A obok fragmenty mocnej prozy.

Opisuje: „Wtem ukazuje się w polu mego widzenia istota analogiczna, a jednak nie będąca mną – ta sama zasada wcielona w obce ciało – ktoś identyczny, a jednak obcy – i ja doznaję jednocześnie cudownego uzupełnienia i bolesnego rozdwojenia. Ale nad wszystkim góruje

jedno objawienie: stałem się nieograniczony, nieprzewidywany dla siebie samego, pomnożony we wszystkich możliwościach swoich tą obcą, świeżą a jednak identyczną siłą, która zbliża się do mnie jak gdyby to ja sam do siebie przybliżał się z zewnątrz”. Nieświadomie, a może świadomie, mówi tu o istocie literatury, jej głównym, zasadniczym znaczeniu, tak to widzę, nie raz tego doświadczyłem: „w związku z drugim, konkretnym człowiekiem (poetą, pisarzem, dopisek mój – K. M.), ja w związku z tobą i z nim. Człowiek przez człowieka. Człowiek względem człowieka. Człowiek stwarzamy człowiekiem. Człowiek spotęgowany człowiekiem. Czy to moje złudzenie, że widzę w tym utajoną nową rzeczywistość?”.

Ogłasza, że wywodzi się z Montaigne’a i Rabelego – to są wysokie i wymagające powiązania.

Nie wojuje z katolicyzmem, to dla niego byłoby zbyt prymitywne. Ogłasza: „Z katolicyzmem głębokim, tragicznym nietrudno porozumieć się dzisiaj, albowiem zawiera on tę treść emocjonalną, która i w nas rośnie, gdy spoglądamy na rozwyrzenie świata” i dodaje: „szukać punktu gdzie Boskie schodzi się z ludzkim, gdyż od tego zależy cała przyszłość mojego myślenia”.

Stwierdza, że jego *Dziennik* jest nie-szczyry i ta nieszczerłość go męczy, czuje, że stacza się w publicystykę. Megaloman? Parodysta? Raptownik? Zgrywa się? W manierę wpada? Stylista to czy stylizator? Jeden, drugi i trzeci – jako *ja*. I jeszcze kolejny i kolejny – jaki?

Polemizuje z Radzywińską, Winczakiewiczem, Straszewiczem, Goetlem, Łobodowskim i przeróżnymi innymi. Ale jakoś za ciasne to, za wąskie, jak pary bucików ze sklepu Ostende.

Wyolbrzymia, nadyma się, powiększa i upiększa, najczęściej przecież ponad stan. Ale jaki jest jego stan i jakie miary? Prowokuje czy narzuca się? A może i jedno, i drugie lub jedno przez drugie i na odwrót?

Mówi, że „Przetworzenie to kluczowe słowo sztuki”. Gra to gra, a rzeczywistość to rzeczywistość. Na siłę chce być oryginalny? Figle płata, kazania głosi czy wykłady? Miętus mówi nim, przez niego Syfon czy jednak Pimko? W liście do Jeleńskiego wyznaje: „Jestem rozproszkowany... Pocięszam się, że kiedyś może, powolutku, stopniowo zdołam wprowadzić ten dziennik we właściwe rejony i nadam temu procesowi ugniatania i kształtowania mej publicznej istoty odpowiednią ostrość”.

Na początku 1955 roku umieszcza krótki zapis o swoim życiu erotycznym, a przecież mamy już o ile dłuższą relację w *Kronosie*. Jeden, drugi i trzeci Gombrowicz: ten z *Dziennika* i ten z *Kronosa*, ten z listów do Rodziny i ten z listów do Giedroycia, i z innych listów, ranny, dzienny, wieczorny i ten nocny.

Inne *Dzienniki*: Kafka – największe wrażenie, Mann, Jünger, Francuzi: Constant, Goncourtowie, Mauriac, Claudel, Gide, Julien Green, z Rosjan Tolstoj i Dostojewski, u nas Dąbrowska, Nałkowska, Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Mycielski, *Rok myśliwego* Miłosza, Herling-Grudziński, Mrozek,

Chwin i cały stos innych. Jak on lokuje się wśród nich?

Jego argentyńskie układanki, i europejskie, na dystans, a potem bezpośrednio, z bliska. Jedno grono, drugie i trzecie. Marzenia, zwierzenia, przekraczanie, wycofywanie, mgła. Mało co rozwiązane – w nim, na zewnątrz niego i pomiędzy. Ale mówi, że nie rozwiązywanie problemów jest ważne, lecz ich stawianie i w miarę sił rozbudzanie, rozpowszechnianie, uważnianie, bo i tak: „Wszystko jest uzależnione od efektu jaki wywoła” i to określa całą jego „produkcję pisarską”.

I znowu ciekawy, kapitalny trop dotyczący literatury, bo tak go zawężam, a właściwie rozszerzam, uniwersalizuję: mówi, że ktoś inny użycza mu siły – na pewnej wysokości inny pisarz i wyżej, najwyżej: Bóg. To, co dzieje się między nim a mną, a potem Nim a mną: „Nie tylko ja nadaję sobie sens. Także inni nadają mi sens. Ze starcia tych interpretacji powstaje jakiś trzeci sens, który mnie wyznacza”. W jedną lub w drugą stronę. Jeżeli kogoś nudzi historia, którą ktoś opowiada, to dowodzi, że nie umie „odczytać z niej własnej historii”.

Czyż tak nie jest? Nie jest tak? Jeżeli nie jest się kimś, nie pracuje ostro nad sobą, nie rozwija się, to ruch zarówno w jedną, jak i w drugą stronę jest znikomy, zablokowany, prawie niemożliwy.

I koniecznie: bezwzględny, jak najściślejszy związek z rzeczywistością. Ten, kto buja w obłokach lub lewituje i lawiruje w wirtualnym świecie, niewielkie ma w sumie możliwości. Atmosfera nie-

rzeczywistości to, jak mówi, partactwo, zacządzienie, łatanina, chowanie głowy w piasek – nie postęp, ale wsteczność, anachronizm.

O poetach Skamandra pisze, że gdybyśmy ich wszystkich usunęli z naszego życia duchowego (używa tu tego pojęcia na serio), „nic by się nie stało, nie spowodowałoby absolutnie żadnej zmiany”. A co by się stało, myśląc *a rebours*, gdybyśmy tak usunęli z naszego życia duchowego Gombrowicza – to co by się stało? Miłosza gdyby usunąć, Becketta... – zgroza! Ale jego?

Kłamstwa, konwenansy (sic!), stylizacje, pędy, zapędy i napędy tego *Dziennika*, jego wewnętrzne i zewnętrzne wibracje, szarpaniny, odparcia, natarcia i zaparcia, pęknięcia, klejenia, zamazywania i tuszowania. I nagle nad nim, jak znak z jasnego nieba – Simone Weil i jej życie wewnętrzne. Dwa przeciwne bieguny.

Fragmentaryczność Weil i fragmentaryczność Gombrowicza. I to, jak ona przez Boga łączy się z drugim człowiekiem, a jego z Nim – „...taki skok w Niebiosa po to aby przeskoczyć o dwa metry z własnego ja na cudze?”

Jak ma się do tego cała jego dyalektyka? Czy nie dosyć wodniście? Więc przegaduje, przygaduje, w niedojrzałość się wikła i kontruje ją raz po raz lepszą lub gorszą dojrzałością. Egzystencjalizm, Polska, marksizm, socjalizm, kapitalizm, „kłamstwo, kłamstwo...”. Argumenty, kontrargumenty, krytyka, odwilż, styl, *modus vivendi* etc. Po co w to aż tak wchodzi, z uporem brnie i brodzi w tym?

I zaraz lekki jak piórko *Diariusz Rio Parana*, znowu kawałek znakomitej prozy – płyniemy! A obok sto pięćdziesiąt stron przypisów, not, adnotacji, spisów, indeksów!

Dalej, tom drugi. Czy jest to poczęte choćby z odrobiny ducha, czy li tylko z ciała, z głowy? I czy fragmentami znowu nie jest niewymagające większego wysiłku, bo im dalej w las, tym tu łatwiej, znanej, przewidywalnej, swobodnej, a nie bardziej skomplikowanej, zaskakująco, wiążąco, ostrzej. Formując siebie, także i deformuje. Awansując na szczyt, wywyższając, degraduje.

Co znaczy, gdy mówi, że zawsze, do końca dni, a także umierając, będzie po stronie Boga, choć nie wierzy? Każe nam siebie wielbić, a obok zapisuje, że „przymus uwielbienia jest parafiańszczyzną”. Napomyka, że jeżeli jego egzystencja jest satyrą, to i to, co pisze, jest satyrą.

W śróde: „Spacerowałem po alei eukaliptusowej gdy wtem zza drzewa wylazła krowa”. I rzeczywiście jest krowa. Ale obok plaża w Necochei i żuki, niezapomniany kawałek.

Źle mówi o poezji, malarstwie, a nawet o Bachu! Co to? Żarty, zgroza, makabra i masakra? Idzie do malarzy i atakuje: „Nie wierzę w malarstwo (*no credo en la pintura*)!”. Ale w siebie wierzy, o tak, w siebie. Mówi, że toczy wojnę z malarstwem, poezją wierszowaną i całym środowiskiem malarzy, poetów... Na serio to mówi czy na niby? Nie lepiej, żeby zaczął toczyć wojnę z sobą, na przykład ze swoją niewiarą, nie za ostrym rozwojem i wyszedł

sobie naprzeciw, z przodu, nie z boku, nie z tyłu, ale twarzą w twarz, stanął naprzeciw siebie?

A tak niestety natrafiamy na różne, o zgrozo, banialuki i dyrdymałki. Naskakuje na Prousta, ale w tej swojej jamie, nieco przyozdobionej, nieco skłamaney, co odslania na przykład w zapisie o wspianym płaszczu i portowej knajpie, co w *Idzie skacząc po górach* wykorzystał Andrzejewski. Głosi kult ciała, uświęcenie poprzez ciało, staczanie się w nie, ciągle, bez wytchnienia, w dół, ku dołowi i ogłasza, że jego „namiętność, grzeszność, ciemność” bardziej mu są cenne niż jego światło! Ale jak to traktować, gdy kilkanaście stron dalej czyta się: „Ze mną nigdy nic nie wiadomo. W każdej chwili mogę powiedzieć głupstwo, albo skłamać – w ogóle, wystrychnąć na dudka. Ze mną nie ma żadnej gwarancji. Jestem drań – lubię się zabawić – i gwizdę – gwizdę – gwizdę... na was i na moje nauczanie”.

Ale przecież i my możemy gwizdać – gwizdać – gwizdać... On siebie i nas, a my jego. Nie wyobrażał sobie tego? Przygryza, dogryza i nie boi się, że ktoś mu się odgryzie i to nie raz? Dosiada swojego konia i nie liczy się z tym, że ktoś inny może dosiąść swojego?

I znowu gaduszki, pogaduszki, uśmieszki, zapiski, ciekawostki i nagle: „Ja bardzo boję się diabła. Dziwne wyznanie na ustach niedowiarka. Od idei diabła nie jestem w stanie się uwolnić... To błąkanie się straszności w najbardziej bezpośrednim moim pobliżu. [...] Potwór przechadza się wśród nas swobodnie i nic nas przed nim

nie chroni, nic, nic, żadnej zapory między nim a nami. Ręka jego wśród nas swobodna, jak najswobodniejsza!”. Oho, świetny fragment, mocny, metafizyczna szczelina i dreszcz, prześwit na.

Żali się, że ani przez sekundę nie może sprostać całości, żyje tylko fragmentami, ułamkami. Ale jak byłoby na odwrót: sprostać fragmentaryczności, istotnie żyć tylko fragmentem. A może uważa, że to już osiągnął? On, z tym wirem wewnątrz siebie, w sobie, w rozproszeniu, mgławicy, tumanie, popłochu, którym jest, jak w pułapce lub nie jak: w pułapce.

Błądzi, szuka, trzusi się na peryferiach, pograniczu i w centrum, próbuje coś budować – ale co buduje, co chce zbudować, dla kogo i po co? Nie zgadzam się z nim, jestem jego antytezą, chociaż fragmentami mnie zachwycą, wzbudza podziw, duże robi wrażenie.

„Kto zacz – pajac? Kpiarz? Mędrzec? Oszust? Odkrywca? Blagier? Przewodnik? A może on jest tym wszystkim naraz?” I bądź tu mądry! Ale inteligentny czytelnik już swoje wie: „Dość błogiej drzemki na łonie wzajemnego zaufania. Czuj duch! / Czuwaj! / I czołem, dudki!”

Rozdział ostatni, z Simonem, śliska i ryzykowna historia. Zwierz, dziecko, krzyk, ból, tygrys i czas. Z dołu w dole, „rozdwojone i podwójne”, wymieszanie, łechtanie i Zwierzęcie, ich piekielna *kombinacja*.

Jest ciasny, uwiera, nazbyt, nie ma w nim i wokół niego potrzebnej mi przestrzeni, a w niej myśli i uczuć, które byłyby większe od niego, rozleglejsze, głębsze, wyższe, nie tak jak on preparowane, zro-

bione, wychuchane, wyśpiewane i wymalowane. On jest jak James Bond: w jakie tarapaty by się nie wdał, z którego piętra by nie wyskoczył, to i tak od początku wiadomo, że mu się uda, przeżyje i jego będzie na wierzchu, przynajmniej w zapisie, w tej klatce jego, na niego misternie skrojonej, dopasowanej i przypasowanej, zrobionej na pewno tak, jak należy. Ale to nie dla mnie, a już na pewno nie na dłuższą metę.

Przeciw Sienkiewiczowi, Przeciw poetom, ogólniki. Przeciw Gombrowiczowi by napisał – ale po co? Przecież wpisał już ten tekst w tamte. O Brunonie Schulzu mówi, że „nie zdołał osiągnąć uduchowienia”. A on zdołał?

Zastanawia się, jaki rodzaj nieskończoności proponuje nam Bóg i stwierdza, że jest ona „wewnętrzna”, „zawarta we własnym łonie” – to ciekawy obraz, przywołujący wieczność.

Zablokowany sobą, w sobie, zaszpuntowniany. I znowu na chodzie, w ruchu, naciska i przyspiesza, prze do przodu, jak taran, naprzód!

Artyzm? Intelktualizm? Duchowość? Co tak naprawdę jest w jego pisaniu? Dowcipy, gawędy, gadania, gadki i pogawędkę, rozleniwienie... rozluźnienie... spięcie... co jeszcze?

Wyjeżdża, przyjeżdża, zasypia, budzi się, pisze, nie pisze, zadaje się z tym lub z tamtym albo się nie zadaje. Jakby to samo, „wciąż to samo!”, w zmieniających się dekoracjach, pejzażach, nastrojach, widzeniach i przywidzeniach. Co nowego czyta, czego słucha, jak pracuje?

Pisze o Brzozowskim, o którym Miłosz napisał ważną książkę. Wiele w nim jest z Brzozowskiego, chociaż dystansuje się od niego. Przypomina się Pasek, Kitowicz, Rzewuski i z dwudziestolecia Irzykowski. Męczy się, milczy, karykaturuje. Stoi czy nie na wysokości zadania?

Mówi, że jego prawda i jego siła „polegają na nieustannym psuciu sobie gry”. Fakt, że psuje ją innym, ale czy sobie? Pojawia się Wittlin, Borges, ale nic na przykład o Beckettcie.

Przybywa do Berlina (1963). Kim teraz jest, to jego ja – on? Na statku widzi siebie płynącego przed laty w drugą stronę i myśli, że „dla tamtego ja jestem tutaj prawdopodobnie taką samą zjawą jak on dla mnie”.

Barcelona, Cannes, Paryż, Maisons-Laffitte. I co? Ciska. Spacery, wywiady, kolarce, przejażdżki, telefony. Luwr, Sartre, Genet (na odległość). Jaki jest? Młody czy stary? Nagi czy ubrany? Zrobiony czy na gwałt robiący się? Przekorny, upiorny, rozbawiony, umęczony, żyjący, umierający?

Zbliżamy się do końca. Rita, Vence (1966), dwadzieścia kilometrów od Nicei.

Robi podsumowania. Sam dla siebie stał się pułapką. Mówi, że jest niesmacznym snobem, niesympatyczny, leniwy. O *Dzienniku*: „Daleki jestem od zadowolenia” i wprost, że to co miało być w nim najważniejsze, nie zostało osiągnięte.

O *Komedii* Dantego... wali w bęben tak, że sam siebie musi stopować, ratować, żeby nie wleźć w głupstwo.

Słabnie, wyraźnie, osiada na mieliznie czy automieliznie. Końcówka (1968–

1969) jest fatalna. Niemoc? Degrengolada? Odkrywanie czy zakrywanie? Mleko się rozlało... a może był to kompot?

Wydanie paryskie (1971) kończy się na roku 1966 i jest to na pewno lepsze rozwiązanie. Zamiast rozwoju – regres. Dla porównania patrz na przykład *Rok myśliwego* Miłosza; u Andrzejewskiego jest literatura, tu głównie wokół niego tan.

Wszystko kręci się wokół niego: Argentyna, Paryż, Ameryka Południowa, Europa, sztuka – dziwne, smutne, śmieszne, wyniosłe, wzniosłe...

Krzysztof Myszkowski

Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, tom 10, *Dziennik 1957–1961*, tom 11, *Dziennik 1961–1969*, tom 12, „Pisma zebrane” pod redakcją Włodzimierza Boleckiego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024

Dziennik za dwoje

Jak wiadomo – mąż i żona, jedno ciało. Tak przynajmniej nakazywała tradycja, dziś już jakby rozmyta przez powstawanie innych niż dwuosobowe kombinacje rodzinne, czego przykładem mogą być choćby rodziny patchworkowe powstające z zawierania, po rozwodach, kolejnych małżeństw, których członkowie, poprzez dzieci, połączone są nićmi pokrewieństw w sposób czasem dość zagmatwany, zaś skutek coraz bardziej liberalnych relacji pozostające z sobą w poprawnych bądź nawet przyjaznych stosunkach.

Narrator *Dziennika życia we dwoje* Stefana Chwina pozostaje w tym względzie wzorcowym konserwatystą, zaś jego więź z żoną oznaczaną skrótowo jako „K.” zdaje się spełniać wszelkie wymogi małżeństwa opartego na wzajemnej miłości i pełnym zrozumieniu, a role, w jakich oboje na kartach diariusza występują, wydają się wskazywać na swego rodzaju wzajemną tolerancję pozwalającą na wypracowanie harmonii łączącej oboje ze światem, w którym przyszło im żyć. Toteż nie dziwi otwarcie opowieści dość stanowczym wystąpieniem K.: „– Ja ci tego nie wydam! [...] Jak ty piszesz o ludziach w tym swoim dzienniku! Czy ty tego nie czujesz? Przecież wszyscy się na nas obrażają!”. Dbałość o relacje narratora ze „wszystkimi” wydaje się być jednym z głównych dążeń żony i zarazem wydawczyni książek narratora: staje się ona, za sprawą redakcyjnych korekt, współautorką tych utworów. Jej zaangażowanie w zakorzenienie samotniczo usposobionego pisarza w życiu publicznym, troska o jego obecność wśród innych, wśród owych „wszystkich” sprawia, iż jest ona nie tylko redaktorką pisarza, ale też jego agentką.

Bardzo skrótowo wyłożył rzecz poeta Antoni Pawlak w anegdocie, która akurat w trakcie mojej lektury *Dziennika* ukazała się na FB: „W roku 1999 spędzaliśmy sylwestra w oliwskim Pałacu Opatów. To był huczny sylwester, taki na kilkadziesiąt par. Goście siedzieli przy czteroosobowych stolikach. My z żoną wylosowaliśmy Chwinów. Albo oni wylosowali nas – nie pamiętam. Przez cały wieczór gadaliśmy

z Krystyną, przerzucaliśmy się anegdotkami, żartami. Śmiało się. Jednym słowem – świetnie się bawiliśmy. Stefan w tym czasie milczał głęboko zanurzony w sobie, czasami tylko rzucając okiem na roztańczoną salę. Przez kilka godzin nie wypowiedział ani słowa. W pewnym momencie, na jakiś kwadrans przed wzniesieniem noworocznego toastu, Krystyna spojrzała na męża: Stefcu, jak się bawisz? – zapytała. – Świetnie – odpowiedział Stefan. I wygląda na to, że była to prawda”.

Wygląda na to, że Chwina bawi samotność w tłumie. Ale też podobną postawę zachowuje narrator spisywanego przezeń diariusza, w którym zresztą nie lata czy miesiące się liczą, lecz raczej dni i godziny oraz okoliczności i zdarzenia, jakimi są wypełniane, ale których realność, a zatem i ich funkcje pozwalające obserwatorowi odczuć więź ze światem i tym samym uniknąć w nim wyobcowania, gwarantowana jest przez obecność partnerki: „Wszystko to widzę i opisuję, ale nie potrafię opisać tego, co najważniejsze – bez Jej obecności. Jakbym od naszego pierwszego spotkania żył w ciepłym, przejrzystym obłoku spokojnej pewności, że Ona jest zawsze po mojej stronie, nawet jeśli nikt nie jest po mojej stronie. To dzięki Niej samotność znam tylko ze słyszenia”. To zaś, że Ona wymyka się opisowi, a jednocześnie stanowi podstawowy punkt odniesienia w dążeniu do samookreślenia się narratora, wydaje się jednym z najistotniejszych problemów całej opowieści o życiu, czyli Istnieniu uważanym przez

wykreowanego tu pisarza za jedyny niepodważalny pewnik, z którego wyprowadzić może istotę relacji ze światem, z Bogiem czy ze śmiercią. Ta ostatnia zresztą też stanowi przedmiot uwagi zarówno jako problem egzystencjalny, jak i metafizyczny – powraca w różnych konfiguracjach – w odniesieniu do odejścia osoby bliskiej, matki, jak również wówczas, gdy pisarz snuje refleksje dotyczące właśnie zmarłych znajomych, a wreszcie w odniesieniu do własnej śmierci: w tym wypadku traktuje ją jako kres ostateczny, a zatem zapisuje: „od dziecka nie umiem bać się śmierci. Taka to już moja przypadłość. [...] I tak oto ja i K. jesteśmy w naszym spotkaniu ze śmiercią do siebie zupełnie niepodobni. Ona szczerze wzrusza się za każdym razem, kiedy ktoś odchodzi. Moje oczy są suche. Chłodno komentuję zdarzenie, po cichu zazdroszcząc zmarłym, że się tak sprytnie urządzili”.

Jak dalece można przyjąć, iż sentencją, która zdaje się rozświetlać narrację tworzoną przez Chwiną, jest *memento mori*? Najpełniejszą odpowiedź przynosi zamykający książkę *List do Jerzego Jarzębskiego* (listów zresztą do koleżanek i kolegów po piórze, jest w książce więcej), zmarłego w lutym 2024 roku krytyka i badacza literatury, którego twórczość, poczynając od *Gry w Gombrowicza*, książki w okresie publikacji niezwykle popularnej, a przecież oddziałującej po dzień dzisiejszy, stanowi swoisty dialog z autorem *Ferdydurke*, podobną zaś grę proponuje Chwin w *Dzienniku* we fragmencie, w którym zdaje się rzucać wielbicielom pisarza, uwiedzionym

przez niego gombrowszczaków i jemu samemu wyzwanie dotyczące kwestii związanych z doświadczeniami wyłożonymi w tytule wygłoszonego przezeń wykładu *Gombrowicz i demokracja liberalna*, otóż w liście tym podnosi autor kwestię znico-
mości znaczenia literatury, tego więc za-
trudnienia, któremu się poświęca: „Ważne jest, że piszesz, a to, że żaden z tego ślad nie zostaje, żadnego znaczenia nie ma. Do tego dochodzi całkowity brak lęku przed śmiercią. Od dzieciństwa zupełnie nie bałem się tego, że zniknę bez śladu. Przeraża mnie nie śmierć, lecz umieranie w niedołęstwie choroby i starości oraz to, że kiedy któregoś dnia nieodwołalnie umrę, moja śmierć może zranić moich bliskich”. Znaczenie ma w zasadzie tylko istnienie jednostkowe (przypomina się automatycznie rozprawka Witkacego *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia*). Rzecz dopowiadając do końca: absurd. No bo jakby się miał ten Gombrowicz odnaleźć w świecie, w którym dziś żyjemy: „Jady w nim zmieszane, rozmaite płynęły. A tu liberałowie, socjaliści, demokraci, licealiści, kobiety wyzwolone, a nawet konserwatyści oświeceni ciągną go za rękaw w swoją stronę. Nasz on jest! Nasz! Nawet go »Teologia Polityczna« za konserwatystę uważa, jak to oni mówią, zrozpaczonego. Gdyby go kodowcy na swoje sztandary wzięli, to by się roześmiał. Gdyby »dobra zmiana« jego sarmatyzm wzięła sobie za hasło, tylko by ramionami wzruszył”. Jak widać referat Chwina, bo zapewne o jego autentyczne wystąpienie tu chodzi, docze-

kał się w *Dzienniku* entuzjastycznego komentarza okraszonego uwagą: „Ale z głębi uniwersyteckiego korytarza, na którym jemy przekąski z talerzy, lustrując mnie chłodne, nieprzyjemne twarze warszawsko-ibłowskie. O, są i tacy, co by mnie chętnie wzięli pod obcas za to moje gadanie o Gombrowiczu i Polsce”. Nie bez powodu jednak w dalszych partiach *diariusza* eksponuje narrator – zamykając tą wypowiedzią jeden z fragmentów – reakcję K. słuchającej jego wypowiedzi: „Po mojej przemowie K. przygląda mi się uważniej: – Ale powiedz no mi, dlaczego ty tak często powtarzasz słowo »ja«?”. Rekontry, i słusznie, adresat tych słów nie wygłasza... Natomiast mógłby otworzyć pierwsze fragmenty *Dziennika* Gombrowicza i dodać: – Dlatego.

Być może dzienniki pisarskie powoli odchodzą w zapomnienie: zastępowane przez internetowe blogi i inne, mniej czasochłonne i bardziej reaktywne formy ludzkiego współbywania. W każdym razie trzeci już tom tych zapisków Chwina – rozpoczętych w 2004 roku publikacją *Kartek z dziennika* i dopełnionych cztery lata później *Dziennikiem dla dorosłych* – stanowi nie tylko dokument czasu, w którym przeszło autorowi żyć, lecz jest także, a może przede wszystkim próbą wypracowania własnej formuły tego typu narracji. Pomysł, jak sądzę, jest dość szczęśliwy: słowo „ja” zastąpione jest słowem „my”, a właściwie – by odwołać się do formuły Martina Bubera – słowem „ja-ty”, które w jego koncepcji filozofii języka ma stanowić pierwsze słowo człowieka. W ten

oto sposób pozwala to autorowi uniknąć monologowej tonacji charakteryzującej osobiste dzienniki, niezależnie od tego, czy mają one charakter intymny, czy też od razu przeznaczone są do publikacji. W tym ujęciu narrator tego tekstu pojawia się przed czytelnikiem (a i przed czytelniczką też) pochwycony w cudzysłów „literackości” i przyznam, że jest to chwyt przynajmniej dla mnie przekonujący. Tak powstaje tu świat według „Chwina”, zaś wypowiedzi narratora – ach, wszyscy poloniści pamiętają winni przecież o nieutożsamianiu autora z narratorem, co w wypadku dzienników wymaga specjalnej czujności – niekoniecznie muszą być wyrazem postawy Stefana Chwina, współautora napisanej i wydanej w roku 2000 wraz z Krystyną Lars, a niemal już zupełnie i niesłusznie zapomnianej książeczki *Wspólna kąpiel*, opisującej świat i historię Polski z perspektywy formuły „co by było, gdyby”.

Przyznam, że lektura *Dziennika we dwoje* sprawiała mi autentyczną przyjemność, choć, bywało, nużyły mnie zbyt w moim przekonaniu drobiazgowo opisy mijanych po drodze pejzaży, ale to być może już moja przypadłość: nie jestem miłośnikiem drobiazgowego opisywania detali, choćby nawet najpiękniejszych, którą to postawę zresztą pochwylił narrator w zgrabnym aforyzmie: „Zachwyt jest zawsze formą kapitulacji”. Z drugiej jednak strony szereg poczynionych tu spostrzeżeń i rozpoznań dotyczących zarówno osobniczego, jak i społecznego życia, choć często skłania do zgody, rów-

nie często pobudza do dyskusji bądź nawet do sporu – lecz czemu się nie spierać, być może spór to esencja naszych wzajemnych relacji? – co bez wątpienia stanowi tego tomu dodatkowy i trudny do przecenienia walor. By jednak podjąć takie działania, musiałbym rozbudować tę recenzję do rozmiarów traktatu. Co zaś do wagi naszych spraw, z którymi się borykamy i potrzeb, jakie chcemy zaspokajać, radzę przeczytać zapis z czwartku o godzinie 15.53, a opatrzone tytułem *Jak sobie radzić z sensem życia. Porada dla Samuela Becketta*. Wydawcę zaś, czyli wydawczynię upraszam uniżenie, jako bibliograf, by w „stopce” informacyjnej zechciał(a) odnotowywać miejsce i rok publikacji.

Leszek Szaruga

Stefan Chwin, *Dziennik życia we dwoje*, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2024

Wariacje na temat niepodpisanego cyrografu

Inspiracją i punktem wyjścia dla eseju Aleksandra Fiuta *Wariacje faustyczne* poświęconego motywom faustycznym w twórczości Czesława Miłosza jest krótki tekst poety zatytułowany *Cyrograf*.

W dawnej polszczyźnie słowo to oznaczało „dokument własnoręcznie napisany lub co najmniej podpisany” oraz „zobowiązanie płatnicze, kwit dłużny, umowę kupna”. Cyrograf w znaczeniu dokumentu pieczętującego pakt z diabłem pojawia się

w początkach epoki nowożytnej. Wtedy to, jak czytamy w eseju, wywodzące się ze średniowiecznej kultury ludowej tradycje widowisk jarmarcznych (postać diabła, elementy czarnej magii) zaczęły przenikać do literatury: od szesnastowiecznej niemieckiej opowieści o doktorze Fauście i dramatu Marlowe'a, aż do *Fausta* Goethego. Motywy faustyczne znajdziemy również w kulturze polskiej, na przykład w *Balladach i romansach* Mickiewicza.

Cyrograf Miłosza nawiązuje bezpośrednio do tej tradycji. Pakt przypieczętowany „krwią z rozciętego palca” określa wysoką cenę za „dokonane dzieło”. Naznacza ona życie bohatera tekstu – możemy uznać go za *alter ego* poety – bliżej nieokreślonym, choć przerażającym piętnem. A jednak, choć, jak pisze krytyk, „cyrograf to sprawa poważna”, Miłosz wydaje się traktować motyw z ironią. Jego cyrograf jest nie tyle niepotrzebny – bohater, bez względu na konsekwencje i tak dokonałby wyboru, co fikcyjny – okazuje się przede wszystkim motywem literackim służącym poecie do wyrażenia własnych przeczuci na temat ludzkiego losu. To, co wydaje się pozostawać dotkliwie rzeczywiste, to cena, którą płaci on – czy też może każdy prawdziwie genialny artysta – za dar tworzenia, poświęcenie się dziełu. Do tematu piętna naznaczającego twórcę będzie powracał Miłosz wielokrotnie.

Lektura *Wariacji faustycznych* pomaga nam odkryć istotne znaczenie mitu faustycznego dla twórczości poety. Faustyczne jest pragnienie absolutnej wiedzy i poznania, a także sny o władzy i potęgde.

Faustyczna jest samotność geniusza wyniesionego ponad tłum. Faustyczne są motywy upadku, zbawienia i wiecznej kobiecości postulowanej przez Goethego. Jak również postacie diabła (przedstawianego przez Miłosza w sposób parodystyczny, zgodnie z tradycją ludową, lub też w roli złośliwego demiurga, twórcy materialnego świata, którego piękno przesłania okrutną prawdę o obojętności na los pojedynczych istot żywych naturze). Motywy te, stanowiące podstawę jego własnych „wariacji faustycznych”, są przecież stale obecne w twórczości poety i mają dla niej kluczowe znaczenie.

Aleksander Fiut wprowadza nas w tematykę eseju, zaczynając od omówienia *Cyrografu*. A następnie proponuje chronologiczne odczytanie motywów faustycznych przede wszystkim w utworach poetyckich Miłosza: od wczesnych wierszy i poematów (*Powolna rzeka*, *Brama wieczoru*, *Brama poranku*), gdzie zarysowuje się między innymi motyw wiecznej kobiecości – bez wątplenia inspirujący liczne portrety kobiece u Miłosza, przez twórczość powojenną (*Traktat moralny*, *Traktat poetycki*, *Faust warszawski*) i późniejszą (wiersz *Poeta siedemdziesięcioletni*), aż po utwory z ostatnich tomów (*Zanurzeni*, *Daemones*).

Motywy paktu ze złem i ekspiacji za popełnione zło pojawiają się, między innymi, w *Fauście warszawskim*. W tytułową postać wciela się Tadeusz Kroński: bohater powodowany strachem przed utratą pozycji społecznej wybiera służbę w machinie stalinowskiego terroru. Ko-

lejnny istotny temat: sztuka jako wyraz skazy, artysta jako osobowość niepełna, anormalna. Ceną za osiągnięcie artystycznej doskonałości jest zło, które wyraża się głównie w wyniosłej obojętności na ludzkie cierpienie. Przywołać tu można opinię Miłosza o poezji Anny Kamieńskiej. Poeta uznaje jej twórczość za podrzędną, bo z założenia „moralną”, a więc „naiwnie” skupioną na dobru. Element zła – wyobcowanie, dystans – jest więc niezbędny dla osiągnięcia artystycznej doskonałości. Czy nie oznacza to jednak, że tak powstała twórczość oddala się nieuchronnie od ludzkiego doświadczenia, nabiera cech abstrakcyjnych? A przecież ekstatyczne przeżywanie piękna świata, wrażliwość na znaki przemijania, czuła pamięć o bliźnich, wielokrotnie wyrażana przez poetę niechęć do abstrakcji zdają się przeczyć takiemu rozumieniu istoty jego własnej sztuki poetyckiej.

Podobnie sprzeczne wydają się obrazy świata naturalnego. W wierszach, w których podmiot liryczny wciela się w „sekretnego zjadacza trucizn manichejskich”, świat przedstawiany jest jako twór ducha ziemi, demiurga. W wielu innych, zjawia się jednak nie tyle jako zapowiedź, co jako kwintesencja absolutnego szczęścia (jak w wierszu *Jak powinno być w niebie*). Dzieło poety obfituje w sprzeczności. A może – by nawiązać do tytułu omawianego eseju – wariacje, które, biorąc początek z tego samego motywu, rozwijają się w różnych kierunkach.

Wariacje faustyczne Aleksandra Fiuta odślaniają przed czytelnikiem jedną

z możliwych dróg przez labirynt twórczości Miłosza, pozwalają odczytać ją na nowo w świetle mitu faustycznego. Niektóre z pytań nasuwających się podczas lektury dotyczą ludowego (i ludycznego) podłoża tego mitu. Jak głęboko jego parodystyczny, czy też „karnawałowy” aspekt obecny jest również w dziele poety? Czy, i jeśli tak, na ile wykorzystał Miłosz teatralny charakter motywów faustycznych, aby przygotować scenę i rekwizyty, dzięki którym jego indywidualne dylematy przeniesione zostały na wyższy, uniwersalny poziom? I wreszcie, czy to nie elementy mitu faustycznego pozwoliły poecie rozpisać najważniejsze role i tematy budujące wewnętrzne napięcie i dynamikę jego okupionego niepodpisanym cyrografem dzieła?

Michał Czorycki

Aleksander Fiut, *Wariacje faustyczne*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2023

Nowy przepływ obrazów

Manual II. Felietony, szkice, portrety z lat 2020–2022 to nowy zbiór tekstów Krzysztofa Siwczyka drukowanych wcześniej na łamach „Polityki”, „Gazety Wyborczej” i „Pulsara”. Książka jest kontynuacją tomu *Manual*, który ukazał się w roku 2020 i zbierał felietony i szkice z lat 2013–2019. Całość składa się z trzech części i anonuuje nam autora *Jasnopisu* jako niestruzonego komentatora naszej rzeczywistości i wnikliwego czytelnika nie tylko

dział poetyckich. Zebrane pod jednym szyldem teksty opalizują różnymi odbłyśkami i układają się w portret człowieka, który z troską przygląda się naszej współczesności. Co ciekawe, czytając całość, dostrzegamy duży potencjał publicystyczny omawianych szkiców, przez pryzmat których poeta jawi się jako żarliwy adwersarz poprzedniego obozu władzy, punktując jego – mówiąc eufemistycznie i kolokwialnie – niedociągnięcia na każdym niemal kroku i nie zostawiając na nim suchej nitki. Jest też sporo geopolitycznych refleksji i choć te konstatacje napawają czytelnika smutkiem („Ukraina to poligon, na którym człowieczeństwo po raz kolejny upada w czas marny, który przespало wcześniej, paktując z petro-rubłami”), wydają się celne i trafione w punkt (mowa głównie o wojnie w Ukrainie). Te teksty interesować będą mnie mniej, chciałbym się skupić na tych momentach, w których Siwczyk komentuje cudze życie i dzieło. Jest bowiem *Manual II* przede wszystkim raptularzem lektur i refleksji czynionych na jej marginesach. Autor czyta sporo i ma wiele do powiedzenia na temat przyswajanych treści. Ta książka to swoistego rodzaju *silva rerum* motywów i wątków. Chciałoby się powiedzieć: czego tu nie ma.

Tom otwiera felieton (wszystkich jest w sumie siedemnaście) poświęcony książce *Pokolenie wyżu depresyjnego* Michała Tabaczyńskiego. Dużo u autora *Median* nostalgii za czasami analogowymi, a pokolenie lat siedemdziesiątych stanowi punkt odniesienia dla czasów ponowoczesnych.

Siwczyk wspomina i opowiada czytelnikowi o momentach węzłowych dla zawiązywania się swojej wrażliwości i tożsamości. Niepokoi go dzisiejszy pędzący na oślep świat, którego ślady ledwo dostrzegamy, bo zaraz nakładają się na nie kolejne. Antycypując nieodległą przyszłość, zastanawia się, czy ona odbywać się będzie w oddziałach onkologicznych i zaburzeń osobowości. W kolejnym felietonie czytamy o tym, że wszyscy jesteśmy bohaterami Różewiczowskiej *Kartoteki*. „Przez nasz pokoik izolacji ciągną tłumy wirtualnych obrazów rozpadu świata, nawiedzają nas dziwni prorocy apokalipsy i równie pokrętni, polityczni szydery, grający swoje kłamliwe partie szachów”. Aby zbudować nowy porządek świata – powiada gliwicki poeta – trzeba nam silnego sojuszu nauki z polityką, a o to bardzo trudno. W ogóle Siwczyk przyznaje Różewiczowi miejsce osobne i często bardzo ciekawie komentuje jego dzieło. Zgadzam się z autorem *Dokąd bądź*, że w twórczości Różewicza datowanej przeszło pół wieku temu znajdujemy w dużej mierze charakterystykę naszej współczesności (również zdaniem Siwczyka wiersze Stanisława Barańczaka z lat siedemdziesiątych nie przestają być aktualne). Doświadczamy rozparcowanego obrazu świata, który nie daje poczucia stabilizacji. Spadamy niejako we wszystkich kierunkach naraz, odwrócenie plecami do źródeł. Przeszłość już nie określa naszej teraźniejszości, ideały odeszły do lamusa, jesteśmy głównie konsumentami przepuszczającymi przez siebie wszystko. W *Larwie Różewicza*, trafiamy na *passus*:

„Wielkość Różewicza jest rodzajem upartej repetycji pacierza nad grobem Boga, człowieka i kultury. To permanentna litania wątplenia w sens mały i duży, niepozbawiona jednak ocalających nut groteski, które wybrzmiewają zwłaszcza w późnej twórczości Różewicza, petryfikującej popkulturę niwelującą nam kartezjańskie dylematy i szekspirowskie dramaty”.

Znajdziemy też w książce autorki, którym poświęcone są po dwa teksty. Mowa o Jolancie Brach-Czainie i Louise Glück. Przyjrzyjmy się im teraz. O *Zimowych przepisach naszej wspólnoty* czytamy: „W nowych wierszach trwa permanentne dochodzenie własnej kondycji psychicznej i próba rozpoznania terytorium pamięci odpowiedzialnej za depresyjną pozycję, jaką owa nieczuła na swoim punkcie narratorka zajęła wobec świata, którego doświadcza naskórkowo, ślizgając się po jego powierzchni z ciężkim bagażem traum i urazów”. Siwczyk czyta autorkę *Araratu* bardzo niespiesznie, cyzelując frazy, zbliżając się do metody *close reading*. Jego rozpoznania są niezwykle przekonujące, osobiste, sensualne. Wszak amerykańska poetka oswaja wierszami krańcowe stadium ostateczności i niepokój, szukając dla niego ciszy, w której drzemią możliwości melodii płynących konsolacyjnym rytmem. Prowadzi nieustępliwie negocjację pomiędzy bólem a nadzieją. Łączy skrajności: matematyczną precyzję wywodu ze wstydliwą intymnością. Pisanie rozumie jako czynienie sobie zadość wobec opresji nieobecności. Drugą wielką obecną jest autorka *Szczelin istnienia*, o której

Siwczyk pisze wprost jako o nauczycielce życia. A o jej książce tak: „Zdarza się – być może raz w życiu każdego czytającego – przewrót o sile kopernikańskich ustaleń. Czasami dokonuje się na mocy współodczuwania z czytany tekst, czasem na zasadzie całkowitego uzgodnienia własnych intuicji ze słowami, które napisał ktoś inny. Takie wypowiedziane przez obcy tekst intuicje czynią człowieka czytającego obezwładnionym, a zarazem wzmocnionym powinowactwem. Każdy człowiek czytający, im bardziej brnie w głęboki las lektur pełen bibliotecznych pnączy, czyha na okazję do takiego przewrotu”. Dla autora *Krematoriów* takim przewrotem było dzieło Jolanty Brach-Czainy.

O kim jeszcze dowiemy się z nowej publikacji Siwczyka? Indeks nazwisk i rozrzut tematyczny jest imponujący. Erudycja budzi podziw. O Adamie Wodnickim, znakomitym tłumaczu i dyskretnym eseiście (ten gatunek jest zdaniem Siwczyka przyszłością polskiej literatury), przeczytamy, że traktował słowo jak życiowy paradygmat, a poezja była mu niezbędna do istnienia. Pozostawił po sobie miejsce, które wciąż czeka na odkrycie. Ewa Lipska jest jedną z najbardziej podejrzliwych obserwatorek procesów historycznych, jakie toczą nasz świat. Z chłodną precyzją przygląda się i dekonstruuje kult jednostki. Jej ironia wymierzona jest w deprymujące człowieka „totalitaryzmy” mowy. Czytamy: „Literatura Lipskiej działa zawsze i wszędzie, w każdych dekoracjach teatru świata skazanego na wieczną awarię. Chciałoby się powiedzieć: niestety”. Urszula Koziół natomiast

bez ogródek opowiada nam o przemijaniu rzeczy i nas samych. Jej poezja próbuje jakoś sprostać stawaniu się, ale wiersze zawsze zjawiają się poniewczasie. Z kolei wersy Piotra Sommera pozwalają nam pogodzić się ze światem. Dzieją się tuż za rogiem, nieopodal, niemalże obok. Są zwyczajne jak sprawy organizujące na co dzień nasz wewnętrzny zamęt. Stanisław Lem jest pisarzem nierozstrzygalnych aporii i wielkich pytań dotyczących statusu Boga w naszej rzeczywistości. A dzieło Witolda Wirpsy modernizuje kanon wiersza polskiego. W ogóle *Wiek Wirpsy* to bodaj jeden z najciekawszych tekstów całego tomu, a Siwczyk jest świetnym egzegetą twórczości autora *Apoteozy tańca*. Tak o nim pisze: „Był kimś w rodzaju laickiego kapłana, który otwiera różne kulturowe tabernakula, by dokładnie przewietrzyć ich spustoszone wnętrza”. Można by ten indeks odczytać dalej rozwijać, ale tryb recenzji ma swoje prawa. Nie zmienia to faktu, że Siwczykowe lektury to minitraktaty o interpretacji. Czyta się je znakomicie.

Jest też kilka tekstów poświęconych książkom krytycznoliterackim i wybitnym znawcom wierszy. Siwczyk czyta Pawła Próchniaka (ostatniego laureata Nagrody im. Kazimierza Wyki), Mariana Stałę czy Piotra Śliwińskiego. Wspomina Ceza-

rego Wodzińskiego, Jacka Łukasiewicza i Ludwika Flaszena. Jest w tych szkicach jakiś rodzaj podskórnego żalu za czasami, kiedy autorytet krytyki nie był narażony na szwank, a inflacja znaczeń nie hulała jak dziś. Czytając wiersze, zwalniamy przecież w sobie przestrzeń do podjęcia cudzego głosu. Obłaskawiamy za każdym razem nowy świat. Na początku doświadczamy słów, potem dopiero przychodzi próba ich zrozumienia. To wszystko ma charakter procesualny i emancypacyjny. To wszystko pomaga nam lepiej być i żyć. Dziś te prawdy wydają się mało znaczyć, niestety. W *trzcinie* znajdujemy fragment: „Myślenie to towar deficytowy, a zdrowy rozsądek z kolei występuje w jednostkach ludzkich w dawkach homeopatycznych”. I jeszcze: „Dziś druk w piśmie literackim stanowi miły bibelot, a autorski egzemplarz ładnie wygląda na regale z lkei”. Nie sposób wyczerpać wszystkich motywów, jakie pojawiają się w tej książce. Czyniąc zadość intencjom autora, powoływałem się na sprawozdawczość tonu. Reszta czeka już na Państwa odkrycie i lekturę. Ta jest ze wszech miar zajmująca.

Bartosz Suwiński

Krzysztof Siwczyk, *Manual II. Felietony, szkice, portrety z lat 2020–2022*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2024

SAMUEL BECKETT (1906–1989), dramaturg, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; autor m.in. *Końcówki*, *Ostatniej taśmy Krappa*, *Szczęśliwych dni*, *Komedii*, *Katastrofy*, powieści: *Molloy*, *Watt*, *Malone umiera*, *Nienazywalne*, tomików wierszy i esejów (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1996, nr 4, 1999, nr 4, 2006, nr 3–4, 2007, nr 1, 2008, nr 4, 2010, nr 4, 2012, nr 4, 2022, nr 4).

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. w 1952 roku w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował m.in. *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022) oraz *Lekcję poezji dla zaawansowanych* (2023). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. w 1949 roku w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Wolność pisaną po Jalcie* (2022) oraz *Dziennik życia we dwoje* (2024) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3; 2016, nr 4). Mieszka w Gdańsku.

MICHAŁ CZORYCKI, ur. w 1978 roku we Wrocławiu, historyk sztuki, italianista; ostatnio opublikował tomik *Ciąg Dalszy* (2021). Mieszka w Solothurn.

LYDIA DAVIS, ur. w 1947 roku w Northampton amerykańska prozaiczka, eseistka i tłumaczka. Zadebiutowała w 1976

roku zbiorem opowiadań *The Thirteenth Woman and Other Stories*. W następnych dekadach regularnie publikowała kolejne tomy minimalistycznych, zazwyczaj mocno ascetycznych próz, określanych przez niektórych mianem *flash fiction*. Autorka jednej powieści, okazjonalnych szkiców krytycznych i autobiograficznych, przede wszystkim zaś licznych przekładów z nowożytnej literatury francuskiej m.in. Flauberta, Prousta, Leirisa, Blanchota. W 2009 roku ukazał się tom *The Collected Stories*, zbierający wszystkie dotychczasowe prozy Davis. (J.G.)

ANNA DUTKA-MAŃKOWSKA, ur. w 1953 roku w Krakowie, językoznawca, romanistka, italianistka, tłumaczka francuskojęzycznych autorów szwajcarskich i pisarzy włoskich; ostatnio opublikowała *Zegary* (2022) oraz przekłady wierszy Nicolasa Bouviera *Na zewnątrz i w środku* (2021), opowiadań Stephanie Corinny Bille (2021) i poezji José-Flore Tappy (2024). Mieszka w Warszawie.

ALEKSANDER FIUT, ur. w 1945 roku w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wyglądy i wglądy* (2022), *Gry międzyludzkie Leona Neugera* z Elżbietą Jogałłą i Elżbietą Tabakowską (2022) oraz *Wariacje faustyczne* (2024). Mieszka w Krakowie.

JACEK GUTOROW, ur. w 1970 roku w Grodkowie, poeta, tłumacz, eseista i krytyk literacki, wykładowca na Uniwersytecie Opolskim; ostatnio opublikował przekład wierszy Simon Armitage *Mało brakowało* (2019) z Jerzym Jarniewiczem i wybór wierszy *Invisible. Selected poems* (2021). Mieszka w Opolu.

FRANZ KAFKA (1883–1924), urodzony w Pradze pisarz niemieckojęzyczny, jeden z najważniejszych prozaików XX wieku, autor *Ameryki*, *Procesu i Zamku*, nowel, m.in.: *Opis walki*, *Schron*, *Głodomór*, nowelek, przypowieści i aforyzmów, opowiadań m.in.: *Wyrok*, *Przemiana*, *Przed prawem*, *Kolonia karna*, *Listów i Dzienników*.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. w 1953 roku w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

OLIWIA KRAKOWIAK, ur. w 2002 roku w Siemianowicach Śląskich, debiutantka. Mieszka w Zelandii.

o. BARTŁOMIEJ KUCHARSKI OCD, ur. w 1966 roku w Sochaczewie karmelita bosy; ostatnio opublikował tomik wierszy *Nocny spacer po ogrodzie* (2021). Mieszka w Krakowie.

MICHAEL LONGLEY, ur. 1939 w Belfaście w rodzinie protestanckiej, wybitny poeta irlandzki, autor kilkunastu zbiorów wierszy;

ukończył filologię klasyczną w Trinity College w Dublinie, laureat wielu prestiżowych nagród, w 2001 otrzymał the Queen's Gold Medal for Poetry; w Polsce znany od kilkadziesiąt lat, głównie dzięki translatorskiej działalności Piotra Sommera. (A.S.)

MARIUSZ LUBYK, ur. w 1962 roku we Wrocławiu, tłumacz; w Bibliotece Narodowej niebawem ukaże się tom *Trzydzieści sześć opowiadań* I.B. Singera m.in. w jego przekładach; tłumaczy także utwory Chaima Gradego. Mieszka w Getyndze i w Kaliszu.

ABEL MURCIA, ur. w 1961 w Vilanova i la Geltrú hiszpański poeta, tłumacz i nieznużony promotor literatury oraz poezji polskiej w Hiszpanii i w krajach Ameryki Łacińskiej, leksykograf, autor kilku słowników hiszpańsko-polskich i polsko-hiszpańskich; wieloletni dyrektor Instytutu Cervantesa: w Warszawie, Krakowie, Moskwie, od września 2024 obejmie analogiczne stanowisko w Bukareszcie. Opublikował kilka tomików wierszy, tłumaczonych na język polski przez wybitnych tłumaczy, m.in. Carlosa Marodana, Leszka Engelkinga, Krystynę Rodowską. Prezentowane wiersze pochodzą z tomu *De ires y venires. Antologia cronológica* (2019). We współpracy z meksykańskim poetą i tłumaczem Gerardo Beltranem, z katalońskim tłumaczem Xavierem Farré, opublikował w Hiszpanii *Antologię polskiej poezji współczesnej* (autorów urodzonych w latach 1960–1980). Sam przetłumaczył wiersze Ryszarda Kapuścińskiego, Julii Hartwig i Ewy Lipskiej. Razem z Gerardo

Beltranem przetłumaczył i opublikował wiersze Wisławy Szymborskiej w Hiszpanii, Meksyku i Wenezueli. W 2024 roku, również z Katarzyną Mołoniewicz, wydali w Hiszpanii *Poesia completa* polskiej noblistki. Niedawno w przekładzie Murcii ukazała się antologia wierszy Tadeusza Różewicza. Jest także tłumaczem prozy, m.in. Olgi Tokarczuk i Stanisława Lema. W 2013 roku otrzymał z rąk ówczesnego ministra kultury, Bogdana Zdrojewskiego, srebrny medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Jest członkiem rady programowej Festiwalu Miłosza i był wieloletnim członkiem kapituły Nagrody im. Wisławy Szymborskiej i kapituły Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. W 2024 roku otrzymał prestiżową nagrodę Transatlantyk, przyznawaną twórcom uznanym za „ambasadorów literatury polskiej” w kręgu swojej macierzystej kultury. Jest honorowym członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. (K.R.)

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. w 1952 roku w Toruniu, prozaik, eseista; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka m.in. w Toruniu.

PAWEŁ RODAK, ur. w 1967 roku w Pruszkowie, historyk literatury i kultury polskiej, profesor w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego; autor m.in. książki *Między zapisem a literaturą. Dziennik polskiego pisarza w XX wieku* (Żeromski, Nałkowska, Dąbrowska, Gombrowicz, Herling-Grudziński) (2011). Mieszka w Pruszkowie.

KRYSTYNA RODOWSKA, ur. w 1937 roku we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała wybór wierszy *Nic prócz O. Wiersze z lat 1968–2018* (2019) oraz tom *Cudze moje. Wiersze (wybór przekładów poezji z lat 1968–2020)* (2021). Mieszka w Warszawie.

GUSTAVE Roud (1897–1976), jeden z najwybitniejszych poetów Szwajcarii francuskojęzycznej w XX wieku; tłumacz dzieł poetów niemieckich (Novalisa, Trakla, Hölderlina, Rilkego). Pasjonowała go fotografia. Przyjaźnił się z pisarzami, takimi jak Charles-Ferdinand Ramuz, Philippe Jaccottet, Maurice Chappaz, Jacques Chessex. Intensywnie współpracował z czasopismami literackimi, prowadził także obfitą korespondencję. Jego poezja łączy się z inspirowanym poezją Novalisa poszukiwaniem utraconej jedności raju rozproszonego w świecie, poprzez zjednoczenie człowieka z krajobrazem i dialog z istotami i rzeczami. Ukochał równiny Jorat, w kantonie Vaud (w południowo-zachodniej Szwajcarii), które przemierzał bez końca. Stworzył wielką kolekcję fotografii, będącą dokumentem przemijania ówczesnego świata wiejskiego, przedstawiającą pejzaże, a także pracę rolników i piękno ich postaci. Zrywał w ten sposób z utrwaloną w literaturze tematyką widoków alpejskich, a jego obraz raju na ziemi wiąże się z regionem, w którym spędził życie. Poezja Rouda jest także nierozdzielnie związana z poczuciem odrębności, odmienności, którą uważał za matkę poezji. Laureat licznych nagród literackich, doktor

honoris causa Uniwersytetu w Lozannie. Rok po śmierci poety powstało stowarzyszenie Association des Amis de Gustave Roud. Prezentowane fragmenty pochodzą z dwóch dzieł: *Air de la solitude* (1945) i *Requiem* (1947), poświęconego zmarłej matce. (A.D.-M.)

ICCHOK BASZEWIS SINGER, pisarz, eseista, krytyk, dziennikarz, laureat Literackiej Nagrody Nobla za rok 1978, urodził się w Leoncinie, niedaleko Nowego Dworu Mazowieckiego, najprawdopodobniej w 1903 roku. Jego ojciec, Pinchas Menachem Zynger (tak transliterowano nazwisko pisarza przed wyjazdem do Ameryki), był zubożałym chasydzkim rabinem z Tomaszowa Lubelskiego, a matka córką rabina z Biłgoraja, misnagda – przeciwnik chasyda. Po krótkim pobycie w Radzyminie rodzina Zyngerów (Ichchok miał troje rodzeństwa) przeniosła się w 1908 roku do Warszawy. Zamieszkała przy ulicy Krochmalnej. Baszewis uczył się w tradycyjnym chederze, a później pod kuratelą ojca m.in. Talmudu. W 1917 roku matka wraz z Ichchokiem i młodszym Moszem wyjechała na cztery lata do Biłgoraja, typowego sztetla, polsko-żydowskiego miasteczka. Ślady tego świata często obecne są w twórczości noblisty, w opisach realiów prowincji, a ponadto niektórzy bohaterowie, tacy jak rabin Bejnusz Aszkenazy z *Szatana w Goraju* (najlepszej powieści Singera), i jego rodzina, wzorowani są na postaciach dziadka i innych krewnych pisarza. Po powrocie na stałe do Warszawy w 1923 roku Baszewis podjął pracę korektora w jidy-

szowym piśmie „Literarisze Bleter”, wzorowanym na „Wiadomościach Literackich”. Zajęcie to było wprawdzie marnie płatne, ale umożliwiło młodzieńcowi z aspiracjami literackimi wejście w środowisko pisarzy tworzących w języku jidysz oraz druk własnych utworów. Począwszy od oficjalnego debiutu w 1925 roku – opowiadanie *Na starość* – aż do wyjazdu z Polski dziesięć lat później, Baszewis prowadził ożywioną działalność literacką. Pisał opowiadania, recenzje, felietony, był autorem licznych wywiadów z pisarzami. Jego twórczość krytycznoliteracką cechują ostre pióro i zwięzłe, bezpośrednie oceny. Baszewis Singer często powraca w swojej twórczości do czasów warszawskich, kreśląc zwykle swój obraz jako młodego, zagubionego człowieka o literackich aspiracjach, uwikłanego w związki z kilkoma kobietami jednocześnie. Różne mniej lub bardziej sfabularyzowane wersje tego okresu znajdziemy w *Miłości i wygnaniu*, *Certyfikacie i Szoszy*. Isaac Bashevis Singer (oficjalna forma imienia i nazwiska po wyjeździe z Polski) zmarł w 1991 roku na Florydzie. Do najbardziej znanych jego dzieł należą powieści: *Dwór*, *Spuścizna*, *Sztukmistrz z Lublina*, *Rodzina Muszkatów*. Na podstawie powieści oraz opowiadania Singera nakręcono filmy: *Sztukmistrz z Lublina* (1979), *Wrogowie* (1989) i *Jentl* (1983). (M.L.)

KRZYSZTOF SIWCZYK, ur. w 1977 roku w Knurowie, poeta, eseista; ostatnio opublikował *Manual II. Felietony, szkice, portrety z lat 2020–2022* (2024) oraz tom po-

etycki *Ludzie z taksydermii* (2024). Mieszka w Gliwicach.

BARTOSZ SUWIŃSKI, ur. w 1985 roku w Kępnie autor wierszy, krytyk literacki; ostatnio opublikował tom poetycki *Dutki* (2022) i prozatorski *Terpentyna* (2022). Mieszka w Bystrzycy Kłodzkiej.

LESZEK SZARUGA, ur. w 1946 roku w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. *Jeszcze trochę inne historie* (2022) i *List* (2023) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016, nr 1). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. w 1961 roku w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował tomiki poetyckie *Sekretne przejścia* (2023) oraz *Zielony anioł i inne okrostychy* (2023). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZŁOSAREK, ur. w 1968 roku w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio

opublikował *Wagary w czyścicu* (2022). Mieszka w Berlinie.

ANDRZEJ SZUBA, ur. w 1949 roku w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *666 strzępów* (2022) oraz przekłady wierszy Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019), D.H. Lawrence’a *Kici, kici!* (2019) i Edgara Lee Mastersa *Epitafia ze Spoon River* (2020, II wydanie). Mieszka w Katowicach.

PAWEŁ TAŃSKI, ur. w 1974 roku w Toruniu, autor wierszy i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował tomiki *Going inside* (2021) oraz *Głosy i performanse tekstów. Literatura – piosenki – ciało* (2021). Mieszka w Toruniu.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. w 1948 roku w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnikach.

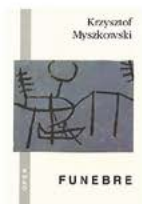
Biblioteka Kwartalnika Artystycznego



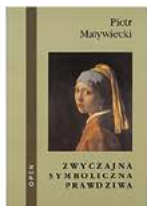
Grzegorz Musiał
Al fine
1997, nakład wyczerpany



Michał Głowiński
Czarne sezony
1998, cena 20 zł



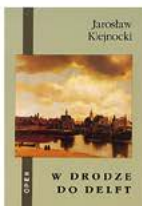
Krzysztof Myszkowski
Funebre
1998, cena 20 zł



Piotr Matywiecki
Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa
1998, cena 20 zł



Mirosław Dzień
Cierpliwość
1998, nakład wyczerpany



Jarosław Klejnocki
W drodze do Delft
1998, nakład wyczerpany



Bożena Keff
Nie jest gotowy
2000, nakład wyczerpany



Grzegorz Musiał
Dziennik z Iowa
2000, cena 20 zł



Janina Kościalkowska
Bił me!
2000, nakład wyczerpany



Maria Danilewicz Zielińska
Biurko Konopnickiej
2000, cena 20 zł



Grzegorz Musiał
Kraj wzbronionej miłości
2001, nakład wyczerpany



Jerzy Andrzejewski
Dziennik paryski
2002, nakład wyczerpany



Tadeusz Nowakowski
Obóz wszystkich świętych
2003, nakład wyczerpany



Mieczysław Orski
Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji
2002, nakład wyczerpany



Kazimierz Hoffman
Znaki
2008, nakład wyczerpany



Krzysztof Myszkowski
Addenda
2017, cena 30 zł



Krzysztof Myszkowski
Puste miejsce
2018, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
W rozmowie
2018, cena 25 zł



Krzysztof Myszkowski
Punkt wyjścia
2019, cena 40 zł



Marek Kędzierski
Krzysztof Myszkowski
Pulapka Becketta
2020, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
Fragmenty murów obronnych
2021, cena 35 zł

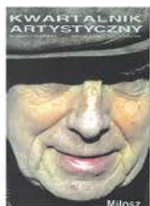
Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



Zbigniew Herbert
2008, nr 2 (58)
nakład wyczerpany



Marek Kędzierski, Piotr Dzumala
Rue Samuel Beckett: Barbara Bray
2015, nr 4 (88)
cena 12 zł



Czesław Miłosz
2011, nr 2 (70)
cena 12 zł



Hanna Borawska
Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017
2017, nr 4 (96)
cena 12 zł



Marek Kędzierski
Giacometti
2013, nr 4 (80)
cena 12 zł



Prenumerata

*i kraj
zagranica*



Książnica
Kopernikańska
w Toruniu

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl



Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2024:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł + koszt wysyłki Poczta Polska
(list ekonomiczny – 8 zł; paczka krajowa – 17 zł)
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Korekta: Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

Skład: Karol Cyranowicz

Druk i oprawa:

Machina Druku Sp. z o.o.

ul. Kociewska 26f

87-100 Toruń

www.machinadruku.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

N O W E K S I A Ź K I

Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego
Jacek Kopciński, *Widma Białoszewskiego. Głos-teatr-trans*, Warszawa 2023

Państwowy Instytut Wydawniczy
Uładzimir Arłou, *Na brzegu innego czasu, przekład Bohdan Zadura*, Mała Seria Przekładów Poetyckich, Warszawa 2024

Wacław Potocki, *Żadna nie ma rzecz przy-
mierza z czasem*, wybór i wstęp Krzysztof
Koehler, seria Poeci do kwadratu, War-
szawa 2024

Grzegorz Strumyk, *Marta Zelwan, Próba*,
Warszawa 2024

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział
w Poznaniu

Marek Czuku, *Zmyślone historie*, seria Litera-
tura SPP, seria Font Pocket Size, Poznań 2024

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum
Animacji Kultury

Joanna Oparek, *Rozbiór. Wiersze i poematy*,
seria Biblioteka Poezji Współczesnej, Po-
znań 2024

Piotr Sommer, *Środki do pielęgnacji chmur*,
Poznań 2024

Joanna Żabnicka, *Dobre sąsiedztwo*, seria Bi-
blioteka Poezji Współczesnej, Poznań 2024

Wydawnictwo a5

Louise Glück, *Dziki irys*, przekład Krystyna
Dąbrowska, seria Biblioteka Poetycka Wy-
dawnictwa a5, Kraków 2024

Wydawnictwo Artrage

Steve Sem-Sandberg, *Ocean*, przekład Prze-
mysław Pożar, seria Przeszły/Ciągły, War-
szawa 2024

Wydawnictwo Austeria

Agnieszka August-Zarębska, *Gotan*, Kra-
ków – Budapeszt – Syrakuzy 2024

Samuel Taylor Coleridge, *Rymy o staro-
dawnym żeglarzu*, przekład Tomasz Kubi-
kowski, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy
2024

Wydawnictwo Bernardinum

Kazimierz Nowosielski, *Pięknostan. Teksty
o sztuce*, Pelplin 2024

Wydawnictwo Czytelnik

Yasunari Kawabata, *Piękno i smutek*, prze-
kład Katarzyna Sonnenberg-Musiał, War-
szawa 2024

Wydawnictwo Literackie

Maja Lunde, *Sen o drzewie. Powieść*, prze-
kład Mateusz Topa, Kraków 2024

Wydawnictwo MG

Tadeusz Dołęga-Mostowicz, *Trzecia płeć*,
Warszawa 2024

Maria Rodziewiczówna, *Kądział*, Warszawa
2024

Wydawnictwo Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Bielawie

Adam Lizakowski, *Czy poeta Czesław Miłosz
był kosmitą?*, seria Sudecka poezja i proza,
tom XLV, Bielawa 2024

Wydawnictwo Nova Veda

Łukasz Nicpan, *Apel wieczorny*, seria Bi-
blioteka Poetycka Rękopisu, Warszawa
2024